

**Alistair MacLean**

**Krwawe pogranicze**

*(Bloody Borderland)*

**Tłumaczył Andrzej Grabowski**

## I

John badawczym wzrokiem obrzucił budynek. Jaskrawo oświetlone okna, piskliwe dźwięki muzyki i konie, uwiązane u drewnianej balustrady dawały w sumie normalny obraz. Wzruszył ramionami. Saloon jak saloon. Wciąż jeszcze szperał w pamięci. Nazwa „Cleveland”, wypisana na imponujących rozmiarach tablicy, którą przed chwilą minął, nie dawała mu spokoju. Coś kiedyś wspomniano na szlaku o tym mieście... Bodaj czy nawet nie ostrzegano. Ale o co mianowicie chodziło nie mógł sobie przypomnieć. Nic zresztą dziwnego. Tyle ostatnio kłopotów zwaliło mu się na głowę.

W odległości jakiejś pół mili szarzały zatarte w mroku zapadającego wieczoru kontury licznych budynków.

Co tam – zapalił papierosa, zsiadając z konia – tak czy inaczej, to przecież jeszcze nie miasto, przydrożna karczma i tyle... Zresztą, zobaczy się. W każdym razie nigdy tu jeszcze nie był, to stanowi niewątpliwie plus.

Wszedł buńczucznie, z należyтым trzaskiem drzwi, przy akompaniamencie brzęku ostróg. Wiedział, jak należy sobie poczynać, by wywołać odpowiednie wrażenie. Świńskie oczka, tkwiące w zapłyniętej tłuszczem twarzy, obrzuciły go zaciekawionym spojrzeniem sponad obitej lady barowej. Pokwitował ten atak obojętnym wzrokiem.

– Whisky! – podszedł do lady. Barman uśmiechnął się nijako. – U nas płaci się z góry – bąknął.

– Ach tak – mina Johna zastygła w nabożnym zgorszeniu. – Nie dowierzacie klientom? – wyciągnął z kieszeni pękaty worek i rzucił go na ladę. Trzos wyglądał całkiem solidnie, dźwięk, jaki wydał uderzając o blachę, był bez zarzutu. Zapuścił palce do wnętrza woreczka, wyciągając złotą monetę: – Na początek wystarczy? – zapytał lekceważąco.

Twarz barmana rozplynęła się w zachwycie. Klient z takim trzosem to niecodzienna gratka. A przecież gdyby mógł zbadać zawartość woreczka, zachwyt stopniałby bez śladu. Bo złota moneta niewiele miała towarzyszek.

John nie należał do ludzi, którzy pozwalaliby szperać niepowołanym w swoim mieszkaniu. Wódka pachniała fuzlem i kosztowała niepomierne drogo. John ani się skrzywił. – Człowiek nałamał palców w claimie, to teraz radby rozprostować kości – mruknął sięgając po drugi kieliszek.

– O... u nas można się zabawić na całego – oświadczył zachęcającym tonem barman. – Wszystko czego tylko dusza zapragnie – nie przestawał zezować w kierunku pękatego woreczka... Jakaś nieokreślona potrawa, jaką w chwilę później John konsumował, nie wyglądała wprawdzie na ziszczenie tych zapowiedzi, była w każdym razie jadalna. W sąsiedniej sali kilka par wirowało zamasyżycie pod dźwiękami orkiestronu, któremu akompaniował na akordeonie

młodzieniec o suchotniczym wyglądzie. Instrument i człowiek grali każdy inną nieco melodię, w sumie o to przecież przede wszystkim chodziło. John skłonił się przed jakąś jaskrawo ubraną panią.

– Można panią poprosić?

Pytanie należało do gatunku czysto retorycznych. Panią właśnie po to tu przebywała, by tańczyć z każdym, kto ją poprosi. Zresztą tańczyła wyjątkowo niezgrabnie, nie miała najmniejszego poczucia rytmu. Poza tym uroda jej, o ile w ogóle kiedykolwiek istniała, należeć musiała do rzeczy dawno przebrzmiałych. W chwili obecnej gruba warstwa szminki łuszczyła się na jej policzkach jak polichromia na opadającym tynku. Ale John miał zachwyconą minę. Trudno. Ostatecznie zawód ma swoje przykre strony. A w zawodzie Johna taniec z podstarzałymi fordancerkami należał jeszcze do najmniejszych minusów... Wolał zaś zawsze zachowywać kolejność programu, by wszystko wyglądało jak należy. Przy trzecim tańcu ogarnęło go jednak lekkie zaniepokojenie. Czyżby rybka nie połknęła przynęty? Na widok poplamionego fartucha barmana odetchnął z ulgą. W porządku. Barman przyszedł niby to po jakieś naczynia. John stłumił uśmiech. Zwierzyna, która uważała, że należy do nagonki, wywiera naprawdę komiczne wrażenie.

– Hm... – barman manipulował szklankami. – Nie mielibyście przypadkiem ochoty trochę poigrać?

John udał zastanowienie.

– Ba – mruknął w końcu – właściwie dlaczegożby nie? O ile stawki niezbyt wysokie.

Ciężka, wyrudziła kotara oddzielała salę gry od dancingu. Przy długim stole było dosyć tłoczno. Barman wykombinował Johnowi jakiś stołek.

Wejście nowego gracza minęło na ogół bez żadnego wrażenia. Tylko dwóch siedzących naprzeciw siebie mężczyzn obrzuciło go taksującym spojrzeniem. John przesłonił oczy powiekami, by ukryć ich wyraz. Minę miał gapowatą. Ale tych dwóch zanotował sobie dokładnie w pamięci. Oto amatorzy na węłną przygnanego przez barmana jagnięcia. A no, niech strzygą. Byleby nie pokaleczyli przy tym palców... Miał nad nimi tę olbrzymią przewagę, że od razu poznał, z kim ma do czynienia. A oni... nie poznali. Będzie zabawa – skonstatował w duchu, wyciągając nabity trzos.

Tamci potrafili ukryć wrażenie na widok jego rozmiarów... Dopiero zrzędyłyby wam obu miny, gdybyście wiedzieli, co jest naprawdę w środku – pomyślał złośliwie, obserwując ich spod oka.

Nie wypadł ani na chwilę ze swojej roli. Początkowo stawiał nędzne stawki. Kilkakrotnie oddał bank mając w ręku kartę. Gapa z głębokich kresów i tyle. Niech się cieszą...

Dwaj dżentelmeni robili co mogli, by ożywić tempo gry.

John udawał przerażenie, ale po kilku następnych kieliszkach zrezygnował z oporu. Stawki

zaczęły rosnać. I o dziwo: John nagle przestał przegrywać. Zgarniał bank za bankiem. A co ciekawsze: karta naprawdę mu szła bez żadnej pomocy wyćwiczonych palców... Dopiero gdy dochodziło do rozgrywek z tymi dwoma... No trudno, nie miał przecież zamiaru dać ostrzyć się do żywego mięsa jakimś tam partaczom.

Wyłazili po prostu ze skóry by mu sprostać, nic jednak nie pomagało. Za każdym razem John prezentował nieoczekiwanie wysoką kombinację kart... Początkowo byli zdumieni, potem opanowała ich niepohamowana wściekłość. Zaczęli wietrzyć, skąd wiatr wieje. Pod skórą jagnięcia wilk. Z tego samego co oni gatunku, ale o wiele wyższej klasy. Nie mogli mu dać rady. I co gorsza, przybysz zdołał zagarnąć kapitał zakładowy ich spółki. Nie widzieli sposobu, by go wyciągnąć z powrotem z jego kieszeni.

To ich wyprowadziło z równowagi. John nie przestawał obserwować dyskretnie rosnącego zdenerwowania partnerów, nie chcąc, by ewentualny wybuch zaskoczył go niespodziewanie.

W pewnej chwili jeden z nich zaczął szeptać z jakimś krzywonogim jegomościem. Jegomość wyszedł z sali.

John miał się coraz bardziej na baczności. Nic jednak nie zaszło. Tylko po kilkunastu minutach przy stole zasiadł nowy partner. I to akurat naprzeciw Johna. Siwa bródka i wypolerowana jak kość słoniowa łysina sąsiada dziwnie nie pasowały do młodzieńczego wyrazu oczu. A oczy te raz po raz kontrolowały ruchy palców Johna.

John nie przejmował się. Zbyt był pewny biegłości, by zwracać uwagę na widzów.

Gra toczyła się dalej. Passa Johna trwała bez przerwy. Nagle osobnik z siwą bródką podskoczył jak na sprężynach.

– Stop! – wrzasnął, przechyliwszy się przez stół, złapał Johna za rękę.

– Oszukujesz!

Chwył był żelazny. John jednak strząsnął go bez wysiłku, jak natrętną muchę.

– Oszaleliście? – roześmiał się pogardliwie.

Starzec nie miał zamiaru mu ustępować.

– Oszukujesz! – powtórzył – widziałem jak...

Wtedy John wygarnął mu parę słów do słuchu. Nie były to nawet najgorsze słowa, jakie posiadał w swoim repertuarze. Ale ostatecznie karczma na szlaku to nie salon. I wystąpienie tysego typu wymagało mocnej reakcji, bo wśród graczy zaczynało powstawać zamieszanie.

Stary sapnął. Aż łysina poczerwieniała mu z wściekłości. Odskoczył w tył. Kościste palce szarpnęły pochwę rewolweru.

John nie przestawał się uśmiechać. Trudno. Wyczekał, zanim w rękę tamtego nie zaczęła kształt całkowicie wyciągniętego colta. Dopiero wtedy jego ręka wykonała szybki jak błyskawica ruch. Gruchnął strzał.

Stary chybnął się na nogach i osunął powoli na deski podłogi. John patrzył bez drgnięcia

powieki.

...Będzie miał nauczkę na przyszłość, awanturniczy dziadyga – pomyślał beznamiętnie.

Według zamiaru Johna wielkokalibrowa kula powinna rozorać niezbyt głęboko mięśnie lewego boku napastnika na wysokości pomiędzy trzecim a czwartym zębem. Taki rodzaj knockoutu rewolwerowego własnego wynalazku. I był pewien swej ręki, by mieć jakiegokolwiek wątpliwości co do celności strzału. Nagle przymrużył oczy: w momencie padania rozchyliła się na piersiach postrzelonego kurtka i metalicznym blaskiem mignął kształt przypiętej na kamizelce gwiazdy.

Diabli nadali – zaklął pod nosem – Szeryf!

W sali powstało zamieszanie. Ktoś wrzeszczał w niebogłosość, paru innych przypadło do leżącego na podłodze.

– Nie żyje! – oznajmił czyjś ponury głos.

Uśmiech nie schodził z warg Johna, na duszy jednak zrobiło mu się całkiem nieprzyjemnie.

...Nie żyje? Czyżbym miał chybić? No cóż... Przy migotliwym świetle lamp nie było to, mimo wszystko niemożliwe. Rozległy się wrzaski: – Morderstwo! – Zamordował szeryfa Blythe'a!

John drgnął. Szeryf Blythe? Nagle przypomniał sobie, co mówiono mu o Cleveland. Ostrzegano go właśnie przed Blythe'em. Żeby mu się przypadkiem nie nawinął na oczy. Albo broń Boże nie nadepnął na pięty. Bo ten szeryf to jakaś miejscowa sława. No i...

W sali wrzało piekło. Wrzeszcząca ciżba zwróciła się przeciwko Johnowi. Wszyscy bez wyjątku. W kilku rękach dostrzegł rewolwery.

– Brać go!

– Powiesić bandytę! – Barczysty kowboj demonstracyjnie zaczął zawiązywać pętlę na kawałku niewiadomo skąd wydobytego sznura.

– Tak! Powiesić! – wrzeszczeli teraz wszyscy jednym głosem.

Widocznie propozycja kowboja zyskała ogólne uznanie.

John jednak nie był nią bynajmniej zachwycony. Błyskawicznym spojrzeniem zbadał sytuację: wyglądała niemal beznadziejnie. Zaczęli go otaczać. O drzwiach trudno było nawet marzyć: właśnie tamtędy wślizgali się ludzie zwabieni wrzawą. Przybysze zdołali już zorientować się w stanie rzeczy. I także ryczeli: – „Powiesić”! Okno w odległości paru jardów. Niestety zamknięte naглуcho. Trudno. Ostatecznie co szkło to nie ściana z solidnych bali... Tak czy inaczej – nie było innej drogi odwrotu. Sprężył mięśnie i nagle wyprysnął wspaniałym susem, odbijając się palcami nóg od podłogi. Cienko zabręczało szkło rozbijanej szyby. Ostra jak brzytwa krawędź szklanego odłamka przejechała po policzku. Głupstwo...

Wylądował szczęśliwie na ganku. Nie odwracając się wystrzelił kilkakrotnie poza siebie. Nie miał oczywiście nadziei, by kule trafiły kogokolwiek z prześladowców, chodziło mu jedynie

o ochłodzenie nieco ich zapałów i zyskanie na czasie.

Jednym skokiem znalazł się w siodle... Wystarczyło lekkie szarpnięcie, by zwolnić cugle, uwiązane przemyślnym węzłem u drewnianej poręczy.

– No Jerr! – dotknął ostrogami boków wierzchowca – coś mi się wydaje, że tym razem spacerek będzie należał do gatunku mocno wyczerpujących. Pognał w kierunku przeciwnym niż leżało miasto.

## II

Klął na czym świat stoi i poganiał konia. Poganiał konia i klął... W końcu nawet jego przebogaty słownik groził wyczerpaniem: zaczął się powtarzać w doborze przekleństw. A co gorsza wyczerpały się również siły półkrwi mustanga. Zresztą nic dziwnego. Gdy wskoczył na siodło słaba poświata różowego zarzewia wskazywała na wstający świat. A teraz słońce rozpalone do białości zawędrowało na okazałą wysokość nieba. Jeżeli nawet jeszcze nie południe, to w każdym razie gdzieś blisko koło tego. Pół dnia pędu na złamanie karku to nie bagatela nawet dla stalowych mięśni Jerrego. Toteż zaczął jakoś pochrapywać w sposób mocno niepokojący. Ale jeszcze nie ustawał. Jeszcze nie. Ale to najważniejsze. A gdy ustanie...

– Brr – chłodny dreszczyk przebiegł wzdłuż krzyża Johna.

Wolał pościg. Horda wyjących diabłów następowała mu nieubłagane na pięty. Nie miał niestety najmniejszych wątpliwości co do zamiarów goniących za nim ludzi. Niewiele przecież przed paru godzinami już brakowało, by zamiar ten wprowadzili w życie. Stryczek. Otóż to. A ten sposób przeprowadzki na niebiańskie prerie najmniej ze wszystkich możliwych przypadł Johnowi do smaku. Jakaś tam kulka albo solidne pchnięcie nożem w zamieszaniu – to co innego. Ale konopny krawat? Czuł niemal już szorstki uścisk wokół szyi. Nie, wszystko, byle nie to!

Wrzaski pogoni stawały się coraz bardziej wyraźne. Kolnął ostrogami. Mustang dał kilka rozpaczliwych susów, po czym zaczął wyraźnie zwalniać tempa.

– Żeby to...! – John rozgryzł jakieś brzydkie słowo pomiędzy zębami. Znowu gwizdnęła przeciągle kulka przelatująca koło ucha. Tym razem tak blisko, że poczuł gorący wiew. Następnie gwizdnęła niemal tuż przed nosem. Jeszcze jeden pocisk... I jeszcze... Kule bzykały jak rój rozwścieczonych os. Najgorzej, że strzały padały również z boków. Nie potrzebował patrzeć, by stwierdzić smutną rzeczywistość: zajeżdżają z flanków. Jeszcze parę chwil i zamkną ze wszystkich stron najeżone lufami koło. Koło śmierci. I to śmierci w najpaskudniejszej postaci. W okolicy niestety nie brak było drzew, mogących odegrać rolę przygodnej szubienicy.

Rzucił spojrzenie przez ramię. Nie było wątpliwości: są coraz bliżej...

Sylwetki ścigających rosły z każdą sekundą. Szczególnie wysforował się naprzód barczysty drab na wielkim, czarnym koniu. John rozróżniał już wyraźnie srebrny sznurek na jego wurdziałym sombrero.

Mustang potknął się. John ściągnął gwałtownie cugle. Tym razem uniknął upadku. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie na długo. Jeszcze kilkadziesiąt, w najlepszym wypadku kilkaset jardów i...

Zaciął wargi do krwi:

– Diabli nadali! Co tu dużo rozumować... Początek końca i tyle... Jerry goni resztkami sił... Jakies pięć minut i wyzionie ducha... Znał się niestety na tym aż nazbyt dobrze.

– Fiuuut! – Oparzyło wierzchołek ucha jak rozpalonym żelazem. Ciepła ciecz zaczęła spływać po policzku... Wzruszył ramionami. Co tam... głupstwo: Jeszcze i tak tego co zostanie wystarczy na ozdobę jakiejś suchej gałęzi.

Pech! Przeklęty pech... Że też licho musiało go akurat skusić do zawadzenia o te parszywe Cleveland! Mustang znowu się potknął.

– Stój, ty taki i owaki!

Słowo zabrzmiało mocno niecenzuralnie, John jednak nie miał czasu by zwracać uwagę na naruszenie konwenansów. Wzruszył go jedynie fakt, że głos było słycać zupełnie wyraźnie. I to wzruszyło go mocno.

Znowu zerknął przez ramię. Teraz odróżniał już nie tylko srebrny galon, ale także rudawe, rzadkie wąsiki. Bagatela! Reszta pogoni pozostała w tyle dobre kilkadziesiąt metrów. A gdyby tak unieszkodliwić tego zucha na czarnym koniu?... Poprawił się w siodle i wyciągnąwszy w tył rewolwer, zacisnął szczęki, szukając muszką celu. Strzelanie z pędzącego konia nie należy do najłatwiejszych. Szczególnie, gdy chce się trafić. Ale John umiał wiele rozmaitych rzeczy, niedostępnych dla innych śmiertelników. A już ze swoim coltem mógłby pokazywać sztuczki jeszcze lepsze niż kartami. Toteż po jakimś tam ułamku minuty muszka zawisła na wysokości trzeciego z rzędu srebrnego guza na bluzie goniącego. I wtedy właśnie pociągnął cyngiel...



### III

Kate Blythe po raz dziesiąty wycierała zupełnie suchy talerz. Wytarłaby go zresztą również po raz setny i też by tego nie zauważyła, tak bardzo była zamyślona. A rozmyślania jej nie należały do gatunku najweselszych. Raczej wprost przeciwnie.

– Smuga cienia – wyszeptała bezdźwięcznie, jakby odpowiadając swoim myślom. Nagle drgnęła. Do drzwi ktoś zapukał.

Zanim jeszcze otworzył, wiedziała, że to właśnie on. Talerz wyslizgnął się ze zdrętwiałych palców, padając z brzękiem na podłogę.

– Dzień dobry Kate.

W drzwiach stanęła zgrabna sylwetka mężczyzny w nowym, jakby dopiero co wyjętym z pudełka, przesadnie eleganckim stroju jeździeckim. Wypiełgnowane wąsiki gościa drgnęły w powitalnym uśmiechu. Białe zęby zabłysły na ciemnym tle męskich warg. Robert Macpherson był bezsprzecznie pięknym mężczyzną. Sam zresztą najlepiej doceniał swą urodę. Umiał też dyskutować walory zewnętrznego wyglądu wszędzie tam, gdzie zachodziła jakakolwiek ku temu możliwość.. Cóż to – niski głos zamruczał nutkami czulej tkliwości – czyżbym cię nastraszył, kochanie? A może oczekiwałaś kogoś innego – dorzucił, wchodząc swobodnym krokiem do izby.

Kate spojrzała bezradnie na szczątki rozbitego talerza.

– Nie – z trudem stłumiła westchnienie. – Oczekiwałam właśnie Pana...

Zmarszczył brwi.

– Pana? Powtórzył z doskonale udanym zdziwieniem. – Od kiedy to jestem dla ciebie panem?

– Od... – zająknęła się – od wieków...

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Powiedzmy... Choć, o ile sobie przypominam, w Charleston było zupełnie inaczej...

Milczała, przygryzając wargi.

Spojrzał na nią spod oka.

Chodzi pewno o te grupie plotki? Zresztą, jeżeli ci tak wygodniej, możesz mnie nazywać jak ci się podoba. To oczywiście – strzepnął palcami – nie gra roli. Nie czekając na zaproszenie przysunął krzeselko i usiadł wygodnie. Pomimo całej bezceremonialności, w zachowaniu jego nie było nic obrażającego. Wszystkie ruchy Macphersona cechowała jakaś dziwna, kocia miękkość.

Zapałił papierosa.

– No i cóż, malutka, przemyślałaś już sobie wszystko? Obserwował ją bacznie spod na wpół przymkniętych powiek.

– Tak – potwierdziła bezdźwięcznie – przemyślałam. Głos jej przy tym wyraźnie drżał.

– I... oczywiście okay. Zgadzasz się? Wparła wzrok w podłogę.

– Nie... nie mogę...

Nagle złożyła bezradnie ręce, podnosząc ku niemu pobladłą twarzyczkę.

– Niech mnie pan zwolni!... i niech pan... – urwała nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa.

Roześmiał się bezgłośnie.

– Tak bardzo nie chcesz mnie za męża?

Nie odpowiadała. Przygryzła wargi, aż pokazała się kropelka krwi. Wzrok trwał przywarty do ziemi. W izbie zapadło przeciągłe milczenie. Cichymi, skradającymi się krokami podszedł ku niej.

– No – ujął palcami podbródek dziewczyny, zmuszając ją do podniesienia twarzy. – Odpowiedz Kate... Ale musisz mi patrzeć prosto w oczy.

Gwałtownym ruchem głowy otrząsnęła jego palce, jakby dotknięcie wstrętnego płaza. Twarz jej zszarzała. Odważnie jednak uderzyła wzrokiem w czarne źrenice Macphersona.

– Nie kocham pana i... nie mogę szanować – powiedziała cicho, ale wyraźnie.

Oczy i usta Kate mówiły jedno. Chcąc nie chcąc, musiał uwierzyć. A więc wszystkie uwodzicielskie sztuczki padły w próżnię! Odczuł jej słowa jak uderzenie, odczuł znacznie dotkliwiej, niżby leżało w jego wyrachowaniach. Pragnął jej. Diabelnie pragnął. I to psuło mu w pewnym sensie przeprowadzenie ułożonych na zimno planów, w których osoba Kate Blythe zajmowała dominujące miejsce. Nie przestawał się jednak uśmiechać, powracając ku krzesłu.

– Cóż... – usiadł powoli. – Tak czy inaczej wyjdiesz za mnie.

A miłość... Hm... – obserwował srebrne błyski swych meksykańskich ostróg. – Miłość, miejmy nadzieję, przyjdzie po ślubie... Założył nogę na nogę, rozsiadając się wygodnie.

– Więc – podjął znowu po chwili – na kiedy oznaczymy datę naszych oficjalnych zaręczyn?

Splotła palce obu rąk, zaciskając je kurczowo.

– Nie... ja nie chcę... nie mogę wyjść za pana – niemal krzyknęła.

Macpherson podniósł wysoko brwi.

– O!... Aż tak groźnie? – w jego głosie brzmiał łagodny wyrzut. Po cóż tyle słów, kochanie, kiedy powinnaś zrozumieć, że w tym wypadku twoja wola nie ma decydującego znaczenia... Powiedzmy nawet: nie ma żadnego znaczenia... Musisz się zgodzić... Musisz, bo w przeciwnym razie... – urwał znacząco.

– Bo w przeciwnym razie... Co? – powtórzyła jak echo.

Macpherson skrzywił wargi z niesmakiem. Nie lubił nazywania rzeczy po imieniu. Pozory przecież mogły niekiedy stwarzać tak piękne namiastki rzeczywistości. Mało, jednak, istniało na świecie rzeczy, które potrafiłyby powstrzymać Macphersona w połowie drogi. Szczególnie, gdy grał o większą stawkę. A tym razem stawka z rozmaitych względów była dla niego niepomierne

ważna.

– Hm... – odchrząknął. – Jeżeli już chcesz stawiać sprawę na ostrzu noża... trudno... niech i tak będzie. Otóż: jeżeli powiedzmy w ciągu... no... najdalej trzech dni nie oznajmisz ojcu o naszych zaręczynach i nie wydobędziesz z jego biurka wiadomych dokumentów, całe Cleveland i jego okolica w najszerszym promieniu dowiedzą się, że córka szeryfa Blythe, tego wzoru wszelakich cnót i doskonałości, jest pospolitą przestępczynią...

Aż jęknęła przy tych słowach.

– Czy naprawdę jeden nierozważny krok... – próbowała wtrącić.

Nie dał jej jednak mówić dalej.

– Jeden nierozważny krok? – twarz jego wyrażała najwyższe zdumienie. – Wybacz Kate, ale chyba sama w to nie wierzysz. Czyż mam wyliczyć wszystko po kolei?... A więc dobrze... Po pierwsze: uprawianie zakazanego hazardu w potajemnej szulerni na przedmieściach Charlestonu...

– Przecież pan sam wie, że nie grałam... Nie postawiłam ani jednej stawki. I w ogóle...

Znowu jej przerwał:

– Zostałaś zatrzymana przez policję w nielegalnym domu gry, a to na jedno wychodzi... Nie sądzisz chyba, bym chciał świadczyć, że namówiłem cię do odwiedzenia tego przybytku, działając przynętą dreszczyka zakazanej przygody? Na szczęście jeszcze nie postradałem zmysłów, by popełnić podobne głupstwo.

– Ale... przecież wtedy zostały wraz ze mną zatrzymane również moje koleżanki i...

Machnął lekceważąco ręką.

– Więc cóż z tego? Żadna z tych koleżanek nie była na swoje szczęście córką słynnego szeryfa Cleveland i żadna nie przekupiła policji...

– To... to przecież pan go przekupił... – wyjąkała, patrząc na niego szeroko rozwartymi oczyma.

– Ja? – roześmiał się. – Ależ nic podobnego! Ja tylko służyłem za pośrednika. Sama dałaś pierścionek, by za niego wykupić protokół z twoim nazwiskiem. A ojcu oświadczyłaś, że go zgubiłaś. Czy nie tak?

Zwiesiła głowę. Prawda. Dała Macphersonowi pierścionek. Nie miała zresztą innego wyjścia, gdy zaproponował załatwienie sprawy na policji, zaznaczając, że same prośby nie wywołają skutku. Nie rozporządzała dostateczną sumą pieniędzy, a myśl, że ojciec będzie zawiadomiony o całym zajściu przez policję, wytrąciła ją zupełnie z równowagi. Zdawała sobie sprawę, jaki to byłby cios dla jego ambicji.

Popatrzył na nią z triumfem, zauważywszy jej przygnębienie.

– A widzisz! I nie zapominaj, że ten protokół trafił do rąk człowieka, który potrafił go lepiej ocenić od poprzedniego posiadacza – poklepał znacząco po kieszeni zamszowej wiatrówki – że

jest dostatecznie autentyczny, by piodestał, na którym obywatole Cleveland postawili swego szeryfa, runął w gruzy... Hm... – wypuścił ustami misterne kółeczko dymu, które przez chwilę obserwował w milczeniu. – No, tak... W każdym razie mam nadzieję, że gdy zobaczymy się za trzy dni, wręczysz mi dokumenty i przedstawiś ojcu jako narzeczonego. Wolałbym zresztą, żebyś papiery wydobyła jeszcze wcześniej...

– Tak bardzo się ich pan obawia? – zapytała.

Wydał wargi.

– Obawiać się? O nie, panienko. Wiesz, że Robert Macpherson nie obawia się niczego. Po prostu mam zamiar przeprowadzić na tutejszym terenie pewne interesy i nie jest dla mnie wygodne, by tego rodzaju oszczerze świstki leżały w biurku szeryfa.

Spojrzała na niego z trwoźnym zainteresowaniem. Orientowała się niestety aż nadto dobrze, jakie to interesy prowadzi Macpherson. Wiedziała także jak na nich wychodzili jego kontrahenci.

– Jakie interesy?

Patrzył sennie na czubek swego lakierowanego buta.

– Och, dziecinko – wzruszył lekko ramionami – po co taka niewczesna ciekawość? Interesy to rzecz ściśle męska. Nie warto sobie nimi zaprzętać pięknej główki. Dość, że tamte papierki mogłyby mi przeszkodzić w decydującym momencie. A ja okropnie nie lubię, gdy coś mi przeszkadza. Szczególnie, gdy posiadam środki, by tego uniknąć... Otóż to – powstał ociężale. – A teraz do widzenia, maleńka. Niestety, muszę już odjechać... mam pewne pilne sprawy do załatwienia. Będę myślał o tobie bez przerwy. I ty pomyśl też od czasu do czasu – lekko podkreślił.

Sięgnął po kosztowny stetsonowski kapelusz...

– Pamiętaj: za trzy dni...

Nie próbował jej objąć ani pocałować, choć krew wrzała w jego żyłach, zdawał sobie sprawę, że jest zbyt zgnębiona by stawiać opór. Ale Robert Macpherson był mądrym człowiekiem. Oczywiście mądrym na swój sposób. Doświadczenie, jakie zdobył w pewnego rodzaju sprawach, mówiło mu, że zbyt forsowana struna może niekiedy pęknąć nieoczekiwanie, mszcząc najbardziej nawet misternie skonstruowane plany.

...Na dziś wystarczająca porcja – zdecydował w duchu. – Trzeba zostawić czas, by ziarno terroru dojrzało do zbiorów. Ostatecznie trzy dni jakoś się przetrzyma, a potem...

Zgiął się w niskim ukłonie i wyszedł.

Wskakując na siodło pogwizdywał triumfalnego marsza. Wymanikiurowane palce muskały zwycięskim ruchem wąsiki. Wszystko O.K.! A przecież po skandalu, jaki wybuchł w Charleston w związku z pewną aferą giełdową, znalazł się już na krawędzi przepaści. Co tam!... Gdy będzie zięciem wszechwładnego szeryfa, może się nie liczyć z niczym. A będzie nim, żeby tam nie wiem co. I posiadzie Kate. Na nic się nie zdadzą jej fochy. Trzyma ją w garści na amen.

– Grunt to głowa na karku – roześmiał się do swych myśli. – Gdyby wtedy oddał jej ten błogosławiony protokół, o który błagała, wszystko by diabli wzięli, a tak...

Po wyjściu Macphersona Kate, pogrążona w bezruchu odrętwienia, oparła się ciężko całym ciałem o ścianę. Pod obolałą czaszką wirowały beznadziejnie czarne myśli...

Tak, niestety Macpherson miał rację. Położenie dla niej było bez wyjścia. Jeżeli dotrzyma groźby, kariera ojca będzie skończona. Nie miała najmniejszej wątpliwości, co do rodzaju reakcji, jaką wywołałyby rewelacje Macphersona wśród purytańsko nastrojonych notabli miasta. Ojca mogłoby to zabić. A w każdym razie co najmniej załamać moralnie. Nie był już przecież pierwszej młodości, zaś praca na stanowisku szeryfa stanowiła dlań jedno z największych ukochań życia. I zawsze był tak bardzo ambitny... A z drugiej strony ulec żądaniom Macphersona?

– Brrr – aż otrząsnęła się na myśl takiego rozwiązania. Nigdy Macphersona nie lubiła specjalnie. Ot, po prostu jeden ze znajomych w kółku rozbawionej charlestońskiej młodzieży, do której ją wprowadziły koleżanki w czasie pobytu w tym mieście. Teraz, gdy szantażował ją tym nieszczęsnym protokołem, poczyną go nienawidzić. Zresztą zdawała sobie sprawę, że poświęcenie nie zapobiegłoby katastrofie, bo przecież Macpherson nie zaprzestanie swych przestępczych machinacji, o których ostatnio tak wiele i tak głośno mówiono w Charleston.

– Smuga cienia... – powtórzyła bezdźwięcznie.

W sercu jej wzbierał przypływ gorącej nienawiści do człowieka, który ją zapędził w grząską topiel. Nagle drgnęła. Ktoś z zewnątrz położył rękę na klamce.

Macpherson wraca? Może chce wykorzystać przewagę i...

Niespodziewanie myśli jej zakrzepły w stanowczej decyzji.

– Powinno by się go... jak jadowitą żmiję – szarpnęła rękę ku czarnej kolbie rewolweru, wystającej z otwartej pochwy, zawieszanej na ścianie.

## IV

Sucho szczeknął kurek. Wystrzał jednak nie nastąpił. John zaklął bezradnie. Nie pociągał już więcej za cyngiel. To byłoby zbędne. Jego colt nie zawodził nigdy. Po prostu zabrakło w bębenu naboju. Na to nie zdoła poradzić nawet największa zręczność rewolwerowca. Przesunął ręką po powierzchni kieszeni, obmacując każdą po kolei jak najdokładniej. Może znajdzie gdzieś jakiś zapomniany nabój? Choćby jeden. Bo jeden by tymczasem wystarczył. Zyskałby dzięki niemu szansę. Niechby tylko jedną na sto, bo na szlaku często najdrobniejsza rozrasta się do rozmiarów ocalenia. Przez ułamek sekundy odniósł wrażenie, że właśnie... Zapisał gorączkowo palce do kieszeni bluzy i znowu zaklął. Ogryzek ołówka nie był niestety żadną miarą odpowiedni do strzelania... Przez chwilę ważył rewolwer w rękę, potem rzucił go szerokim ruchem na ziemię. Po co mieć złudzenie, że coś jeszcze zostało do obrony? Stryczek zawisł piekielnie blisko nad szyją. Nadciągał kres. Z każdym susem wielkiego, czarnego rumaka śmierć usadawiała się coraz bliżej za plecami. I to paskudna śmierć. Znowu zerknął za siebie. Tym razem bez żadnego celu. Ot, tak mimo woli. By zobaczyć jak prędko... Owszem zobaczył... Srebrny galon na sombrero prześladowcy układał się na przodzie w kształt całkiem prawidłowego asa treflowego.

Wzdłuż krzyża zaczął przebiegać drobny, dokuczliwy dreszczyk... Na czoło wystąpiły krople zimnego potu. Staccato zagrzmiał gruby bas wielkokalibrowego rewolweru. Znowu coś zapiekło. Tym razem tuż ponad kolanem lewej nogi. Puścił wolno cugle. Zrezygnował. Po raz pierwszy w swym, obfitującym w powikłania, życiu. Ale też po raz pierwszy nie widział wyjścia. Przymknął powieki. Ogarnęło go przeogromne znużenie. Było mu wszystko jedno. Mają wieszac, to niech wieszają. Jak pech, to pech. Nie ma rady. Coś zatrzepotało. Niemal tuż spod kopyt pędzącego mustanga prysnął w powietrze jakiś wielki ptak...Gdyby tak mieć skrzydła – pomyślał leniwie. I pokwitował pobłażliwym uśmiechem marzenie. Więc już aż do tego doszedł?

Przebiegu zdarzeń, które rozegrały się w następnych sekundach, nigdy potem nie mógł zrozumieć. Spłoszony mustang szarpnął gwałtownie na bok. Twarz Johna smagnęły ostrymi uderzeniami gałęzie. Wjechali w jakiś las, czy też zagajnik. W jaki sposób mógł nie zauważyć przedtem tej gęstwiny? Gałęzie smagały coraz częściej... Chciał przypaść do końskiego karku, by uniknąć razów. Nie zdążył. Coś trzasnęło w pierś, zmiatając go z siodła. Padł z rozmachem na miękką podściółkę. Mustang, poczuwszy upadek jeźdźcy, przystanął na chwilę, grzmiące jednak z tyłu strzały pobudziły go do dalszego biegu. Tuż obok twarzy leżącego Johna mignęła czarna sylwetka wielkiego rumaka: sadił olbrzymimi susami. Rozkwitły ognie bliskich wystrzałów. Jednym, gwałtownym ruchem ciała John wkopał się głębiej w listowie. W chwilę później przemknęło obok niego w szaleńczym pędzie jeszcze kilku jeźdźców. Nie zauważyli! Trwał w bezruchu. Czy jeszcze? Wrzawa pogoni zamierała w oddali. Wokół zapadała powoli cisza. Jeszcze ułamek minuty i John odzyskał zdolność myślenia. Więc jednak żyje? Pomimo wszystko

żyje? Nie złapali?! Cud, czy?... Ale Czarny John nie wierzył w cuda. Po prostu kikut obłamanej gałęzi uderzył go w ramię. Na pewno w tym miejscu siniak zaczyna już rozkwitać wszystkimi kolorami tęczy. Ramię bolało całkiem paskudnie. Mniejsza zresztą o ramię. Ucho też piekło. Nad kolanem tkwiła pewno kula. Wszystko razem bagatela. Ale co dalej? Co począć z szansą, którą niespodzianie zesłał los? Tkwić w nieskończoność w zbawczym wykrocie? Nie ma sensu. Lada chwila zobaczą puste siodło i powrócą, by szukać cennej zguby. Szybko skombinują, gdzie jeździec rozstał się z koniem. Nie taka znowu filozofia dla ludzi, którzy nie od dziś jeżdżą po szlaku. Przeszukają dokładnie każdą piędź lasu. Tylu ich, że starczy, by osaczyć ze wszystkich stron i zajrzeć pod najmarniejszy nawet krzaczek. Trzeba wykorzystać tę odrobinę czasu i przenieść się w zdrowsze okolice. Uda się czy nie – i tak nie ma wyboru.

Z wysiłkiem wybrnął spomiędzy szeleszczących liści. Ramię bolało, noga rwała dotkliwie. Trudno. Nie czas na wylegiwanie. Jeżeli będzie zwlekał, inni wyszukają mu łóżeczko dwie stopy pod ziemią. Albo jeszcze płycej, zależnie od humoru i fantazji. Wtedy odpocząłby na amen. Ale lepiej nie. Powstanie na nogi należało do jeszcze trudniejszych zadań. Dobrze, że akurat miał pod ręką pomocne dźwignie w postaci szerokich pni drzew. Pnie też pomogły w wykonaniu pierwszych kroków. Bez nich runąłby z powrotem na ziemię. Mięśnie w nogach zdrętwiały na amen. Ale jakoś szedł. I to coraz raźniej. Bezwład mięśni ustępował po trochu. Szedł na oślep przed siebie. Każdy kierunek był równie dobry, a właściwie równie zły. Bo w każdej stronie świata mógł się natknąć na prześladowców.

Skądś, tymczasem jeszcze z oddali, dobiegł przytłumiony gwar ludzkich głosów. Przedtem nie było słyhać nic. A więc wracali! Przyspieszył kroku, choć nie przychodziło mu to zbyt łatwo. Przed oczyma zaczął migotać rój ognistych iskierek, niby korowód świetlików. W uszach szumiało. Poprzez szum jednak przebijały głosy nawoływań. Pogoń! Świadomość narastającego niebezpieczeństwa utrzymała go na granicy przytomności. Zacisnął szczęki aż do bólu. Nie wolno zemdleć. Inaczej powieszają jak psa. A tak może... Choć właściwie zdawał sobie sprawę, że szanse ocalenia przedstawiały się nader nikło. Jeżeli jeszcze ten las jest duży, to wtedy...

Niestety, las nie był duży. W ogóle nie był lasem: zagajnik czy coś w tym rodzaju. Drzewa zaczęły rzednąć, po kilkudziesięciu krokach stanął przed otwartą przestrzenią, porośłą niskimi badyłami na wpół zwiędłej roślinności, zbyt niskimi, by można było liczyć na jakiegokolwiek schronienie.

Rozejrzał się wokoło. Chwilowo nie zauważył nic niepokojącego. Ruszył dalej. Znowu jakaś kępka drzew. Trzy czy cztery chuderlawe pniaki. W każdym razie wystarczyły by w razie naglącego niebezpieczeństwa przepaść na chwilę za ich osłoną. Gdy minął kępkę, stanął jak wryty. Tuż przed nim wyrastał porządnie zestawiony płot, a dalej, w odległości zaledwie kilkunastu jardów, białł się na wpół ukryty w gęstych liściach pnących roślin zrąb murowanego domu. Potarł mocno dłonią czoło, jakby chcąc pobudzić w ten sposób ociężałe myśli do szybkiej

pracy. Dom – to znaczy ludzie. A ludzie... No tak... Ale może ich akurat nie ma w domu. Albo mogą nie wiedzieć o tych wszystkich historiach. W ostatnim wypadku, aby ich tylko poczęstować lekkostrawną bajeczką... A już w komponowaniu wszelkiego rodzaju bajeczek Czarny John był majstrem nie lada. Należało to poniekąd do jego zawodu, jako jeden ze środków pomocniczych. Szczególnie przy pokerze. I nawet w obecnym stanie umysłu zdoła coś niecoś sklecić. A jeżeli wiedzą? Nie, raczej nie. Bo w przeciwnym razie pospieszyliby na miejsce wypadku. Albo wzięliby udział w pościgu. Chyba tylko kompletny niedołęga pozostanie w domu, mając przed nosem taką pierwszorzędną sensację. Cleveland zaś nie robiło wrażenia miasta, w którym tego rodzaju zdarzenia stanowiły chleb powszedni. Drgnął. Powiew wiatru przyniósł wyraźny okrzyk ochryplego głosu.

– Wyłaż taki synu! Mam cię na muszce!

Przesunął wokoło baczny spojrzeniem. – Nie. Tym razem jeszcze nie... Ot taki „strzał na ośle”. Widocznie jednak zaczęli przeszukiwać zagajnik. Za parę minut najdalej przyjdą i tutaj. Nie było czasu na rozmyślanie. Nie następują wprawdzie jeszcze na pięty. Za chwilę za to będą następować... Musiał powziąć jakąś decyzję. Sterczenie w miejscu nie miało najmniejszego sensu.

Niezdarnie przelazł się przez wysoki płot i skradającym krokiem ruszył ku domowi. Po przebyciu kilkunastu kroków musiał odpocząć, oparty o zimny mur domu. Liście pnące się po ścianie zaszumiły alarmująco. Hałas jednak nie wywołał żadnego oddźwięku wewnątrz. Stał akurat naprzeciwko okna, chcąc zajrzeć do środka. Niestety bezskutecznie. Okno szczelnie zasłaniał nieprzezroczysty muślin białej firanki. Ostrożnie obszedł dom naokoło. Miał wrażenie jakby w łydkach tkwiły zamiast mięśni strzępki wiotkiej waty, czuł się zupełnie marnie. Drzwi robiły całkiem solidne wrażenie. Jeżeli zamknięte? Przystanął niezdecydowany.

– Co tam – machnął ręką – trzeba spróbować. Tak czy inaczej... Zresztą w tych stronach mieszkańcy wychodząc z domu nie zawsze używają klucza. Powoli wyciągnął rękę przed siebie. Położył ją na klamce. Potem nacisnął lekko. Zgrzytnęła sprężyna. Wstrzymał oddech, nasłuchując. We wnętrzu panowała niczym nie zmacona cisza. Więc może...

Zdecydowanym ruchem pchnął drzwi. Pisnęły cieniutko zawiasy. W oczy uderzyła biała powierzchnia gładkiego sufitu.

I nagle zamarł w miejscu z podniesioną do następnego kroku nogą: tuż przed nim zaczęła krążyć wylotu lufy rewolwerowej. I to lufy wymierzonej prosto w jego pierś.



## V

Nad rewolwerem bieląła wymizerowana twarzyczka dziewczęca. W wielkich, piwnych oczach zamigotało nieukrywane zdumienie. Widocznie oczekiwała kogoś innego. I właśnie na tego innego przygotowała rewolwer, obciążający jej śniadą rączkę. Lufa rewolweru drgnęła niezdecydowanie.

– Pan... Czego tu?...

Znowu jednak otwór lufy powrócił na poprzednie miejsce i znieruchomiał mierząc gdzieś w okolicę krawędzi serca Czarnego Johna. Wąski, kształtny palec spoczął z dostatecznym zdecydowaniem na cynglu. Widocznie pobieżna ocena osoby przybysza nie wzbudziła dostatecznego zaufania. Zresztą, nic dziwnego. Zakurzone do ostateczności, miejscami porwane ubranie, upstrzone na dobitkę szczątkami zeschniętych liści, gorejące, na wpół przytomne oczy, zakrzepła krew na spodniach i do kompletu krwawiące bezustannie ucho, wszystko to razem nadawało Czarnemu Johnowi pozory w najlepszym razie jakiegoś podejrzanego łotrzyka. I co więcej, pozory niezbyt daleko odbiegające od prawdy.

– Ręce do góry!

Głos dziewczyny brzmiał energicznie. Skupiona w determinacji mina wskazywała, że nie zawaha się w razie potrzeby zrobić użytku z trzymanej w ręku broni. Przynajmniej John nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości.

– Ręce do góry! – powtórzyła groźniej, widząc, że przybysz nie reaguje. Ruch rewolwerowej lufy podkreślił znaczenie słów.

John jednak nie podniósł rąk. Nie wykonał najslabszego bodaj ruchu. Wargi jego wykrzywił gorzki uśmiech. A więc na to los dał szansę? W każdym razie dobre i to. Przyjemniejsza już śmierć z ręki tej uroczej dziewczyny, niż zawiśnięcie na drzewie. No i kula... Tak, kula to nie stryczek... A z tej odległości kaliber 32 też wystarczy. Znał przecież dostatecznie dobrze te sprawy. Fachowiec. Że zginie z ręki słabej kobiety? Co tam... nawet dziecko potrafi nacisnąć cyngiel naładowanego rewolweru. Gdyby stał przed nim mężczyzna, może zaryzykowałby walkę. Zresztą nie byłoby ryzyka. I tak nie pozostawało mu już nic do stracenia. A może i nie ruszyłby palcem. Raczej chyba nie. Czuł piekielne zmęczenie. Zawsze kiedyś, prędzej czy później, musi przyjść koniec szlaku.

– No?! – palec na cynglu lekko drgnął.

– Strzelaj, panienko – powiedział niemal uprzejmie. Naprężone dotychczas jak struny mięśnie nagle zwiotczały. Ręce opadły bezwładnie wzdłuż boków. I nawet pełzający wzdłuż krzyża dreszczyk znikł bez śladu. Tylko męcząca suchość podniebienia nie ustawała.

W piwnych oczach zamigotało znowu zdumienie. Jeszcze większe jak poprzednio. Nie mogła zrozumieć postępowania dziwnego przybysza. Wychowana na preriach, nie po raz

pierwszy trzymała w ręku rewolwer. Ale dopiero po raz pierwszy w życiu widziała, by ktoś patrzył z tak doskonałą obojętnością w otwór, z którego za chwilę wionie śmierć.

– Dlaczego... Dlaczego pan... – wyjąkała. I nagle patrząc w te beznamienne, przyciemnione oczy, zdała sobie sprawę, że przegrała walkę. Żeby zaszło Bóg wie co, nie potrafi już pociągnąć cyngla. Czarny John oparł się ciężko całym ciałem o framugę drzwi.

– Dlaczego nie podnoszę rąk do góry? – dokończył jej pytanie.

– Tak – kiwnęła głową. – Skoro ja... Powinien pan...

– Tak – westchnął. – Oczywiście... powinienem. Jeżeli już nie ze względu na rewolwer, to choćby dlatego, że żąda tego dama.

Każdy dżentelmen powinien usłuchać rozkazu damy. Nawet należący do najlichszej klasy dżentelmenów... Ale widzi pani – wargi jego drgnęły w nijakim uśmiechu – ja... nie jestem dżentelmenem. A zresztą nie chce mi się podnosić rąk. Może mi się nie chce, może po prostu brak mi sił do wykonania tego zadania...

Czy ja wiem – wrzucił ramionami. Ledwo zdusił syknięcie. Tak bardzo przy tym ruchu zapiekł rozbity obojczyk. Zamrugał powiekami. Nie bardzo wiedział, jak ma postąpić w tej sytuacji.

– To... To niech pan idzie sobie...

Czarny John przymknął powieki. Głowa ciążyła mu coraz bardziej.

– Niestety... i tu muszę odmówić. Nigdy już stąd nie pójdę.

Dziewczyna była wyraźnie zmieszana.

– Ale dlaczego?

Coraz mocniej wspierał plecy w nieustępliwe drzewo framugi. Siły opuszczały go z każdą chwilą. Czuł, że jeszcze trochę i upadnie. Trzymał się resztkami woli: miał ambicję umrzeć na stojąco. Chwilami widział przed sobą dwie lufy rewolwerowe, dwie dziewczęce twarze, niekiedy nie widział żadnej. Mgła tańcząca przed oczami wyprawiała dziwne harce. W uszy uderzył oddalony okrzyk:

– Tu szukajcie chłopcy tego skurczybyka, tu!

– Widzi pani... – głos jego chrypl z każdym słowem – gdy na człowieka przyjdzie czas umierać, nikt na to nie zdoła poradzić. Ani ja... ani pani... ani nawet ci, co gonią za mną, aby mnie powiesić na pierwszym z brzegu drzewie. I właśnie taki czas dziś przyszedł na mnie...

Rewolwer w ręku dziewczyny wyraźnie drgnął.

– Chcą... chcą pana powiesić?

– Okropnie... wprost tego pragną – potwierdził. – I proszę mi wierzyć: nie omieszkają swego pragnienia wprowadzić w czyn. Jeżeli tylko pani przedtem nie zdecyduje się nacisnąć nieco mocniej cyngla. Ten drobny ruch przyniósłby wszystkim wielorakie korzyści. Mnie – bo uniknąłbym w ten sposób stryczka... Pani – bo zdobyłaby pani sobie nieprzemijającą sławę

pogromczyni morderców... Tym co penetrują las, bo oszczędziłoby im to zbędnego wysiłku...

– Chcą pana powiesić... – powtórzyła – za co?

– Ooo! – wierzchem dłoni otarł pot z czoła. – Ze swego punktu widzenia mają rację. Zabiłem człowieka – zakończył krótko.

Piwnie oczy rozszerzył wyraz przerażenia.

– Pan... zabił? Bezbronnego?

Blade wargi Johna wykrzywił wyraz niesmaku.

– Bezbronnego? No... w każdym razie do tego jeszcze nie doszedłem... Do tego... jeszcze nie... – powtórzył. – Awantura przy kartach. On pierwszy sięgnął po broń, a ja... – machnął ręką. Cóż...

– I za to chcą pana powiesić? – była niezmiernie zdumiona. Zbyt dobrze знаła panujące na zachodzie zwyczaje, by móc zrozumieć dysproporcje pomiędzy winą i karą.

– Bo, widzi pani...

Krzyki i nawoływania zbliżały się coraz bardziej. Teraz usłyszała je również dziewczyna.

– Czy to właśnie ci? – przerwała mu w momencie, gdy chciał wymienić nazwisko zabitego.

– Tak – potwierdził z obojętnym uśmiechem. – Wkrótce będzie pani miała okazję oglądania sceny egzekucji. Z góry przepraszam za wszelkie uchybienia, jakie mimo woli mogę wnieść w wykonanie tej sceny. Widzi pani, dopiero po raz pierwszy w życiu będę wisiał.

Nagle poczuł niespodziewany przyływ energii. Przypomniał sobie ostatni wzrost płomienia gasnącej świecy. On przecież również się dopalał. Co tam, tak czy inaczej potrafi umrzeć z godnością. Szczególnie, gdy ona będzie przy tym.

Ściągnięte brwi dziewczyny wskazywały na usilną pracę myśli. Nie potrafiłaby wyjaśnić, co ją popchnęło do decyzji, którą w chwilę później wykonała. Dopiero kiedyś znacznie później zrozumiała, dlaczego postąpiła właśnie tak, a nie inaczej.

– Czy... – nasłuchiwała z rosnącym niepokojem nadciągającej z każdą chwilą wrzawy pogoni – czy może mi pan przysiąc, że tamten pierwszy sięgnął po broń? Czarny John podniósł ociężałe powieki i obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem. – Czy przysięgać? – powtórzył powoli, jakby zastanawiając się nad każdym słowem – Cóż... Pewno, że mógłbym. Ale nie chce mi się w tej chwili przysięgać. Tak samo zresztą, jak nie chce mi się kłamać...

– W takim razie – lufa rewolweru nagle opadła w dół. – W takim razie – pociągnęła go za rękaw – niech pan idzie...

Nie rozumiał po co i dokąd ma iść, dał jednak sobą bezwolnie powodować. Stawiając sztywno kroki, szedł za nią jak bezduszny automat.

Wepchnęła go do jakiejś ciemnej komórki.

– Proszę się nie ruszać i nie wychodzić stąd w żadnym wypadku – rozkazała, zamykając wąskie drzwiczki, zbite z cienkich desek. Osunął się bezwładnie na podłogę...

– Dziwne są niekiedy zrządzzenia losu – pomyślał tępo, wpadając w stan odrętwienia.

## VI

Do pokoju weszło ich tylko trzech. Pozostali przystanęli w ogrodzie, rozprawiając o czymś przyciszonymi głosami. Jak na komendę zdjęli z głów kapelusze. Patrzyli na nią tak dziwnie, że serce jej w piersi zaczęło trzepotać niespokojnym alarmem przeczucia czegoś złego. Pierwszy podszedł ku niej wuj Spencer i przycisnął nic nie rozumiejącą do szerokiej piersi.

– Kate... Kate... – zaczął drżącym głosem – musisz być dzielna, kochanie...

– Co się stało, wuju? – patrzyła na niego szeroko rozwartymi z przerażenia oczami. – Czy... czy może coś z tatusiem?

Zwiesił ponuro głowę.

– Tak... dziecko... ale trzeba sobie powiedzieć... Przecież na każdego z nas prędzej czy później... – jękał bezradnie. Ułożył wprawdzie całe przemówienie jeszcze w drodze, ale wskutek przerażenia wyzierającego z oczu ukochanej siostrzenicy, wyuczone słowa uleciały z pamięci.

Palce jej zacisnęły się kurczowym chwytem na krawędzi stołu.

– Tatuś – szepnęła ochryple – tatuś nie żyje?

Zwiesił głowę jeszcze niżej i milczał, gładząc czarną gęstwę włosów dziewczyny.

Nagle silnie pobladła i zachwiała się. Przygarnął ją mocniej ramieniem, by zapobiec upadkowi na podłogę. W izbie zapadła przeciągła cisza. Słyszać było wyraźnie spazmatyczny oddech Kate. Na czoło jej wystąpiły drobne kropelki potu. Widać było, że mociuje się ze swym bólem.

Dwaj przybyli ze Spencerem mężczyźni stali nieruchomo, jakby wryte w ziemię, bezduszne figury. Usiłowali nie patrzeć na wykrzywioną skurczem gwałtownego bólu twarzą. Głęboko zarysowane pod oczyma dziewczyny cienie miały swą tragiczną wymowę.

Wreszcie wyprostowała się sztywno, odsuwając delikatnym ruchem ramię wuja.

– Dziękuję... – głos jej rwał się jak cienka przędza. – Ja... ja sama... Ciężko opadła na krzesło. Serce zalewał bezmiar goryczy.

– Tatuś... już nigdy...

Zacisnęła z całych sił wargi, by powstrzymać narastający w głębi gardła szloch. Nie... nie przyniesie wstydu pamięci ojca. Musi się opanować. Żeby nie wiem ile ją to miało kosztować.

Gdy znowu podniosła głowę, twarz jej była niemal spokojna.

– Jak się... to stało? – zapytała z wysiłkiem.

Spencer odetchnął z prawdziwą ulgą. Był przygotowany na spazmy, a tu.....Dobra krew – skonstatował w duchu z mimowolnym podziwem.

– Zginał na posterunku – zaczął przetykając ślinę – doniesiono mu, że jakiś szuler rozbija się w saloonie starego Szymona... Wiesz, jak bardzo zawsze dbał o czystość naszego miasta. Poszedł i wygarnął przybyszowi w oczy, co o nim myśli. A tamten... No tak, czyż taki opryszek liczy się

z czymkolwiek?... Doszło do strzelaniny... I George... na miejscu – pogładził delikatnie zwisającą bezwładnie rękę Kate. – Nie cierpiał wcale.

– A morderca?

– Hm... – Spencer pokiwał z zakłopotaniem głową. – Otóż to... mieliśmy go już w rękach... I oczywiście stryzyk... Ale wyprysnął nam spomiędzy palców. Taki odmieniec! Skoczył przez zamknięte okno... Goniliśmy do upadłego, by pomścić śmierć twego ojca. Myśleliśmy, że już go mamy, gdy nagle zniknął... właśnie tu w zagajniku. Złapaliśmy tylko mustanga... Ale możesz być spokojna. Będziemy szukać choćby do samego dnia. I obedrzemy drania ze skóry zanim zawisnie na gałęzi. Zresztą nietrudno go będzie znaleźć. Mało kto ma tego koloru włosy. Czarne, jak sadza...

Kate nagle drgnęła.

Pod czaszką zalśniła jasnością błyskawicy myśl: „Strzelanina przy kartach... gonili aby powiesić... Włosy jak sadza...”

– Ależ wuju – niemal krzyknęła – to ten sam zamordował ojca, co...

– Nie – przerwał jej w pół słowa – nie znasz go, obcy. Nikt go przedtem u nas nie widział. Szczupły z gorejącymi oczami. Szuler i rewolwerowiec. Ale my go już znajdziemy.

Mózg Kate pracował gorączkowo. Czarny, szczupły, z gorejącymi oczami? Teraz już nie miała najmniejszej wątpliwości. Podniosła ramię, by wskazać drzwi komórki.

Nagle w ostatniej chwili coś ją powstrzymało. Słowa zamarły niewypowiedziane na wargach. Przed oczami stanęła wymizerowana twarz zgonionego do ostateczności człowieka. W uszach zadźwięczały słowa wypowiedziane zmęczonym, bezbarwnym głosem: „nie doszedłem jeszcze do tego, by strzelać do bezbronnego... tamten pierwszy wyciągnął broń...”

A jeżeli mówił prawdę?

Ramię opadło w pół drogi.

Znała zapatrywania ojca na te sprawy. I wiedziała, że nigdy nie ścigał człowieka, który strzelał w obronie własnej.

Na czoło jej wystąpiły kropelki potu. Tak trudno powziąć jakąkolwiek decyzję. Bo przecież od tego, co się stanie za chwilę, zależy życie człowieka.

– Wuju – spojrzała z napięciem w twarz Spencera – chciałabym wiedzieć wszystko... powiedz, czy ten... morderca pierwszy wyciągnął rewolwer?

– Hm – Spencer zawahał się – George tak bardzo był zawsze dumny ze swej sprawności strzelca. Więc może by... Ale z drugiej strony kłamać? Wprost organicznie nie znosił kłamstwa. Zresztą i tak prędzej czy później mała dowie się prawdy. – Nie – bąknął wreszcie niechętnie. – George trzymał go już niemal na muszce, gdy tamten dotknął kolby... cóż... sama rozumiesz, zawodowy rewolwerowiec. Gdzie tam takiemu może dorównać ktoś z uczciwych ludzi...

Pionowa zmarszczka na czole Kate pogłębiła się jeszcze bardziej. Więc jednak czarnowłosy

opryszek mówił prawdę. Zebrała siły. To jednak było nie w porządku.

– W takim razie... za co chcecie go powiesić?

Żachnął się zaskoczony nieoczekiwanym pytaniem. Spojrzał na nią z nieukrywanym zdumieniem.

– Jak to, za co? I ty o to pytasz? Ty, jego córka?

– Podniosła nieświadomie dumnym ruchem głowę.

– Tak – powtórzyła z mocą – ja, córka szeryfa Blythe. Przecież wiesz wuju, że ojciec w takim wypadku nigdy by nie tylko nie dał powiesić człowieka, ale nawet by go nie zamknął! Sięgnięcie po broń w chwili, gdy stoi się wobec wymierzonego we własną pierś rewolweru, nie jest morderstwem. To... tatuś mnie tego nauczył – dokończyła słabnącym głosem.

Spencer był wyraźnie zmieszany.

– To znaczy... chciałabyś, by śmierć twego ojca pozostała niepomszczona? – zapytał z wyraźnym wyrzutem.

Skinęła odważnie głową.

– Tak, ojciec całe życie poświęcił, by wykorzenić zemstę, a wprowadzić sprawiedliwość. A teraz, gdy go nie stało, wy...

Spencer coś przeżuwał w myśli.

– Ale... przecież on strzelał do szeryfa... rozumiesz? Do urzędowej osoby, w czasie wykonywania przez nią służby, więc...

– A czy wiedział, że tatuś jest szeryfem?

Wzruszył ramionami.

– Czy ja wiem? – mruknął po chwili wahania. Jednak i tym razem w końcu przemogła niechęć do kłamstwa. – Chyba raczej nie wiedział – dorzucił ponurym głosem – bo George miał gwiazdę pod kurtką. Jeżeli go nie znał przedtem, to... – zamyślił się. Wreszcie machnął ręką. – Co tam, morderstwo czy nie, będzie wisiał. Gdybym nawet chciał przyznać ci rację, to i tak nie potrafiłbym wyperswadować chłopcom. Rozżarci jak tygrysy. Kochali swego szeryfa. Każdy by dał się za niego porąbać. A teraz...

Kate przymknęła powieki, by wuj nie wyczytał z jej oczu myśli. Zbyt wiele naraz zważyło się na nią. Decyzja jednak zaczęła się krystalizować. Wiedziała, jak postąpiłby ojciec w takich okolicznościach i jak kazałby jej postąpić. Przecież nie raz powtarzał: dopóki zemsta nie ustąpi wymiarowi sprawiedliwości, kraj ten pozostanie dzikim polem, leżącym poza prawem.

## VII

Dopiero, gdy tętent koni ucichł w oddali, dała folgę łzom.

– Tatusiu! – szlochała żałośnie. – Już nigdy...

Poczucie bezpowrotności tego, co się stało, bolesnym chwytem szeptało umęczone serce.

Nie zdawała sobie sprawy, jak długo trwało zanim zdołała się opanować. Zęby cicho dźwięczały o szkło, gdy przytknęła szklanke do ust. Piła drobnymi łyżkami. Szloch powoli cichł. Musi się uspokoić. Tyle jeszcze było do zrobienia zanim przywiozą ojca.

Otarła oczy. Przede wszystkim trzeba było zająć się tym nieszczęśnikiem w komórce. Ciężar zadania, jakie miała wykonać, wydawał się przerastać jej siły. Żeby właśnie ona, córka... Cóż z tego, że nie morderstwo? Ale pomagać w ucieczce człowiekowi, z którego ręki zginął tatuś? Patrzeć na niego... Przycisnęła wargi zębami. Musi! Ojciec na pewno chciał tego. Nie było czasu do stracenia. Lada chwila któryś z tamtych mógł zajrzeć na farmę. Ociągając się podeszła do komórki. Przed drzwiami zawahała się jednak. To naprawdę nie było takie łatwe.

– Halo! – zawołała drżącym głosem – wychodzić!

W komórce panowała niezmacona cisza.

...Czyżby uciekł sam? – pomyślała z nadzieją. To ogromnie uprościłoby sytuację.

Nadzieja jednak szybko zgasła. Z komórki przecież nie było innego wyjścia. Pewno się po prostu przyczaił. Przez krótką chwilę wzrok jej przywarł do zawieszzonego na ścianie rewolweru. Nie sięgnęła jednak po broń. Pomimo wszystko czarnowłosy nie robił wrażenia zdolnego do zamordowania kobiety.

– Wychodzić! – krzyknęła głośniej.

Ale i tym razem wezwanie pozostało bez oddźwięku.

Poczekala chwilę, wreszcie złapawszy skobel szarpnęła drzwi, otwierając je na oścież.

Oczy jej rozszerzył wyraz zdumienia. Na podłodze leżał bezwładny kształt, przypominający stertę łachmanów.

...Umarł?

Przesunęła wzrokiem po pokrytej gęstymi plamami krwi bluzie leżącego. Nachyliła się, potrząsając bezwładnym ramieniem. Nie odniosło to skutku. Usłyszała za to ledwo uchwytny szmer nieregularnego oddechu. Więc jednak żyje.

Rozejrzała się bezradnie po izbie. Co robić? Wzrok natrafił na karafkę. Tak... to raczej powinno pomóc. Chlusnęła obficie wodą w ziemistoszarą twarz.

Pomogło rzeczywiście. Powieki mężczyzny drgnęły i ociężale uniosły się w górę, odsłaniając mętne źrenice. Zamrugał na wpeł przytomnie.

Prysnęła znowu.

Mętność źrenic zaczęła powoli ustępować.



– Co...? Ach, tak... prawda – szeptał ochryple – to pani... bardzo przepraszam... ale...

Podawała mu szklanke.

– Proszę wypić!

Z trzymanej drżącą ręką mężczyzny szklanki, bryzgi leciały na wszystkie strony. Chcąc nie chcąc musiała mu pomóc. Sytuacja stawała się coraz cięższa.

– Dziękuję – odsunął niemrawym ruchem szklanke. Nabral powietrza do płuc – dziękuję – powtórzył jeszcze raz – przepraszam za kłopoty.

Zaczął się niezdarnie gramolić z podłogi. Gdyby go nie podtrzymała, runąłby z powrotem. Drgnęła w chwili, gdy ramię czarnego opryszka opasało jej barki. Ale wbrew oczekiwaniom, nie doznała uczucia odrazy. W sercu jej panowała w tej chwili litość dla tego bezwładnego strzępka człowieka, wypierając wszelkie inne uczucia.

Oparł się wreszcie plecami o ścianę. Poruszając z trudem głową, rozejrzał się wokoło.

– A... a tamci?

– Odjechali, ale w każdej chwili mogą wrócić.

– Wrócą – wargi jego wykrzywiła nędzna imitacja uśmiechu – a ja...

Usiłowała nie patrzeć na niego.

– Pan musi uciekać – oświadczyła stanowczo.

– Uciekać?... Hm... – w głosie brzmiały nutki powątpiewania – pewno, trzeba... ale...

– Nie może pan iść o własnych siłach?

– Otóż to – pokiwał z ubolewaniem głową – diablo coś na to wygląda, że nie mogę.

Obrzuciła go krytycznym spojrzeniem. Wystarczył zresztą rzut oka, by przyznać mu rację. Nie było mowy, by w tym stanie mógł wyruszyć w jakąś dalszą trasę. Zamyśliła się. Coś trzeba jednak wykombinować.

Czarny John obserwował ukradkiem dziewczynę. Zauważył opuchnięte powieki i zaczerwienione oczy. Płakała?

– Zastanawiam się, dlaczego właściwie ukryła mnie pani przed pościgiem – zapytał zniecierpliwiony.

Drgnęła, wyrwana z rozmyślań.

– Bo... bo tak było trzeba – nie patrzyła na niego.

Zdumiała go nieoczekiwana wrogość, dźwięcząca w jej głosie.

– Ooo! – westchnął – nie rozumiem.

Rzeczywiście nie rozumiał. Ocaliła mu życie, a zaraz potem ten nienawistny ton. Przecież nie miała powodu ani do ratowania, ani do nienawiści. A może po prostu żałowała swego postępcu?

Odwróciła ku niemu pobladłą twarzą.

– Nie czas teraz na tłumaczenia – powiedziała głucho – proszę poczekać – wskazała ruchem ręki krzesło – zaraz wracam.

Wyszła zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Czarny John był coraz bardziej zdziwiony. Coś tu nie pasowało jedno do drugiego. Poszła wezwać prześladowców z powrotem?

– Ach – wzruszył ramionami – tak czy inaczej... – opanowała go nagle bezgraniczna obojętność. Czepiając się ścian doznał niepomiarnej wysiłkiem do krzesła i opadł na nie całym ciężarem.

Czuł się piekielnie słabo. Chwilami tracił poczucie rzeczywistości, ściany falowały jednostajnym ruchem. Las? Nie, przecież to morze... Szmaragdowe fale szumią kojąco. Woda narasta niebotyczną ścianą. W pierś godzi palec... Nie, to nie palec... To niepomiarnej długo lufa rewolwerowa. „Omijaj o milę szeryfa Blythe’a” – szepcze ostrzegawczo hombre w połataniej bluzie...

Trzask drzwi wyrwał go z półdrzemki. Stała przed nim tajemnicza dziewczyna, która uratowała mu życie.

– Czy zdoła pan utrzymać się w siodle?

– W siodle? – powtórzył powoli pytanie zastanawiając się nad jego celem – o, na pewno zdołałbym. Ale, widzi pani, mój wierzchowiec wyruszył swoim własnym szlakiem. I dlatego też zagadnienie pozbawione jest znaczenia – westchnął z niekłamanym żalem.

– Pożyczę panu mojej wierzchówki. Odprowadzi mi ją pan... gdy będzie jakaś okazja – dodała bez przekonania.

– Na pewno odprowadzę – zapewnił solennie.

Znowu musiała go podparć ramieniem, prowadząc ku wyjściu. Na siodło zdołał jednak wdrapać się o własnych siłach. Siedział już w końcu, odwrócił się ku niej całym ciałem:

– Nie jestem nawet w stanie wyrazić pani ogromu wdzięczności – w głosie jego dźwięczała gorąca nuta uwielbienia. – Gdyby pani wiedziała ile jej zawdzięczam...

Drgnęła jak od uderzenia. Dzięczynne przemówienie stało się kroplą zrywającą tamy. To więcej, niż mogła znieść jej wytrzymałość.

– Niech pan jedzie! – niemal jęknęła.

– Ale, ja...

– Proszę już wreszcie jechać... – znowu ten ton przepojony nienawiścią.

John zamrugał powiekami.

– Naprawdę nie rozumiem... i...

– Ten, którego pan zastrzelił... był moim ojcem! Teraz pan rozumie? – wybuchnęła.

John zachwiał się jak ogłuszony nieoczekiwanym ciosem maczugi.

– Pani ojcem? – powtórzył jak echo.

– Tak, jestem córką szeryfa Blythe’a – łyżki zalśniły w piwnych źrenicach. Przesunął dłoń po czole, chcąc spędzić ten straszliwy koszmar...Jegomość z kozią bródką, padający na podłogę...

oznaka szeryfa... stryczek odsunięty od szyi rękami córki zabitego...

Tak, teraz zrozumiał wreszcie przerażającą prawdę.

– No... cóż... trudno... chwiał bezsilnie głową, która nagle zaciężyla ogromnym brzemieniem.

– W takim razie... – niezdarnie zaczął schodzić z siodła.

– Co pan robi? – krzyknęła.

– Ja? – wzruszył ramionami – czyż pani naprawdę sądzi, że po tym co usłyszałem, będę ratował życie, które jeszcze tylko dlatego we mnie kołacze, że pani... że jego córka...

Widziała, że jest naprawdę zdecydowany zejść na ziemię. Ale do tego nie mogła dopuścić. Zbyt wiele ją kosztowało to, co uczyniła.

– Ojciec... gdyby żył, też puściłby pana wolno. On... zawsze... że sprawiedliwość... a... – głos jej załamał się w powstrzymywanym szlochu. John jednak nie słyszał. Jeszcze chwila i stanie na ziemi.

Czyjeś kroki zaskrzypiały na żwirze poza domem. Lada chwila nadejdzie któryś z kowbojów. A zbyt wiele słyszeli wszyscy o „czarnowłosym mordercy”, by się nie zorientować od razu.

Kate uderzyła nagle z całych sił klacz. Nie przyzwyczajona do takiego traktowania „Cocky” spłoszyła się, sadząc olbrzymimi susami w kierunku otwartej furtki. Czarny John mimowolnym ruchem chwycił cugle. Po chwili zniknęli oboje w tumanach kurzu wzbijanych kopytami konia.

Kate oparła się plecami o chwiejny płot.

– Tatusiu – ukryła twarz w dłoniach – jak okropnie ciężko spełniać testament twego życia... Ty sam widzisz, jak ciężko...

Poprzez wąskie palce ściekały powoli łzy.

## VIII

Brzęcząc rozgłośnie obluzowanym żelastwem zdezelowanego motoru, przedpotopowy ford doktora Harveya znieruchomiał przed gankiem saloonu.

Doktor spojrział na zegarek i zamruczał pod nosem z dezaprobatą. Naturalnie, noc diabli wzięli. A w domu na pewno czeka cała gromada stęsknionych pacjentów. Ani mowy nie ma, by dali choć trochę odsapnąć.

Był piekielnie zmęczony. Łatanie trzech paskudnie poharatanych przez wybuch kotła na tartaku ciał nie należało naprawdę do łatwych zadań.

W tych warunkach przepłukanie zaschniętego gardła szklaneczką whisky stawało się koniecznością, zarówno z punktu wymagań medycyny jak i życiowych.

– Halo?! – przystanął na progu. W izbie barowej nie było nikogo.

Poprzez wąską kotarę, zasłaniającą wejście do sali gry, przesiąkał szmer przytłumionych szeptów.

– Jakie лихо? – podobnego widoku nie spotkał w saloonie od czasu gdy po raz pierwszy przekroczył jego próg. A było to dobrych kilkadziesiąt lat temu. Jednym ruchem szarpnął zasłonę.

Na widok łez ściekających po starczych policzkach Szymona, doktor osłupiał do reszty. Szymon płaczący? To coś tak, jakby wierzchołki Deva Temple nagle zaczęły wywijać foxtrotta. Słowem: koniec świata.

– Powiedz, wreszcie do wszystkich diabłów, co się tu u was dzieje? – złapał oberżystę za rękaw.

Szymon zwiesił ponuro głowę.

– Szeryf... Blythe... – jąkał przerywanym głosem. Doktor pobladł. Blythe był jego starym druhem. Złapał Szymona za ramię.

– Co z szeryfem? – potrząsał nim gwałtownie – gadaj, na litość boską!

– Nie żyje!... Zastrzelono go... Kula w samo serce, i...

Teraz dopiero doktor dojrzał nieruchomą postać, zastygłą w bezruchu na brudnych deskach podłogi.

Odrąciwszy Szymona, jednym susem był przy leżącym. Jakiś mężczyzna, klęczący przy leżącym, powstał ociężale na nogi.

– Niestety doktorze – mruknął, wzruszając bezradnie ramionami. – Szeryfowi już nic nie pomoże...

Doktor zabrał się z gorączkowym pośpiechem do badania. Przyłożył szczelnie ucho do nieruchomej piersi, palce szukały pulsu. Z każdą chwilą wyraz jego twarzy stawał się coraz bardziej ponury. Wreszcie przytknąwszy metalowe lustro do sinawych warg szeryfa, zawisł

skupionym wzrokiem na jego gładkiej powierzchni.

Mijały chwile, długie jak wieki.

Nagle z piersi doktora wydobyło się głębokie westchnienie ulgi; powierzchnia lusterka zmatowiała, pokrywając się lekką mgiełką.

– Niech mi kto przyniesie walizkę z narzędziami z samochodu – rzucił w przestrzeń.

Na sali panowało poruszenie. Jak to, przecież szeryf nie żyje? Po cóż więc narzędzia? Kowboj, który przedtem klęczał przy szeryfie, próbował zaprotestować.

– Ależ, panie doktorze...

– Prędeż! – ryknął doktor.

Pomogło. Po chwili już stalowe ostrza migały w jego rękach.

Zapadła głęboka cisza, że słysząc było doskonale szmer oddechów. Oczy wszystkich obecnych przywarły do rąk doktora.

Doktor sapał, jak puszczone w ruch całą parą maszyna.

Nieskalany dotychczas połysk narzędzi chirurgicznych upstrzyły gęsto czerwone plamy krwi...

Cichy dźwięk ledwo dosłyszalnego jęku sprawił na obecnych wrażenie padającego tuż pod nogami pioruna. Bo dźwięk ten wyszedł spod języka szeryfa. Doktor nagle się wyprostował. W podniesionych do góry palcach tkwił kawałek pogiętego, czerwieniejącego krwią metalu. Ale kształt tego metalu w niczym nie przypominał pocisku rewolwerowego...

Sapnął. Odrzuciwszy tajemniczy przedmiot, znowu ujął pęsetę. Po chwili mignęła biała wstęga bandażu.

– Wody! – zawołał Harvey.

W saloonie zaczęła się biegania. O wodę właśnie było najtrudniej w takim lokalu. Ktoś podsunął napełnioną szklankę.

– Może być whisky? – zapytał nieśmiało.

Harvey wzruszył ramionami.

– Chciałem alkohol zachować na drugie danie, ale ostatecznie... – przytknął szklankę do ust szeryfa.

Z gardła wciąż jeszcze nieprzytomnego Blytha zaczął wydobywać się skomplikowany konglomerat dźwięków. Coś pośredniego pomiędzy bulgotaniem a krztuszeniem się. I nagle, bez żadnych ostrzegawczych znaków, szeryf otworzył oczy.

– Gdzie ten łobuz? – zachrypiął, tocząc wokół przekrwionymi oczami.

– Pogonili za nim – wyjaśnił ktoś spośród najbliższych stojących, zagapionych w nabożnym podziwieniu w zmartwychwstałego szeryfa.

– A... – szeryf splunął różową pianą. – O.K.! Jak go złapią... pięćdziesiąt dolarów grzywny za awantury w publicznym miejscu... z zamianą w razie nieosiągalności na trzy dni aresztu... –

westchnął i omdlał powtórnie. Gromada gapiów znieruchomiała. Nie wiedzieli: śmiać się czy płakać.

Harvey, wyciągnąwszy cebulasty zegarek, liczył skrupulatnie puls rannego. Minę miał przy tym raczej wesołą. Szymon dotknął delikatnie ramienia doktora.

– Doktorze, jak z szeryfem – zapytał cichutko.

Doktor wstał i wyprostował swą dość otyłą postać.

– All right! – oświadczył zwracając się do wszystkich. – Nic mu nie będzie, rana całkiem powierzchowna. Żeby nie to, że kula zahaczyła ramię urzędowej gwiazdy, a ta z kolei nacisnęła mocno na splot...

Ale nikt nie miał ochoty wysłuchiwać zawiłych wyjaśnień. Splot nie splot, jaka różnica? Grunt, że gorzko opłakiwany szeryf żyje, wszystko inne nie ma żadnego znaczenia.

Hasło do radosnej manifestacji pierwszy dał Szymon. Wdrapawszy się z niemałym zresztą trudem na stół, odtańczył coś w rodzaju wojennego tańca, wrzeszcząc przy tym na całe gardło:

– Hipp, hipp, hurra! – dla szeryfa! – Hipp, hipp, hurra – dla doktora! Wszystkie gardziele wtórowały mu z całym zapalem.

Harvey krzątał się przy zemdlnym, który powoli wracał do przytomności. Nagle grubas palnął się w czoło:

– Do licha – zaklął – że też mogłem o tym zapomnieć! – krzyknął – trzeba przecież czym prędzej zawiadomić miss Kate. Pewno się tam zapłakuje biedaczka na śmierć, a wy tu ryczycie sobie jak stado pawianów.

Szymon z wysokości swego zaimprovizowanego piedestału, machnął ku niemu ręką, uspokajającym gestem.

– Nie przejmuj się, doktorze. Wszystko w porządku. Nikt jeszcze nie zawiózł jej wiadomości o wypadku...

## IX

Mustang, którego John nabył gdzieś po drodze, nie miał zbyt reprezentacyjnego wyglądu. Zmierzwione kosmyki skołtunionej sierści sterczały na wszystkie strony. Łaciata maść pasowała raczej do krowy niż do wierzchowca. Charakterek też odpowiedni: umiał ni stąd ni zowąd wyrzucać wszystkie cztery nogi w górę, albo, odwróciwszy złośliwy pysk, kłapać szerokimi zębami. Nie po to bynajmniej, by nastraszyć, ale po to, by ugryźć.

Co tam... nie znalazł akurat nic odpowiedniejszego. Nieliczne okazy bardziej podobne do konia były stanowczo zbyt drogie, jak na jego zubożałą kieszeń. Kopyta stukały ostro po kamieniach rozrzuconych gęsto wzdłuż wąwozu. Rana nad kolaniem piekła mocno, choć ją jako tako zabandażował. Była poważniejsza, niż początkowo przypuszczał. Ucho mniej dokuczało, chociaż w tym upale i ono dawało znać o sobie.

Sforsował porządnie siły, odprowadzając zaraz następnej nocy pożyczoną klacz.

Było w tym sporo ryzyka, ale przeszło jakoś gładko. Nie spotkał nikogo po drodze. Zostawił konia uwiązane u furtki. Ciągnęło go, by zajrzeć przez okno do wnętrza domu. W ostatniej chwili zabrakło mu jednak odwagi. Bo przecież na pewno na środku pokoju stał katafalk i...

Teraz wędrował w kierunku Norfolk. Nie traktował tego miasteczka jako celu: odpocznie trochę i trzeba ciągnąć dalej. Gdzieś w okolicy pogranicza. Tu zrobiło się zbyt gorąco. A może nawet na odpoczynek nie stanie czasu? Krótki popas i dalej. Co tam, nie warto rozmyślać, na miejscu zobaczy co i jak. Norfolk nie leżało na szlaku, ale oczywiście łapacze i tam mogli zajrzeć, właśnie dlatego.

Do miasta dotarł wieczorem. Umyślnie zresztą przeczekał jakąś tam godzinę, ukryty za przydrożnymi krzakami. W mroku wszystkie koty są szare. Bezpieczniej...

Pogięty szyld gospody „Pod Złotym Lwem” wisiał na swoim miejscu. Tak samo jak zawsze wierzgały uwiązane u drewnianej balustrady, konie. Wszystko, jakby się nic nie zmieniło... a przecież zaszło tyle zmian. Właściwie, gdyby go ktoś przyparł do muru, nie potrafiłby wyjaśnić, na czym te zmiany polegały, jeszcze nie wiedział sam. Przecież nie po raz pierwszy w życiu pociągał za cyngiel rewolweru, wycelowanego w czyjąś pierś. Wprawdzie niezbyt często, zdarzało się jednak. I nie po raz pierwszy był w roli ściganego zwierzęcia, ale nigdy dotąd nie miał takiego wrażenia, jakby przez parę dni minęły całe wieki. A właśnie teraz...

Gdy ze zwieszoną głową wszedł do nasiąkłej tytoniowym dymem izby, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Cicho zajął miejsce za stojącym w samym rogu stolikiem. Zamówił jajecnicę, jedyną potrawę, którą można było spożyć „Pod Lwem” bez obawy ciężkiego zatrucia. Jeszcze teraz go nie poznano, dopiero gdy zdjął kapelusz z szerokim rondem.

– Na wszystkie moce piekieł! Ależ to Czarny John!

Przy stoliku wyrosła nagle tyczkowata postać. John powoli podniósł głowę. – Serwus Jack –

mruknął bez specjalnego entuzjazmu, chociaż Jack Carpenter należał do szczupłego kręgu jego przyjaciół, jeżeli tylko w fachu, w jakim obydwaj pracowali, może być mowa o przyjaźni.

Jacka jednak nie zraziło chłodne przywitanie. W ogóle trudno było go zrazić czymkolwiek.

– Jak się masz – chłopie! – uściśniętą dłoń Johna – O! – spojrzał badawczo – musisz się mieć nienadzwyczajnie, widywałem już przystojniejszych nieboszczyków. – Przyniósł sobie krzeselko. – Wyglądasz jakbyś przeszedł przez porządne opały.

John pochłaniał żarłocznie jajecznicę. Właściwie po raz pierwszy od trzech dni miał na łyżce coś solidniejszego. Po chwili talerz zaświecił niepokalaną pustką.

– Opały, powiadasz? – sięgnął po papierosa – a no cóż – zaciągnął się dymem – prawdę mówiąc, trudno zaprzeczyć, rzeczywiście było coś w tym rodzaju.

– Wpadłeś?

Czarny John obserwował misterne kółko dymu.

– Uhum... wpadłem.

Carpenter pokiwał z ubolewaniem głową.

– Przy twojej zręczności?

John wyciągnął wygodnie długie nogi.

– Trafiłem widocznie na zręczniejszego...

– Chcieli cię przyskrzynieć?

– Ba! – wydał wargi. – Żeby tylko. Zamierzenia ich sięgały znacznie dalej.

– Przecież nie mieli chyba zamiaru obdrzeć cię ze skóry?

John wzruszył ramionami.

– Czy ja wiem? Może i mieli, jako przekąskę, a na ostatnie danie: stryżek i gałąź.

Carpenter poruszył się niespokojnie.

– Jak to? – wytrzeszczył oczy – chcieli cię powiesić?

– Coś w tym rodzaju...

– Ale – nalał sobie ze stojącej butelki kieliszek, który wychylił jednym haustem – przecież... no – znowu sięgnął po butelkę. Był wyraźnie zdenerwowany – wieszając za grę, to jednak...

John zabębnił końcami palców po blaszanej powierzchni stolika.

– Nie przejmuj się stary, niezupełnie za szulerkę... jeszcze za coś tam...

– Za co?

John rzucił niedopałek papierosa na podłogę, przydusił go z namysłem końcem buta i sięgnął po nowego. Zapalał niezmiernie długo, jakby chcąc zyskać na czasie.

– Więc za co? – nalegał z niepokojem Carpenter.

– Morderstwo – rzucił lakonicznie. Wzrok miał utkwiony w czerwonym punkciku żaru na końcu papierosa.

– Co? Sprzątnąłeś kogoś na zimno? – w głosie Jacka brzmiały nutki niedowierzania – jakoś



nie wyobrażam sobie, byś był do tego zdolny.

John strzepnął niedbale palcami.

– Któż może przewidzieć, do czego jestem zdolny. Nawet ja sam raczej nie, ale w tym wypadku, masz rację. Awantura przy kartach, tamten pomacał kolbę, więc...

– I za to chcieli cię zlinczować? – znowu zdziwienie dzwięczało w jego słowach.

John patrzył na sfatygowany nosek prawego buta.

– Ba... – westchnął – szeryf!

– Który?

– Z Cleveland.

– Ooo! – spojrzał stropiony – ale chyba nie Blythe?

John pokiwał głową.

– Właśnie on.

– Hm – Carpenter zafrasował się na dobre – marny interes. Znam tych bubków z Cleveland. Patrzyli w niego, jak w bóstwo. A przecież to zwyczajny pies gończy. Tyle tylko, że bardziej od innych zajadły. I z lepszym węchem. Ale będą pewno bardzo rozżarci.

– Są rozżarci – stwierdził obojętnie.

– I nie ustaną tak prędko w pogoni.

– Nie mają najmniejszego zamiaru ustawać – sęczył małymi łydkami whisky. Carpenter rozmyślał dłuższą chwilę w milczeniu.

– Marnie – mruknął.

– Marnie – powtórzył obojętnie John – sam wiem.

– Ale dopóki jesteś tu... kryjówka pod schodami akurat wolna. Tam cię nie znajdą. Chyba, żeby rozwalili całą chałupę. A tu przecież nikt cię nie zdradzi. John milczał. Nie był zupełnie pewny tego ostatniego. Rozmaicie już bywało w gospodzie „Pod Żłotym Lwem”. Nie powziął jeszcze decyzji, co do dalszych swych losów.

– Chyba raczej pociągnę na pogranicze – powiedział z namysłem – bo wiesz, czuć tak ciągle stryczek zawieszony nad karkiem... i znów z drugiej strony gnić w tej śmierdzącej dziurze pod schodami. Żebym miał się specjalnie do tego palić, to nie powiem.

Carpenter obrzucił go krytycznym spojrzeniem.

– No... dziś w każdym razie nie wyglądasz na podróżnika. Po paru milach zaryłbyś nosem, jak amen w pacierzu. Trzymam setkę przeciwko złamanemu guzikowi.

Czarny John strzepnął z rękawa opadły popiół.

– Może bym i zarył.

– A widzisz, musisz trochę odsapnąć. Tymczasem poproszę Saszę, by zatelefonował do Galleghera. Jeżeli chcieliby tu wetknąć oko, muszą przejeżdżać tamtędy. Bo chyba przez góry przełazić nie będą. Szczególnie po nocy.

Podszedł do lady i, pochyliwszy nad nią swą nieproporcjonalnie długą sylwetkę, zaczął coś szeptać do ucha barmanowi.

Sasza był właścicielem gospody. Poza tym, miał jeszcze kilka innych zawodów, o których jednak niechętnie wspominał. Nawet przed ludźmi znajomymi od dawna. Właściwie nie nazywał się wcale Sasza i nie był Rosjaninem. Nie widział nawet nigdy na oczy prawdziwego Rosjanina. Kiedyś, przed laty, jakiś przybysz z Syberii nazwał go tym egzotycznym imieniem ze względu na wystające kości policzkowe i skośne oczy. I tak już zostało. Tym bardziej że ani on sam, ani większość jego gości nie żywiła zbyt wielkiego przywiązania do nazwisk rodowych.

John z początku nadśluchiwał, potem zaczął zapadać powoli w drzemkę. Był nieudźko zmęczony.

## X

Wstrząsy psychiczne, jakich Kate doznała w ciągu ostatnich dni, nie przeszły bez wrażenia. Były zbyt silne, nawet jak na odporność jej organizmu. Zapadła na zdrowiu. W pierwszych dniach choroba robiła groźne wrażenie. Doktora Harveya mocno niepokoiła przedłużająca się nieprzytomność pacjentki. Zresztą nie jego jednego. Szeryf Blythe łaził bez celu z kąta w kąt, ponury jak noc. Wściekał się, gdy mu ktoś wspominał o konieczności leżenia w łóżku albo o ranie.

– Nie zwracajcie mi głowy głupstwami – warczał gniewnie – mnie nic nie jest, a Kate...

Doktor musiał używać niemal przemocy, by mu zmieniać opatrunki.

– Co właściwie jest Kate? – naciskał go od czasu do czasu szeryf.

Harvey wrzusał bezradnie ramionami, starannie unikając przenikliwego spojrzenia stalowych oczu.

– Czy ja wiem? – podejrzewał początki zapalenia mózgu. Po co jednak przedwcześnie dzielić się obawami? I bez tego stary Blythe wyglądał jak własny cień.

Doktor nie odstępował prawie chorej. Nie dowierzając zbyt swym umiejętnościom, studiował po nocach ostatnie wydania pism medycznych. Niewiele w nich znalazł... Lód, lód i jeszcze raz lód...

Do tartaku było dobrych kilkanaście mil. A jedyna wytwórnia sztucznego lodu w okolicy była właśnie przy tartaku. Przewiezienie topniejących gwałtownie bloków, nie należało do zbyt łatwych zadań. Szczególnie na taką spiekotę. Musiano wyciskać z koni wszystkie możliwości. Ludzi nie trzeba było poganiać: sami nie żalowali się. Rozumieli, że w tych kłajających mrozem kawałkach leży jedyny ratunek dla chorej. A Kate cieszyła się ogólną sympatią. Niejeden z kowbojów wdychał do niej płomiennie w skrytości ducha. Toteż zajeżdżono na śmierć dwa konie, trzeci zupełnie okulał. Ale szaleńcze tempo komunikacji między tartakiem, a domem szeryfa nie słabło ani na chwilę. Zadyszani, zmęczeni do ostateczności jeźdźcy, przywozili jednak, mimo wszystkich przeszkód, choćby kawałek lodu. I kojące okłady na czole Kate leżały bez przerwy.

Wreszcie siły młodego organizmu zaczęły zwyciężać. Gorączka opadła. Doktor wyraźnie poweselał. I pozwalał sobie już teraz na parę godzin nocnego snu.

– Słuchaj, George – poklepywał szeryfa po ramieniu – powinniście właściwie z Kate do spółki założyć prywatny szpitalik do wyłącznego swego użytku. I zaangażować na stałe co najmniej dwóch młodych lekarzy. Ja już jestem za stary na takie zabawy.

Szeryf zaglądał mu badawczo w oczy. Nie dojrzawszy ani śladu ponurych myśli, których przedtem doktor pomimo całych wysiłków nie potrafił przed nim ukryć, odetchnął z radosną ulgą.

– A więc, dzięki Bogu...

Nie zdejmując ubrania położył się do łóżka, jak solennie wszystkim zapowiedział, na godzinną drzemkę.

Spał zresztą bez przebudzenia okrągłe trzydzieści sześć godzin. Doktor zakazał go budzić.

Gdy szeryf spojrział na zegarek, a później na kalendarz, zrobił okropne piekło. Jednak przytomny już zupełnie uśmiech córki, odebrał jego wybuchowi wszelkie cechy prawdziwego gniewu.

Twarze mieszkańców farmy pojaśniały. Widmo niebezpieczeństwa, zawisłe nad ukochaną panią, zostało odegnane.

Macpherson przez pierwsze parę dni przewarował w swym hotelowym pokoju. Nie mógł się zorientować w biegu wypadków i dostosować do niego swych planów. Później, gdy wyjaśniło się, że szeryf nie tylko żyje, ale także nie ma najmniejszego zamiaru wędrować do lepszych światów, pierwotne plany odzyskały swoją aktualność.

Wiadomość o chorobie Kate przeraziła go nie na żarty. Gdyby umarła, byłoby to dla niego druzgoczącą katastrofą. Przecież właśnie na niej opierał swe zamiary odbudowania egzystencji. Gdy jej nie stanie, pracowicie powiązana sieć straci wszelką wartość. O możliwości bowiem szantażowania szeryfa historią z Charleston nie marzył ani przez chwilę. Zebrał dość materiału, by zorientować się co do jego osoby. Zresztą, w promieniu co najmniej stu mil wokoło nie znalazłby się taki śmiałek, który zaryzykowałby próbę wymuszenia czegokolwiek na szeryfie Blythe. A gdyby się nawet i znalazł, los jego byłby nie do pozazdroszczenia.

Taka panowała ogólna opinia i Macpherson z tą opinią całkowicie się solidaryzował.

Dalsze szczegóły o chorobie Kate wprawiły go w stan niemal paniczny. Wysoka gorączka, majaczy? Bagatela! Może wygadać o całej sprawie. Na pewno przecież nie raz o niej rozmyślała i myśli te tkwiły głęboko w jej mózgu. A z wysoką gorączką, to jak z alkoholem. Człowiek sięga do najgłębszych skrytek duszy i wyklada wszystko jak na tacy. Właśnie przede wszystkim to, czego za żadne skarby nie chciał. Macpherson znał się coś niecoś na tym. Choć, prawdę powiedziawszy, lepiej znał się na alkoholu, niż na gorączce.

Zaczął krążyć wokół farmy szeryfa. Miał nadzieję wśliznąć się do środka i zobaczyć na miejscu, jak naprawdę wygląda sytuacja. Szukał cierpliwie okazji, która jednak nie nadchodziła. Szeryf kamieniem siedział przy łóżku córki. W każdym razie z domu nie wychodził. W tych warunkach Macpherson nie ryzykował podejść bliżej, niż na pięćdziesiąt jardów do furtki. Macpherson w ogóle nie lubił ryzykować, gdy nie istniała nieodwołalna konieczność. Bowiem w swym postępowaniu naśladował raczej lisa niż lwa. A może jeszcze bardziej nawet żerującą hienę. Nieoczekiwana zwłoka w realizacji zamierzeń była mu mocno nie na rękę. Trzy dni, postawione jako ostateczny termin, przeciągały się w tygodnie.

Nad pewnym dotychczas wynikiem końcowym zawisł niepokojący znak zapytania. Znak

zapytania życia i śmierci Kate.

Macpherson zdołał już nawiązać w miasteczku pewne stosunki i kontakty. Miał wrodzony dar przerzucania pomostów ponad przepaścią nieufności, jaką zawsze wykazują ludzie ostrożni w stosunku do nieznanymi biznesmenów. Ale rozmowy, jakie przeprowadzał, miały raczej charakter informacyjny. Występował niemal incognito. Otaczał się mgiełką tajemniczości. Tak jak przystało na grubą rybę z New Bedford, za jaką pragnął uchodzić. Choć właściwie rola, jaką zamierzał odegrać, była raczej rolą rybaka niż ryby. Rybaka, łowiącego złote dolary w mętnej wodzie fikcji, podmalowanej pozorami rzeczywistości. To był jego zawód.

Zawarcie znajomości z agentem miejscowego punktu skupu płodów rolnych miało cechy czystego przypadku. Ale przypadek ten, zanim dojrzał do realizacji, kosztował go sporo uprzedniego trudu. I wiele rozmów, prowadzonych obiecującym szeptem przy pełnych szklaneczkach. Poświęcił niejedną butelkę whisky wysokiej marki. Ale skąpstwo w tych sprawach było nie na miejscu. Trzeba siać dolary, by potem zbierać tysiączki. Zawarcie wielu innych znajomości miało ten sam charakter. Macpherson umiał dobierać pomocników, nawet w wypadkach, gdy okoliczności zmuszały do szukania ich przygodnie na obcym terenie. Żniwo tych przedwstępnych badań wypadło obficie i co najważniejsze, bardzo zachęcająco. Mieszki obywateli Cleveland aż pęczniały od gotówki. Jediną instytucją finansową w mieście był Bank Spółdzielczy. Właściwie nie bank, a skrytka na pieniądze. Bo sposób prowadzenia go przez czcigodnych starców Macpherson uważał za całkowicie archaiczny. Bez stuprocentowej pewności i murowanej gwarancji nie było mowy, by zaryzykowali choćby najmniejszą operację. Słowem: stan dziewiczy. Więc, gdy się postawi przed oczyma zacofańców wizję jabłoni rodzącej złote jabłka... Wizję posiadającą jakie takie pozory rzeczywistości. Wtedy przy odpowiedniej agitacji Macpherson nie wątpił, że do jego kieszeni spadnie rześisty deszcz złota. A już co do umiejętności agitacji, mało kto w całych Stanach mógł dorównać Macphersonowi. Miał tego dowody w postaci wyników dotychczasowej praktyki. Przeprowadzone przez niego kampanie reklamowe to były swego rodzaju perły mistrzostwa. Gdy przychodził krach i obalamuceni ciułacze przekonali się, że poza pięknie brzmiącymi słówkami stoi jedynie próżnia, długi czas nie mogli uwierzyć, że reklamowane przez Macphersona akcje mniej są warte od papieru, na którym zostały wydrukowane. Ale co tam ciułacze... W rozsnuće przez Macphersona sieci niejednokrotnie wpadały stare wilki, wychowane na tajnikach giełdowej dżungli. Wygi, w porównaniu z którymi najbardziej nieufni obywatele Cleveland reprezentowali doświadczenie noworodków. Pieniądze nagromadzone w tym zabitym deskami miasteczku zdawały się czekać na kogoś w rodzaju Macphersona. Toteż aż ponosiło go z niecierpliwością, by rozpocząć realizowanie zamiarów. Zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że wszelka akcja podjęta przez obcego z góry skazana jest na fiasko. Nie dadzą ani grosza na nieznaną nazwisko. Nie zapomniał też o bombie, ukrytej w biurku Blythe'a. Ale dokumenty będą już zniszczone, i gdy stanie przed

nimi jako zięć uwielbianego szeryfa, którego słowo stanowiło niemal niewzruszone prawo... Ba, wtedy tylko zgarniać tysiączki. Czas naglił. Nadciągał okres zbiorów. Okres, gdy plony rozległych farm okolicznych zamieniają się w brzęczącą i szeleszczącą gotówkę, z którą właściciele nie będą wiedzieli co począć. On im wskaże drogę... Pięknie wydrukowane akcje wyglądają wszak o wiele bardziej pociągająco od zmiętoszonych banknotów Banku Federalnego. Prospekty... raporty specjalistów... opinie rzeczoznawców... Wiedział przecież, jak należy puścić w ruch całą maszynę, by funkcjonowała bez zarzutu. Nawet samego szeryfa omota, gdy przyjdzie czas. Aby tylko Kate...

No tak, właśnie. Przeciągająca się choroba Kate tkwiła jak cierń w pięknych marzeniach. Resztki kapitału zakładowego topniały z niepokojącą szybkością. Ostatnią znajomością, jaką nawiązał, była znajomość z niejakim Archie Calvertem. Calvert nie należał do kapitalistów. Nie był nawet ciułaczem. W ogóle hołysz w podartej bluzie i połatanych butach. Nie ma mowy, by taki zdobył się na kupno choćby jednej, jedynej akcji. A przecież Macpherson nie żałował wydatków na poczęstunek. Bez poruszenia brwią stalował jedną szklaneczkę po drugiej. Sam nawet zapraszał.

– Pij, Calvert... Co tam... Taki z was chłop do rzeczy.

I Calvert pił jak smok. Zapałał wielką sympatią do hojnego gospodarza. Bo dotychczas nikt mu nie mówił, że jest do rzeczy. Zresztą głupekowata twarz Calverta wywierała raczej każde inne niż sympatyczne wrażenie.

Ale Calvert miał inny walor, któremu zawdzięczał słodkie słówka i poczęstunek od Macphersona. Był wprawdzie prostym parobkiem i to jednym z gorszych, za to funkcje parobka pełnił na farmie szeryfa Blythe. I często jeździł do miasta z różnymi poleceniami.

Od chwili poznania go, Macpherson nie był zmuszony krążyć wokół farmy. Otrzymywał z pierwszej ręki komunikaty o zdrowiu Kate i w ogóle o tym wszystkim, co się na farmie działo. Gdy przyjdzie czas, Calvert na pewno nie odmówi doręczenia małej karteczki miss Kate. I nie zaniedba zawiadomić, gdy tylko szeryf wyjdzie z domu.

Inny z kowbojów, pracujących u Blytha, nie podjąłby się tego. Wszystko ludzie wypróbowani i od Bóg wie jak dawna siedzący na farmie. Calvert to co innego. Pracował zaledwie od paru tygodni, przyjęty po śmierci starego Lewa, w gorący czas przygotowań do zbiorów, gdy było niezmiernie trudno o ręce do pracy. Przyjmowano wtedy pierwszego lepszego, kto się nawinął.

Zresztą Calvert nie zastanawiał się zbytnio nad różnymi subtelnościami etycznymi. W zamian za solidny poczęstunek byłby gotów sprzedać rodzzonego ojca, gdyby nie to, że ten od piętnastu lat spoczywał w ziemi. A poczęstunek stawiany przez Macphersona należał właśnie do gatunku solidnych. Zresztą Macpherson wspominał mimochodem również i o innych korzyściach, jakie ewentualnie...

Calvert zaś przepadał za wszelkiego rodzaju nadprogramowymi korzyściami. Dlatego tylko czekał na skinienie hojnego amfitriona, by mu usłużyć według swych możliwości. Oczywiście: na skinienie, które przyniesie w rezultacie konkretne owoce.

Macpherson zacierał ręce. Rozgryzł Calverta. Mieć takiego sprzymierzeńca w fortecy nieprzyjacielskiej to sukces nie lada.

## XI

Pomimo piekielnego zmęczenia Czarny John zasnął dopiero o świcie. Miał do przemyślenia to i owo. Inne myśli pchały się gwałtem wcale nieproszone. I nie dawały spokoju, choć odżegnywał się od nich jak od wizji diabła. A przecież były to raczej wizje anioła. Przynajmniej w jego pojęciu. Anioła o kruczych włosach i lśniących gwiazdach pod delikatnymi liniami brwi. O ile w ogóle istnieją gwiazdy piwnego koloru... W każdym razie dla Czarnego Johna takie gwiazdy istniały. Od paru dni zaledwie. Przewracał się niespokojnie z boku na bok, szeleszcząc słomą upchaną pod brezentowym prześcieradłem. Fatalnie się wszystko złożyło... Zasychało mu w gardle, gdy myślał o przejściach ostatnich dni. I klął w żywy kamień swój pech. Dotychczas nerwy Johna przypominały raczej stalowe struny. Nie był mordercą ani zawodowym zabijaką, skoro jednak zaszła konieczność sięgnięcia po rewolwer, widmo ofiar nie zakłócało mu spokojnego snu. Trudno, na szlaku jak na szlaku... Naładowany rewolwer nie nadawał się do salonowej konwersacji. W tym wypadku może również nie przejmowałby się tak bardzo tym całym szeryfem, gdyby nie...

Właśnie! W tym sęk... Łzy spływające po bladych policzkach...

...Pan zamordował mego ojca! – Otóż to... jej ojciec...

Gdy przymykał oczy, pod powiekami zjawiał się świetlany obraz dziewczęcej twarzyczki. Otwierał je więc czym prędzej. Po co? Przecież dzieli go od niej przepaść rzeczywistości.

Była tak daleko, jak tylko może być najbardziej nieczyste marzenie. I Czarny John doskonale zdawał sobie z tego sprawę...

W pokoju już dobrze szarzało, gdy wreszcie zmęczenie zwyciężyło. Zapadł w ciężki sen, nabrzmiały poszarpanymi urywkami widziadeł podobnych do gorączkowego koszmaru.

Spał bez przebudzenia aż do wieczora. Spałby może jeszcze dłużej, gdyby go nie obudziło energiczne pukanie.

Czarny John nie znał przejściowej drętwoty pomiędzy snem a jawą. Nie minął nawet ułamek sekundy, gdy z mózgu jego opadła resztką senności. Spojrzenie na solidną zasuwkę przy drzwiach, paru ruchami narzucił ubranie, wsunął rewolwer do kieszeni... W gospodzie „Pod Złotym Lwem” bywało rozmaicie, szczególnie zaś teraz musiał się mieć na baczności.

Wizyta jednak nie miała groźnego charakteru. Po prostu Jack Carpenter przyniósł nowiny.

– Gallagher raportował, że nikt podejrzany nie wjeżdżał do wąwozu – powiedział siadając na brzeżku stołu – więc albo szukają cię w innej stronie, albo w ogóle zrezygnowali z pościgu. Cztery dni, to może im już obrzydło uganiecie?

John zapalił papierosa.

– Zrezygnowali z pościgu, powiadasz? Zaśpiewaj to swojej babci. Nie widziałeś tych przyjemniaczków z Cleveland. Rozżarci jak wszyscy diabli. Prędzej poodgryzają własne uszy,



niż zaniechają polowania...

Carpenter strzepnął jakiś pyłek ze starannie wyczyszczonej marynarki.

– Hm... – wzruszył ramionami – może i masz rację. Szeryf Blythe to jakby nie było, nie pierwszy lepszy. Nie mogłeś zapolować na jakąś mniejszą rybkę?

John stojąc przed potłuczonym lusterkiem bezskutecznie usiłował przygłodzić rozwichrzoną czuprynę.

– Powiedz lepiej, że to on na mnie zapolował... A ty cóż tak po balowemu, wybierasz się na łowy?

Carpenter strzepnął palcami.

– Miałem ten zamiar. Przyjechało kilku handlarzy z południa. Naładowani złotem aż po gardło.

– No i...

– Ba... sytuacja skomplikowana, jeden z nich był świadkiem pewnej awantury, a że ja... No, słowem, mógłby mnie poznać. Wolę nie ryzykować.

John pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Pech, a ręka cię pewno aż świerzbi do kart?

Carpenter pokiwał głową z ubolewaniem.

– Jeszcze jak świerzbi. A może byś ty?

John zamyślił się.

– Wiesz – rzucił w końcu niezdecydowanie – jakoś nie mam ochoty.

Carpenter spojrział na niego ze zdumieniem.

– Cóż bracie, rozkleiłeś się, czy jak?

– A no rozkleiłem się. Jakby towarowy pociąg przejechał po mnie tam i z powrotem. Czuję, że nie byłbym w stanie odróżnić asa od blotki. Muszę trochę odsapnąć.

– Jak uważasz. Ale na dół chyba w każdym razie zejdziesz? Obrabia ich tymczasem Długi.

John skrzywił się.

– Blewett?

– Ten sam. Przyjechał dziś rano. Miał wędrować dalej na południe, gdy jednak zobaczył złote rybki, zapuścił korzenie.

John zapiął bluzę.

– W takim razie zejde. Trzeba przekąsić coś niecoś. A przy sposobności zobacze, jak ten partacz się poci.

Nie znosił Blewetta. Blewett nie był właściwie graczem w ścisłym tego słowa znaczeniu. Puszczal się na wszelkie pachnące zdobyczą kombinacje. Mówiono, że przy sposobności nie cofał się przed rabowaniem samotnych podróżnych na szlaku.

Na dole było nie tyle rojno, co gwarno. Butelki whisky wędrowały nieprzerwanym ciągiem

z bufetu na salę gry. I to najdroższej whisky... To znaczy tej, co posiadała najbardziej złocene etykiety. Bo o tym, co rzeczywiście stanowiło zawartość butelek, wiedział jedynie Sasza i jego chuderlawy pomocnik Pencroff. Tajemne misteria uprawianej przez niego alchemii dokonywały cudownej przemiany podłego samogonu w wysokogatunkową whisky. Klientela gospody „Pod Złotym Lwem” w ogromnej swej większości nie była zbyt wymagająca. Aby tylko mocna i nie posiadała za bardzo odrażającego odoru. Zresztą nie rekrutowali się spośród znawców o delikatnych podniebieniach. Ci bowiem omijali gospodę z daleka, szukając innych przybytków.

Wejście Johna z Carpenterem nie wywołało specjalnego wrażenia. Nikt z graczy nie zwrócił niemal uwagi na wchodzących. Zbyt byli zajęci tym, co się działo na zielonym suknie. Tylko Blewett podniósł głowę znad kart. Długi Blewett zawsze widział to, co było potrzebą. Inaczej zresztą nie mógłby egzystować, a przynajmniej w ten sposób, w jaki to dotychczas czynił.

Gdy poznał Czarnego Johna, wzrok jego stał się podobny do wzroku wilka, którego odpędzają od pewnej zdobyczy. W źrenicach zamigotały niepokojące ogniki. Znał bowiem Johna nie tylko z reputacji. Zdawał sobie sprawę, że to więcej niż konkurencja. Wzięcie przez niego udziału w grze stanowiłoby zupełną ruinę pięknie zapowiadających się zamierzeń. Gdzie mu się równać z Czarnym Johnem?

Toteż odetchnął z ulgą, gdy John usiadł przy stoliku na uboczu. Ale w głębi duszy nurtowało go podejrzliwe zdumienie. Dlaczego tamten zaniechał takiej okazji.

John wyciągnął nogi na całą długość. Na stoliku zjawiała się potężna porcja nieśmiertelnej jajecznicy. Tym razem jednak jeszcze prędzej powróciła z powrotem do kuchni i o mały włos nie wylądowała po drodze na głowie kelnera. Bo natura obdarzyła Czarnego Johna niezmiernie czułym powonieniem, a z dziesięciu jajek wchodzących w skład barowego dania, co najmniej trzy nadawały się raczej do wszystkiego innego niż do spożycia. Nieborak Pencroff musiał w zastępstwie chwilowo nieobecnego szefa wysłuchać z ust Johna odpowiedniej porcji niezbyt miłych słówek. Nie mówiąc już o kilku propozycjach, które wprawiły jego skórę w stan wrażliwego śwędzenia.

Wysłuchał jednak w milczeniu, choć mało kto mógł twierdzić, by Pencroffowi, pomimo jego niepozornego wyglądu, można było bezkarnie jeździć po nosie. Ale Pencroff miał swoją opinię o Johnie i wołał już zadrzeć z czarną panterą, niż bez nieodwołalnej potrzeby rozdrażniać czarnowłosego szulera. Nie był zresztą odosobniony w tym zdaniu.

Toteż następna porcja jajecznicy posiadała zapach bez zarzutu. Pencroff osobiście przypilnował, by wszystko było w porządku.

John, cedząc whisky przez zęby, obserwował bez specjalnego zainteresowania zielony stół. Gra nie wyszła jeszcze poza początkowe stadium. Długi Blewett przegrywał. Nie wiadomo, czy grał czysto i karta mu nie szła, czy też specjalnie nie chciał wygrywać dla zachęty. Trick stary jak świat. Oczywiście nie ryzykował zbyt wysokich stawek.

Gruby jegomość w skórzanej kurtce zaczął się niecierpliwić.

– Może byśmy zagrali raczej w pacierze? – zaproponował zjadliwie, odkładając niechętnym ruchem karty – zamiast handryczyć się o te grosze?

Blewett wzruszył ramionami.

– Jeżeli już koniecznie chcecie podwyższyć stawki... – wyjął z kieszeni nabity portfel.

Gra nabrała ożywienia.

Myśli Johna wyrwały się jak źle uwiązane dzikie zwierzęta, stracił nad nimi wszelką kontrolę. Powędrowały poza Conchos. Nagły gwar podnieconych głosów wytrącił go z zadumy. Przy stole gry doszło do kłótni. Jegomość w skórzanej kurtce, ten sam, który żądał podwyższenia gry, przeklinał na czym świat stoi.

– Ty – wycelował oskarżycielsko brudnym palcem w Blewetta – wyciągnąłeś asa ze spodu talii.

Spod półprzymkniętych powiek Blewetta poleciały iskry.

– Jak śmiesz stawiać mi takie zarzuty? Ja...

Ale grubas nie dał mu skończyć.

– Sam widziałem. Na własne oczy – darł się w niebogłosy – oddaj pieniądze. Inni powstali z miejsc. Zanosiło się na grubszą awanturę. Sterta banknotów, leżąca na stole, wskazywała, że ostatnio gra toczyła się o większą stawkę. W ręku Blewetta zaczerniał niespodziewanie kształt krótkolufowego rewolweru. W gwar podniesionych głosów padł suchy trzask wystrzału... Ale strzał ten nie pochodził z rewolweru Blewetta. Ten bowiem, jakby wytracony jakąś nieznaną siłą, wyleciał z jego ręki, padając szerokim łukiem na podłogę.

Blewett podskoczył o pół stopy w górę, mrugając nerwowo powiekami. Zapadła nagła cisza.

– Nie było powodu do strzelaniny – wyjaśnił niedbałym głosem John, chowając rewolwer – grubasowi ani w głowie było sięgać po broń.

Pierwszy opamiętał się Blewett. Dla niego strzelanina nie należała do wyjątkowych zjawisk. Z niecenzuralnym przekleństwem sięgnął do kieszeni. Widocznie leżący na podłodze rewolwer nie wyczerpywał zapasu podręcznego arsenału. John jednak znowu go uprzedził.

– Nie radziłbym – rzucił niemal uprzejmie, jednak wycelowana w pierś Blewetta lufa nadawała jego słowom specjalnie ważne znaczenie – stanowczo nie radziłbym.

Ręka Blewetta opadła bezwładnie wzdłuż boku.

Zbitą hurmą rzucili się ku Blewettowi. Zaciśnięte pięści wskazywały niedwuznacznie na ich zamiary. Lufa tkwiącego w ręku Johna rewolweru wykonała odpowiedni ruch.

– Siadajcie, panowie – podniósł głos – nie jestem dziś usposobiony do awantur – pokiwał melancholijnie głową. – Siadajcie – powtórzył, a palec na cynglu drgnął znacząco.

Zatrzymali się niezdecydowanie. Nieznajomy o czarnej czuprynie pokazał przed chwilą, że umie strzelać. Nie mogli się absolutnie zorientować w roli, jaką odgrywał w tym wszystkim.

Wytrącił broń z ręki ich przeciwnika, a teraz znowu im grozi. Usłuchali w końcu, opadając ciężko na krzesła.

W tym momencie Blewett nagłym zrywem całego ciała przypadł do podłogi. Długi cień mignął w rozpaczliwym skoku. Trzasnęły tylne drzwi. Po chwili gwałtowny tętent wskazywał, że niefortunny szuler uznał za wskazane pospiesznie sprawdzić, czy nie ma go przypadkiem w innych okolicach.

John sięgnął po kieliszek.

– Swoją drogą – zauważył – sprawności w nogach odmówić mu nie można.

– Ooo! – wrzasnął nagle czyjś głos – pieniądze zniknęły.

John uśmiechnął się nieznacznie.

– I przytomność umysłu także – dorzucił, nalewając uważnie whisky Carpenterowi.

Carpenter sięgnął po kieliszek.

– Po coś ty się wtrącił w to wszystko, przecież tego grubego widzisz po raz pierwszy na oczy.

John wzruszył ramionami.

– Taka mi akurat przyszła fantazja. Zresztą, to przecież byłoby morderstwo na zimno, według wszelkich reguł.

– Zrobiłeś sobie z Blewetta śmiertelnego wroga. To podły typ. Potrafi jak nic wygarnąć zza węgła, albo coś w tym rodzaju.

John wybierał ze skórzanej papierošnicy najmniej pogniecionego papierosa.

– Trudno. I bez tego nie kochaliśmy się zbyt.

Przy stole wciąż panowało zamieszanie. Handlarze nie mogli się widocznie pogodzić ze stratą pieniędzy. Wreszcie podjęli decyzję.

– Gonić opryszka – odezwały się głosy – wydrzeć mu pieniądze choćby z gardła, na koń!

Ruszyli tłumnie ku drzwiom. Ten i ów zerknął niepewnie w kierunku stolika Johna. Jeden, widocznie ostrożniejszy od towarzyszy, przystanął.

– Czy... pan? – zaczął z wahaniem.

John spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Co, czy ja?

– No, chcielibyśmy zorganizować pogoń, a...

John roześmiał się niefrasobliwie.

– Ach tak, rozumiem, róbcie na co macie ochotę, jeżeli o mnie chodzi. Ogłaszam całkowitą neutralność. Tylko raczej szkoda czasu, bo to jegomość bardzo szybki w nogach.

Znowu zagrzmiały kopyta przed gankiem. Ogłoszające wrzaski świadczyły jak bardzo byli podnieceni. A może chcieli sobie w ten sposób dodać odwagi? Na sali pozostał tylko grubas. Widocznie i on doszedł do wniosku, że szkoda czasu na gonitwę w nieznaną.

Kołysząc się na krótkich nogach podbiegł do Johna.

– Panie – ścisnął z wylaniem jego dłoń – ocalił mi pan życie.

John był nieco zażenowany. Nie znosił podziękowań. Tak niewiele ich zresztą miał okazji słyszeć dotychczas.

– To nie jest takie pewne – bąknął – tego rodzaju partacz, jak Blewett mógł spudłować w ostatniej chwili.

Ale grubas nie dał się zbyć byle czym.

– Panie – wciąż nie puszczał prawicy Johna ze swej pulchnej dłoni. Przecież ja mam żonę i czworo dzieci. Dwoje z nich to jeszcze zupełny drobiazg. Gdyby nie pan... – wpadł w rozrzewnienie.

Pomimo oporu Johna obstalował butelkę o najbardziej złoconej etykiecie, jaką tylko można było znaleźć w gospodzie.

Carpenter obserwował spod oka całą tę scenę.

W myśli zestawiał bilans dzisiejszego wystąpienia przyjaciela – jeden wróg i jeden przyjaciel, ale z tych dwóch raczej wroga należało brać pod uwagę. Znał bowiem coś niecoś charakter Długiego Blewetta.

– Otóż to – westchnął, sięgając po podsuniętą szklaneczkę – z Johnem to zawsze tak. Nie można przewidzieć, co uczyni za chwilę. A najważniejsze, dlaczego postąpi właśnie tak, a nie inaczej.

Grubas w dalszym ciągu zasypywał Johna przysięgami dozgonnej przyjaźni. W końcu tak bardzo się rozrzewnił, że o mało nie płakał.

## XII

Czarny John nie wierzył, gdy mu mówiono po drodze, że Conchos wezbrała. Zresztą o tej porze byłoby to coś niezwykłego. Plotkom o odłamie skalnym, który miał zatarasować koryto rzeki gdzieś poniżej, aż koło Toledo, również nie chciał dać wiary. Mało z tego, że ludzie gadają.

Teraz jednak stracił najmniejsze choćby wątpliwości, gdy beznadziejnie obserwował szumiące fale szeroko rozlanej rzeki. Ani mowy o przeprawie. Przewoźnik wytrzeszczył oczy.

– Co? Mam was przewozić w czasie powodzi? Ani mi się nawet śni. Jeszcze człowiekowi życie miłe – był nieugięty, nie zwracał uwagi na wszelkie kuszące propozycje, jakimi go częstował John. – Poczekajcie, aż woda opadnie.

– A kiedy to może nastąpić?

Przewoźnik wzruszył ramionami.

– Czy ja wiem? Mają wysadzić dynamitem tę przeklętą skałę. Ale kiedy to zrobią? Może za godzinę, może dopiero za tydzień.

John pojechał w górę rzeki, szukać brodu. Ostatecznie parę mil więcej, Parę mil mniej... Ale brodu nie znalazł. Tam gdzie jeszcze parę dni temu wystawały niemal z wody płaskie głazy, teraz rwał gwałtowny prąd wezbranej rzeki. O przeprawie szkoda było marzyć. Pozostawało albo wracać, albo czekać, tak jak radził przewoźnik. Bez namysłu wybrał to ostatnie. Nigdy nie lubił zawracać z raz obranej drogi. Tym razem myśl o powrocie uśmiechała mu się mniej niż kiedykolwiek. Prawdę mówiąc, trudno by było mu obmyślić projekt wędrówki. A jeszcze trudniej uzasadnić jej cel. Nawet przed samym sobą, bo choć zamierzał prędzej czy później wyruszyć z Norfolk, to miał się skierować raczej na południe, w bardziej bezpieczne okolice. A Conchos leżała zdecydowanie na wschód od tego miasteczka i co gorsza w odległości zaledwie kilkunastu mil po drugiej stronie rzeki znajdowało się Cleveland, gdzie czekał na niego ślicznie upleciony strybek.

Ale wizja piwnych gwiazd była magnelem, silniejszym od wszelkich rozumowań. W oddali przetoczył się głuchy odgłos grzmotu. Szybko nadciągały poszarpane płachty czarnych niemal chmur. Robiło się coraz ciemniej. Raz i drugi mignął sinawy odblask błyskawicy. Trwać w dalszym bezruchu nad brzegiem nie było sensu. Lada chwila spadnie deszcz i nie wiadomo jak długo trzeba będzie czekać na opadnięcie poziomu rzeki.

Rozejrzał się wokoło. W odległości kilkuset jardów dostrzegł kształty jakiegoś domostwa. Ruszył z kopyta. Nie zdążył jednak, zanim zapukał do drzwi, rześista ulewa zmoczyła go do suchej nitki.

Dom okazał się na pół rozwaloną rudera, nie było jednak czasu na szukanie odpowiedniejszego schronienia. Zresztą dach wyglądał względnie cało. A przy strumieniach wody, spływających bez przerwy z chmur, stan dachu był sprawą istotną.

Przyjęto go obojętnie. Nie było w tej chacie nic cennego, co mogłoby znieść bandytów. Toteż nie obawiano się obcych.

Stary, zarośnięty rybak podsunął mu kulawy zydel.

– Oczywiście, można przeczekać ulewę, w taką pogodę psa nawet żal byłoby wypędzić z chałupy.

Pytanie zresztą o pozwolenie pozostania należało do gatunku czysto retorycznych. John w żadnym wypadku nie miał zamiaru opuszczać schronienia przed końcem burzy.

Zdjął bluzę i rozwiesił ją nad okopconym piecem. Koszula przywarła do grzbietu jak mokry okład.

– Niezły sobie prysznic – skonstatował, usiłując zapalić papierosa. Papieros jednak również zamókł i nie chciał się palić.

Rybak podsunął w milczeniu drewniane pudełko napełnione kruszonką czarnej jak smoła samosiejki. Zamiast bibułki musiał wystarczyć kawałek starej gazety.

John zaciągnął się gryzącym dymem. Smrodliwy odór tytoniu nie sprawiał mu większej różnicy. Życie, jakie prowadził, zdążyło go przyzwyczaić do niejednego. Raz tak, raz inaczej. Zwyczajnie, jak na szlaku.

Siwa kobieta w połatanej sukni mieszała coś w wielkim, żelaznym garnku. Nikły zapach wskazywał raczej na nieokraszoną wodziankę.

John poszperał chwilę w podróźnej torbie. Na szczęście impregnowany brezent i patentowe zamknięcie nie dopuszczały wilgoci do środka. Wyciągnął okazałych rozmiarów puszkę z mięsną konserwą.

– Wrzucie do zupy, nie powinno zepsuć smaku – podał blaszankę kobiecie.

Wyblakłe oczy starej rozbłysły wyrazem pożądliwości. W chacie od dawna nie widziano mięsa. Zbyt wielki luksus dla takich biedaków.

– Jak to – zająknęła się niepewnie – i my będziemy mogli skosztować potem tej zupy?

John roześmiał się ściągając pośpiesznie mokrą koszulę.

– Ładne pytanie! Nie tylko skosztować, ale nawet zjeść ją do ostatniej kropli, jeszcze nie doszedłem do tego, by odbierać gospodarzom obiad. Chociaż jeżeli mnie poczęstujecie talerzem gorącej stawy, nie mam zamiaru odmawiać.

Z rozkoszą wycierał plecy wydobytym z torby włochatym ręcznikiem. Sucha koszula dopełniła ceremonii zmiany zmoczonej garderoby. Niestety, nie woził ze sobą zapasowych bryczesów. W tym wypadku nie byłyby wcale zbędne.

Przysunął się jak tylko zdołał najbliżej do rozpalonego pieca i obserwował, jak wilgoć paruje z nasiąkłej wełny. Za jakieś pół godziny powinny mniej więcej wyschnąć.

Spod pokrywy garnka wydobywał się smakowity zapach ostro przyprawionego mięsa. Stara łykała głośno ślinę. Widać było jak grdyka drga rybakowi.

Kobieta wydobyła z odrapanej szafki poszczerbione talerze.

– A zostaw tam ociupinkę dla Johna – powiedział rybak, wycierając dłonią poplamiony blat stołu.

– Johna? – spojrzał na niego z uśmiechem Czarny John – a któż to taki?

– A – splunął na podłogę brudną od nikotyiny śliną – nasz chłopak, syn... posłaliśmy go przed burzą do sąsiada, pożyczyć trochę soli. To i zmoknie pewnikiem jak pies w kąpieli.

– Chyba przeczeka u niego deszcz?

– Przeczeka? – rybak pyknął głośno z fajki – ja bym mu pokazał. Wie, że czekamy z obiadem na tę sól. Dostałby za swoje, gdyby marudził. To tylko kawałek drogi.

Pioruny waliły teraz niemal bez przerwy. Grzechot gromów zlewał się chwilami w jeden przeciągły huk. Izbę raz po raz rozświetlały błyski, wpadające przez pozalepiane kawałkami papieru szybki małych okienek. Wydawało się, że burza zawisła właśnie nad kominem chaty, wyładowując swą wściekłość na niej i na najbliższej okolicy.

Czarny John nasłuchiwał z powątpiewaniem odgłosów szalejącej nawałnicy.

– A nie będzie chłopak bał się iść przez puste pole w taką pogodę? Rybak znowu odplunął.

– Bać się – powtórzył pogardliwie – a niby czego. Nie z cukru przecież, to się od deszczu nie rozpuści.

– No, a pioruny?

Rybak wzruszył ramionami.

– Cóż pioruny... ma trafić, to trafi tu czy tam. Wszystko w ręku Boga. A John już nie dzieciak, żeby się bał burzy. W przyszłym miesiącu kończy dwanaście lat.

W kącie chaty z sufitu zaczęły kapać na podłogę wielkie krople. Potem woda poląła się ciurkiem, formując na czarnych od brudu czy starości deskach coraz większą kałużę.

Rybak z obojętną miną podciągnął jakąś nieckę. Zachowanie jego świadczyło, że był przyzwyczajony do podobnych wypadków. Widocznie dach tylko z pozoru wyglądał solidnie.

Kobieta zaczęła nalewać zupę na talerz. Rybak wyciągnął niecierpliwie ręce. Widać było, że aż się trzęsie do dawno nie próbowanej potrawy. John też z przyjemnością ujął łyżkę. Odczuwał głód i wciąż jeszcze nie mógł się rozgrzać po zmoknięciu.

Nagle huknął grzmot, aż szkło w oknach jęknęło cienkim echem. Piorun musiał uderzyć gdzieś całkiem blisko chaty. Jednocześnie z trzaskiem otworzyły się silnie pchnięte drzwi. Do izby wpadł ociekający wodą chłopiec.

Czarny John spojrzał z zaciekawieniem na swego imiennika. Wbrew zapowiedziom ojca, drobny, chuderlawy chłopczyzna, robił wrażenie zupełnego dziecka. Wcale nie wyglądał na dwanaście lat. Dyszał ciężko, zasapany od szybkiego biegu. Aha: „nie boi się” – pomyślał John – zresztą, co to dziwnego. Staremu może się zrobić nieprzyjemnie od tej kanonady, a coś dopiero takiemu brzdącowi.



Rybak spojrzał groźnie na syna.

– Czegoś tak marudził, gamoniu? – odebrał z jego rąk zawiniątko – i sól przemoczyłeś na amen. Nie mogłeś to gdzie schować?

Chłopiec wciągnął głośno powietrze ustami.

– Ale... tam... marudziłem – mruknął przerwany głosem – całą drogę lachałem jak pies z wywieszonym ozorem... tyle, że na brzegu trochę zmitrężyłem...

– Zwariowałeś? Na taką ulewę wystawać nad rzeką?

– Bo... tam, wiecie tato, koło starego brodu, ktoś się topi...

Stary zerwał się gwałtownie z ławy.

– Co? – podskoczył do chłopca łapiąc go za ramię – co mówisz? – potrząsnął go mocno. Chłopiec wykrzywił wargi.

– A dyć nie tyrpajcie mnie. Cóżem winien, że ktoś się topi?

Stary puścił go.

– Chrystusie Panie! – jęknął – kto taki?

– Albo to wiem? Jakiś jeździec. Chciał przejechać przez bród od tamtej strony. Może tam u brzegu woda niższa. Nie dał rady. Jeszcze do środka nie dobrnął, jak go zaczęło znosić. Chwyciłem gałąź i czekam. Chciałem pomóc, ale cóż... za daleko.

Rybak postąpił parę kroków ku wyjściu.

– Trzeba...

Znowu gruchnęła blisko piorun, aż talerze podskoczyły na stole. Zawahał się chwilę, potem zawrócił i opadł ciężko na ławę.

– Boże, bądź miłościw jego duszy – zakrył twarz rękami – nic mu nie pomoże.

Czarny John odłożył łyżkę.

– Nie idziecie go ratować? – zapytał ostro.

Ręce rybaka opadły. Wyraźnie unikał wzroku Johna.

– Jak tu iść na takie piekło, jeszcze mi skóra miła. A tamten pewnikiem i tak już utonął.

– Ach tak... – John cedził słówka przez zęby – rozumiem. Skóra wam miła. I nie macie zamiaru jej ryzykować dla ocalenia komuś życia. Ale dziecko wysłaliście na takie piekło po trochę soli – jednocześnie wciągał mokrą jeszcze bluzę. Przez chwilę ważył w ręku nasiąkły jak gąbka kapelusz, wreszcie zdecydowanym ruchem wsadził go na głowę – marny z was człowiek panie... jak wam tam – popatrzył z pogardą na kurczącego się pod jego spojrzeniem rybaka.

Baba coś tam zaczęła jazgotać przy kominie, nie zwracał jednak na nią uwagi.

– Gdzie to, synu, ten stary bród? – zapytał chłopaka.

– A całkiem blisko... może dwieście kroków. Albo trzysta najwyżej. Wiecie, panie, tam taka rozszczepiona wierzba. Po tym poznacie. Tylko, że teraz ciemno, to i trudno będzie zauważyć. Szczególnie jak kto nie zna brzegu, bo... – zawahał się, zerkając niepewnie ku ojcu – jakby tato

pozwolili, to bym panu pokazał, gdzie...

Czarny John położył mu rękę na ramieniu.

– A nie bałbyś się? Chłopiec przełknął ślinę.

– Cóż, pewno... ale jak trza, to trza. Aby tylko tato pozwolili.

Czarny John skierował ciężkie spojrzenie na starego.

– Tato pozwoli – powiedział z naciskiem.

Stary zerknął na rękojeść rewolweru czerniejącą u biodra nieznajomego. Milczał. Baba za to trąkotała coraz głośniej.

– Widzicie go... przyjdzie taki przybłęda i będzie rozkazywać.

John wcisnął rękawicę na lewą rękę.

– No?

Rybak wzruszył ramionami z udaną obojętnością.

– A co mi tam... niech idzie jak chce...

W chwili, gdy wypadli z chaty, dwa potwornej wielkości ogniste węże skrzyżowały się na czarnym tle chmur. Chłopiec nie przystanął ani na moment.

– Brawo synu! – poklepał go po ramieniu John. – Będą z ciebie ludzie.

### XIII

Koń pokazywał co umie. Wszystkie jego narowy wyszły na jaw w czasie tej króciutkiej jazdy. Widocznie burza działała mu na nerwy. A może pokazywał tylko w ten sposób swoje niezadowolenie z powodu powiększenia zwykłego ciężaru. Bo na grzbiecie kazano mu dźwigać więcej niż jednego jeźdźca. Wprawdzie nie dwóch, ale w każdym razie coś około półtora. A zwierzę było niezmiernie czułe na wszystko, co zmuszało je do większej pracy. Niesamowite harce i podskoki były tak gwałtowane, że mniej wprawny jeździec zaryłby najmniej dziesięć razy nosem w rozmokłą ziemię. Dopiero, gdy John poczęstował go kilka razy solidnymi kopnięciami ostróg, pohamował nieco swój zły humor.

Raz po raz waliły pioruny, aż ziemia drżała pod ich uderzeniami. Chłopiec przycupnął na lęku siodła, chybocąc się bezwładnie przy podskokach wierzgającego mustanga. Spadłby niewątpliwie, gdyby nie podpora silnego ramienia Johna. Wytrzeszczał oczy, szukając przy świetle błyskawic brodu. Chwilami przysłoniłby je szczelnie powiekami, powstrzymywał się jednak od tego objawu lęku całą siłą swej dwunastoletniej woli.

– O, tu! – wrzasnął na całe gardło, usiłując przekrzyczeć odgłosy burzy – widzicie, panie, tę wierzbę? – wyciągnął rękę jak drogowskaz.

John dojrzał drzewo dopiero po chwili. Bez pomocy chłopca nigdy nie odszukałby brodu.

Podjechali na sam brzeg. Mustang parsknął lękliwie, cofając się przed szumiącą wodą, podpływającą pod kopyta. Nowe uderzenie ostróg przemówiło mu do rozsądku. Czarny John uniósł się w strzemiączkach i wyteżając wzrok, badał baczным spojrzeniem powierzchnię wody. Kilkakrotnie odniósł wrażenie, że dostrzega coś podobnego do ludzkiej głowy, jednak po bliższej obserwacji stwierdził, że były to tylko kawałki drzewa, niesione przez gwałtowny prąd.

– Dawno go widziałeś? – wykrzyknął wprost w ucho chłopca.

– Nie... wszystkiego razem może dziesięć minut. Albo jeszcze mniej. Nie mam zegarka...

Dziesięć minut... przez ten czas setki ludzi mogło znaleźć grób w rozszałym żywiole, a cóż dopiero samotny jeździec.

– Nie ma – westchnął wreszcie John – widocznie przybyliśmy za późno.

Chłopiec milczał, nie odrywając ani na chwilę wzroku od skłębionych fal.

– Ooo! – krzyknął nagle nieludzkim głosem – patrzcie, panie – wskazał mu coś palcem w dole rzeki.

Następna błyskawica wyrwała z czarnego mroku niewyraźny kształt miotany wirem. Mógł to być poszukiwany jeździec, z równym jednak skutkiem mogło być i co innego.

Wzdłuż brzegu podjechali bliżej. Tak, raczej wyglądało na człowieka. Ale odległość nie pozwalała stwierdzić, czy człowiek ten żył jeszcze, czy też woda toczyła zwłoki topielca.

– A no trudno – mruknął John – tak czy inaczej, trzeba sprawdzić. Zsadził chłopca.

– Poczekaj na brzegu – rozkazał bezapelacyjnie – ja spróbuję... Ujął mocno cugle, uderzył z rozmachem ostrogami, uderzając jednocześnie dłonią pomiędzy uszy konia.

Ten stęknął ze strachu, czy też z bólu, stanął dęba i runął przed siebie w rozpaczliwym skoku. Z miejsca stracił grunt pod nogami, pogrążając się z głową w wodę. Snop mokrych bryzgów uderzył Johna w twarz zapierając na chwilę oddech.

Mustang rozpaczliwie przebijając nogami, za pomocą gwałtownych skrętów całego tułowia zdołał wypłynąć na powierzchnię. Ostatecznie nie po raz pierwszy znalazł się w wodzie. Gdyby nie burza...

Ale burza właśnie szalała w całej mocy żywiołowych potęg. Smugi deszczu waliły wprost w twarz, oslepiając jeźdźca. Chwilami John odnosił wrażenie, jak gdyby fale rzeki sięgały aż do chmur. Prąd okazał się silniejszy od wysiłków wierzchowca, zaczął ich wyraźnie spychać. Uniósł się w strzemionach, usiłując w ten sposób ulżyć walczącemu z falami zwierzęciu. Więcej niestety nic mu nie mógł pomóc w zmaganiach, choć zdawał sobie sprawę, że w momencie, gdy koń straci siły, jego los również będzie przypieczętowany.

Rozbłyśki oświetlały drogę. W przerwach pomiędzy błyskawicami otaczała go ze wszystkich stron nieprzenikniona, jednostajnie czarna ściana mroku. Wydawało się, iż można je uchwycić ręką. Zbliżali się mimo wszystko do celu. Odległość do ciemnej plamy, chybotzącej na wodzie, wyraźnie malała. Zbliżali się jednak w tak rozpaczliwie powolnym tempie, że John zaczął tracić nadzieję, czy w ogóle zdołają cel osiągnąć. Koń podejrzanie pochrapywał. Ruchy jego stały się ociężałe, wyraźnie tracił siły. Prąd napierał gwałtownie na lewy bok, spychając go ku dołowi rzeki. Ostatnie parę jardów stanowiło jeden nieprzerwany koszmar. Kilkakrotnie zdołał dosięgnąć wyciągniętą ręką ludzkiego ramienia, jednak mokry materiał bluzy przeslizgiwał mu się pomiędzy zdrtwiałymi z zimna palcami.

Wreszcie zahaczył za skórzany pas, zaciskając na nim kurczowo palce. Ciało tonącego przewalało się bezwładnie po falach. Nie wiedział, czy kołatała się w nim jeszcze choćby najmniejsza iskierka życia.

Rozpaczliwym wysiłkiem zdołał nawrócić mustanga. Koń chrapał już bez przerwy. Słabł z każdą chwilą. John zastanowił się. Nie ma mowy, by zdołał dotrzeć do brzegu z ciężarem na grzbiecie. Gdyby jednak płynąć obok niego? Tak, wówczas istniałaby jakaś minimalna szansa.

Zsunął się z siodła i chwyciwszy jedną ręką strzemię, z drugiej nie wypuszczał pasa nieznanego topielca. Poczawszy ulgę, mustang zaczął płynąć nieco energiczniej. John pomagał mu w holowaniu wytężoną pracą obu nóg. Nasiąkłe jednak wodą buty ciągnęły ołowianym ciężarem w dół. Gdyby je zrzucić?

Pomysł jednak należał do całkowicie niewykonalnych. Obie ręce miał zajęte. Nie było możliwości choć na chwilę jedną z nich zwolnić. Nagle koń zanurzył się z głową w nurt, pociągając za sobą Johna. Niespodziewanym atakiem woda chlusnęła do przełyku. John

zachłysnął się, tracąc oddech. W uszach szumiało dalekim odgłosem tysiąca dzwonów. Mustang zdołał jakimś instynktownym wysiłkiem wypłynąć. Minęła dłuższa chwila, zanim Johnowi udało się zaczerpnąć powietrza do zmęczonych płuc. Jeszcze kilka jardów... Znowu koń zaczął zapadać w głąb... John wypuścił strzemię z ręki... Nie odnalazł go już... Teraz był skazany wyłącznie na własne siły. Holowane ciało utrudniało ogromnie posuwanie się naprzód. Przez mózg Johna jednak nie przeminęła nawet na ułamek sekundy myśl, by pozostawić je własnemu losowi. Z każdym ruchem było mu coraz ciężej.

Gonił resztkami sił. Na domiar złego, błyskawice stawały się coraz rzadsze. Coraz częściej musiał płynąć na oślep. Bo wtedy, gdy błyskawice rozrywały ciemności, nie zawsze miał głowę ponad powierzchnią rzeki. Łykał wodę, z trudem łapiąc powietrze. Lecz mózg pracował uparcie. Szansę malały. Zdawał sobie sprawę z tego aż nadto dokładnie.

Spóźniona błyskawica przemknęła po horyzoncie. Z wysiłkiem wynurzył głowę. Jakieś pokręcone kształty zarośli czy drzewa... Nie było zbyt daleko. Ale, aby przebyć ten odcinek...

Dzieliło go zaledwie parę jardów od zbawczego brzegu, gdy zrozumiał, że to już koniec. W żaden sposób nie zdoła wykonać choćby najslabszego nawet ruchu. Odretwiałe ramiona zawisły bezwładnie.

Po raz ostatni wynurzył głowę, w nozdrza uderzył wyraźny, zupełnie bliski zapach wilgotnej trawy. Zapadł głębiej... Fale zaczęły przetaczać się ponad jego głową...

## XIV

Calvert pracował coraz gorzej i coraz częściej zamyślał się przy robocie. Walter Raleigh od Bóg wie jak dawna zarządzający farmą szeryfa Blythe'a, nie znosił niedołęstwa ani lenistwa u podległych mu parobków. Toteż ślamazarność Calverta wyprowadzała go z równowagi. Calvert zawsze był marnym parobkiem, to jednak, co wyprawiał ostatnio, przechodziło już wszelkie pojęcie. Wymyślał mu więc od ostatnich, a niekiedy bywało, że i szturchnął raz i drugi pod zebro. Calvert patrzył wilkiem, nie odważył się jednak oddawać razów, bo Raleigh pomimo wieku miał jeszcze krzepę w mięśniach nie do pogardzenia, a pięść jego pracowała z precyzją parowego młota.

Calvert był kiedyś naocznym świadkiem użycia tej pięści na osobie jakiegoś awanturnika. Wspominając upadek jakby rażonego piorunem mężczyzny, tracił ochotę do wypróbowania umiejętności bokserskich swego szefa na własnej skórze. Nie, lepiej nie.

Zaciskał zęby i znowu wpadał w zadumę. Miał zresztą naprawdę do przetrwania całkiem solidną porcję zasadniczych tematów, a że mózg jego nie pracował zbyt szybko, potrzebował sporo czasu, by wszystko sobie ułożyć w porządku i dojść do jakichś wniosków. Do wniosków wprowadził jeszcze żadnych nie doszedł, ale pod czaszką zaczynał już świtać nie tyle gotowy plan, co jego mętne zarysy.

Calvert potrzebował dużo pieniędzy, nie wiedział dokładnie ile, ale w każdym razie znacznie więcej niż mógł skądkolwiek zdobyć normalną drogą. Dotychczas nie miał nigdy zbyt wielkich wymagań, ale teraz wszystko uległo zmianie. Znajomość z Macphersonem wywróciła podstawy filozofii życiowej głupawego parobka. Przede wszystkim nabrał znacznie lepszego mniemania o swej własnej wartości i możliwościach. Raleigh i inni mogą sobie ile chcą wyzywać go od ostatnich idiotów, on wie teraz swoje, skoro taki wielki pan, jak mister Macpherson, chce się z nim przyjaźnić. Widocznie ocenił właściwie jego istotną wartość. Tę wartość, której nie dostrzegali Raleigh i inni kowboje. No, ale co tam znaczy taki nieokrzesany zarządca, razem ze wszystkimi swymi parobasami, w porównaniu z Macphersonem? Macpherson zna się na ludziach. Sam mu o tym niejednokrotnie wspominał.

Z początku wszystko szło wspaniale. Calvert miał wrażenie, że przeniesiono go nagle do raju. Whisky ile tylko dusza zapagnie. I to jakiej whisky. Całkiem pańska wódka, jakiej przedtem nie miał okazji łyknąć od samego urodzenia. I te pieniądze, które mu dawał od czasu do czasu Macpherson w formie pożyczek. Nie były to wielkie sumy w pojęciu Macphersona, stanowiły jednak niemal majątek dla Calverta. Przynajmniej wtedy. Teraz nauczył się już inaczej patrzeć na pieniądze. Właśnie Macpherson go tego nauczył.

Dzięki Macphersonowi Calvert poznał nieznane dotychczas rozkosze zaspokajania marzeń. Na przykład ten wielki, cebulasty zegarek, do którego wzdychał od miesięcy, za każdym razem,

gdy droga wypadła mu obok sklepu zegarmistrza. Wspaniały zegarek, a przecież ma go w kieszeni swojej własnej kamizelki. Nawet z pięknym, stalowym łańcuszkiem. To już przekraczało zakres jego najodważniejszych zachcianek. A ta wspaniała apaszka we wszystkich kolorach tęczy. Kupił ją za pieniądze Macphersona.

Najważniejszą jednak zmianą w życiu Calverta był fakt, że po raz pierwszy w swym ubogim życiu popychanego przez wszystkich pariasa zakosztował miłości, i to odwzajemnionej. Przynajmniej miał wrażenie, że jest odwzajemniona, a wrażenie to opierał na pewnych, bardzo przyjemnych podstawach.

Dotychczas dziewczyny odwracały się od niego plecami albo, co gorsza, parskały w nos pogardliwym śmiechem. A ta nie odwracała się, ani jej nawet przez myśl nie przeszło, by go wyśmiewać. Przyjmowała nawet prezenty, albo gotówkę, za którą sama miała sobie wybrać prezenty według własnego gustu. Calvert puszył się jak paw. Co mu tam kto będzie Oponował. On teraz ma swoją dziewczynę, nie jakąś tam pierwszą lepszą od wideł albo motyki. Miastowa panna z edukacją, na co dzień nosząca jedwabie. Niech się wszystkie wieśniaczki schowają, ani się która umywa do niej.

Wprawdzie wybranka podobno nie cieszyła się w miasteczku zbyt dobrą opinią, ktoś mu nawet mimochodem szepnął o tym słówko, Calvert jednak się nie przejął ani trochę. Wzruszył ramionami, splunął, to wszystko. Co go tam opinia obchodzi. Nie z opinią przecież będzie się żenił, tylko z dziewczyną. A dziewczyna jak złoto. Zazdrosnych nie brak, wiadomo. Każdy chciałby z taką elegantką przespacerować się po ulicy. To i obszczekują. Niech im tam będzie. Ostatnio jednak na niezmacone niebo jego szczęścia nadciągnęły chmury, Macpherson coś zaczął niedociągać. Obiecywał złote góry, a tu nici. Tyle tylko, że częstował prawie tak jak dawniej. I to też już nie za często. Ale z forszą krucho, nie dawał. A nawet jak kapnął, to jak psu muchę. Szkoda gadać. A z poczęstunków niby jaka korzyść? Ma wlać wódkę do kieszeni i zanieść Emilce? Bo wszystko teraz już zaczął oceniać z tego właśnie punktu widzenia. I o co właściwie chodziło Macphersonowi? Przecież niemal wyłaził ze skóry, by mu usłużyć. Kto niby, jak nie on, przynosił wiadomości o stanie zdrowia panienki i o wyjazdach szeryfa? A czy może myśli, że doręczanie jego liścików panience to taka łatwa albo bezpieczna sprawa? Gdyby tak nakrył go szeryf, albo choćby Raleigh, to co wtedy?

Lepiej już nie rozmyślać o tym. Nie, Calvert stanowczo nie był zadowolony z wytwornego przyjaciela. Wspomniawszy przecież już Emilce o swoich nadziejach, a teraz Emilka zaczyna kręcić nosem. Ani prezentów, ani gotówki.

– Co z ciebie za narzeczony, śmieją się tylko koleżanki, że znalazłam sobie takiego niedołęgę. Inni obsypują swoje dziewczyny podarkami, a ty co? Tylko obiecujesz. Mógłbyś się chyba postarać, bym nie potrzebowała za ciebie przed ludźmi oczami świecić.

Po takich rozmowach Calvert odchodził jak zmyty. Zresztą nie zatrzymywała go

najmniejszym choćby słowem. Był zrozpaczony. Gdyby chociaż naprawdę mógł się postarać. Ale jakie tam były jego możliwości! Tyle tylko, że kiedyś sprzedał na lewo worek pszenicy. Nie na długo wystarczyło. Drugi raz nie miał odwagi zaryzykować. Raleigh miał oczy jak diabeł. Gdyby wywachał, poprzetrącałby mu kości, jak amen w pacierzu. Pozostawał więc tylko Macpherson. Z Macphersonem jednak nic nie wychodziło.

Calvert ani przez najkrótszą nawet chwilę nie podejrzewał, że ten wielki pan goni resztkami. Nie uwierzyłyby zresztą, gdyby mu nawet sam o tym powiedział. Jakże, taki bogacz? Przecież tyle o swoich bogactwach opowiadał. Po co miałby kłamać? Dostyc popatrzeć na jego pierścionki. Kamienie jak fasola. I to jakie kamienie! Błyszczą z daleka. Pieniędzy jak lodu i skąpi. Ma zamiar pewno wykiwać. Służ człowieku, jakbyś duszę diabłu zaprzedał, a potem figa.

Niedoczekanie! Calvert nie taki znów głupiec.

Emilka zaczęła grozić, że go przepędzi, jeżeli tak dalej będzie. Stracić Emilkę? Wszystko, tylko nie to. Już on znajdzie jakiś sposób. Tylko sobie wszystko porządnie przemyśli. Mają przecież ludzie pieniądze, więc dlaczego on nie miałby mieć.



## XV

Gdy go woda wypchnęła, uderzył głową w jakiś twardy przedmiot. Chwyił go rozpaczliwie. Oślizła kora wymknęła się jednak spomiędzy palców. Znowu zapadł w głębie. Zachłysnął się. Rzeczywistość rozpadała się w pogmatwanym, z początku piekielnie bolesnym, później coraz bardziej kojącym szumie. Następnym razem był już niemal przytomny. Gałąź uderzyła w pierś. Na pół świadomym, instynktownym odruchem zacisnął na niej kurczowo ręce wpijając paznokcie w chropowatą korę. Jakoś zdołał utrzymać tym razem... Raz po raz bryzgi spływały po twarzy. Nie zanurzał się jednak więcej. Zbawcza podpora gałęzi utrzymywała go na powierzchni. Coś powoli, ale uparcie ciągnęło go do brzegu. Niemrawo uniósł głowę. Zapiekły odrętwiałe mięśnie karku. Spazmatycznie łapał powietrze w szeroko otwarte usta. Powoli odzyskiwał świadomość. W przeciągłym błysku mignęła postać chłopca.

– Aha – myślał z wysiłkiem – to... mały John... Ale przecież sił mu nie starczy... ściągnę go do wody... – instynkt jednak był silniejszy od rozumowań, nie wypuścił z rąk gałęzi.

Jeszcze chwila i wczepił palce w jakąś gmatwaninę wątlých korzeni. Brzeg. Zaczął się niezdarnie gramolić. Wątle ramię chłopca pomagało mu ze wszystkich sił. Wciągnięcie bezwładnego ciała topielca poszło nadspodziewanie łatwo. Leżał na mokrej trawie, ciężko dysząc. W głowie panowała jeszcze resztką powoli ustępującej mątwy. Prawda. Topielec. Zaciskając zęby, podniósł się na nogi. Postać topielca leżała bezwładnie. Zmiętoszony łachman stetsonowskiego kapelusza wciąż jeszcze tkwił na głowie, przytrzymywany skórzanym paskiem. Z pomocą małego Johna przewrócił nieruchome ciało na plecy. W tej samej chwili silny poryw wiatru rozdarł rzednącą oponczę chmur. Blade światło zmierzchu padło na twarz leżącego...

Czarny John zdrewniał ze zdumienia... Czyżby dalszy ciąg koszmaru? Nie mógł uwierzyć własnym oczom. A jednak była to nieodparta rzeczywistość: pod obwisłym rondem kapelusza bieląła jasna plama twarzyczki Kate Blythe... Opadł przy niej na kolana.

...Jeżeli nie żyje?

Nie tracił czasu na rozmyślania, zabierając się gorączkowo do ratowania. Woda szerokim strumieniem wypłynęła z ust dziewczyny. Teraz sztuczne oddychanie... Wiedział, jak należy ten zabieg wykonywać. Mały John pomagał jak umiał. Zresztą i on widział parę razy krzątanie przy topielcach.

Mijały długie jak wieki minuty. Zasapali się obydwaj, ciągnąc w górę i w dół ramiona dziewczyny. Steżała, powleczone śmiertelną bladością twarz ani drgnęła.

Wielkie krople potu spływały po czole Czarnego Johna.

– Boże! – po raz pierwszy od niepamiętnych czasów myśli jego zespoliły się w gorące błagania modlitwy – nie pozwól żeby... przecież... Boże! Ona musi żyć...

Nic jednak nie wskazywało, by modlitwa została wysłuchana. Dziewczyna wciąż nie dawała

znaku życia. Aż nagle, gdy ostatecznie stracił nadzieję, powieki jej zatrzepotały.

Przeogromna ulga spłynęła na udęczone serce Johna.

– Żyje! – nie ustawał jednak w zabiegach ratowniczych. Po paru minutach spojrzała na wół przytomnie.

– Pan? – szepnęła ze zdumieniem.

Skurcz wzruszenia ścisnął gardło Czarnego Johna. Nie zdołał przemówić słowa. Powoli uniosła się, opierając plecami o pień drzewa. Niezręcznym ruchem podał jej manierkę.

– Łyk alkoholu... powinien... myślę... – zająknął się.

Był zmieszany do ostateczności.

Podziękowała słabym uśmiechem. Zerknął niedowierzająco. Uśmiech? Dla niego? Dla człowieka, który... Ach tak, pewno jeszcze nie odzyskała całkowicie przytomności i nie pamięta, że... Albo po prostu uśmiecha się do świata, którego nie miała nadziei oglądać. W każdym razie, tak czy inaczej, nie wolno przyjmować go na swój rachunek.

Kate oddała manierkę.

– Pan mnie ocalił? Właśnie pan... – powiedziała wolno, jakby zastanawiając się nad czymś.

John poczerwieniał. Wściekły był na siebie za ten rumieniec, nie mógł jednak nic na to poradzić.

– Nnie... – bąknął – właściwie nie ja... – oto – ogarnął ramieniem chłopca – ten, który ocalił panią, mnie zresztą również.

Ale mały imiennik Czarnego Johna nie chciał się stroić w cudze piórka.

– A juści – roześmiał się szeroko, pokazując nierówne zęby – taka to i prawda. Ten pan skoczył na koniu do wody, żeby panienkę wyciągnąć. I sam o mało się przy tym nie utopił. Niewiele mu już brakowało. A bo to i dziwota – pokręcił głową – przy takim wirze. A konisko i tak popłynęło do Toledo.

– Więc jednak pan uratował mi życie – spojrzała mu prosto w twarz promiennym spojrzeniem.

Spuścił oczy.

– A tam... słuchaj no, mały Johnie – zwrócił się do chłopca – w jaki sposób dałeś radę utrzymać gałąź i jeszcze podciągnąć nas do brzegu? Myślałem, że raczej my ściągniemy ciebie do wody.

Chłopiec wydał pogardliwie wargi.

– Albo to ja bym się dał? Czy mi pierwszozna wyciągnąć co z rzeki? Jak była powódź na wiosnę, to takie kłody wyławiałem, że aż ha! To był dopiero ciężar, nie to co dzisiaj. Tak jak wtedy uwiązałem łąso do pnia, a drugi koniec do pasa. To chyba musiałoby drzewo wyrwać z korzeniami, żeby mnie miało pociągnąć, a łąso mam solidne. W zimie dałem za nie całkiem jeszcze porządną łązwę. Umiem sobie dać radę, co państwo myślą. Nie jestem żadna tam

ciamajda.

Kate roześmiała się, patrząc na jego buńczuczną minę.

– Nie – potwierdziła – nie jesteś ciamajda. Wprost przeciwnie. Zuch z ciebie nie lada.

– Tak – powiedział poważnie John – zuch jesteś! I masz duszę dorosłego mężczyzny – uściśnął mu mocno szczupłą dłoń.

Chłopiec pokraśniał. Ten pan z rewolwerem podaje mu rękę, jak komuś równemu? Kate spod oka obserwowała swego wybawcę. Dlaczego taki ponury? Nagle coś sobie przypomniała.

– Panie Johnie!

Drgnął. Nie spojrzał na nią jednak.

– Słucham.

– Czy... czy pan wie, że... – utknęła, nie wiedząc jak ma sformułować pytanie. Temat nie należał zresztą do najłatwiejszych.

– Cóż mam jeszcze wiedzieć? – głos jego brzmiał bezdźwięcznie – niestety – utkwiał wzrok w ziemi – i tak wiem aż nadto wiele, jak na moje wymagania... Wiem na przykład, że piekło nie zawsze czeka na swoje ofiary aż do zakończenia ich ziemskich wędrówek. Dla niektórych już tu na ziemi... – urwał zaciskając wargi.

Słuchała z rosnącym zdumieniem. Czyżby naprawdę jeszcze nie wiedział? A może jego słowa dotyczą zupełnie czego innego? Ale coś w głębi mówiło, że właśnie... W ogóle serduszko panny Kate Blythe ostatnio coś często zajmowało się zagadnieniem czarnowłosego gracza.

– Bo... ja chciałam panu powiedzieć, że ojciec mój jest już zupełnie zdrow i że ta rana...

Spojrzał na nią nieprzytomnymi oczami.

– Prze... przepraszam – głos rwał się w strzępy – nie zrozumiałem... co... co pani powiedziała? – twarz jego powlekła sinawa bladeść.

Ogromne współczucie zalało jej serce. Boże, jak ten człowiek się męczy.

– Mój ojciec jest już zupełnie zdrow – powtórzyła łagodnie.

Nagle opadł zupełnie z sił. Zachwiał się i gdyby nie podpora jakiejś gałęzi, runąłby na ziemię. To jednak zbyt mocne i niespodziewane uderzenie.

– Jak to... zdrow? – nie mógł zebrać rozpierchniętych myśli – szeryf Blythe żyje?

– Dziś rano zrobił na koniu przeszło dwadzieścia mil.

Teraz zebrał odwagę i spojrzał prosto w twarz dziewczyny. Jej płomienne oczy nie kłamały.

– Przecież... przecież sam widziałem, jak... – wyjąkał.

– Tak... nie pan jeden uważał go za zabitego... ale to był tylko szok... chwilowy paraliż. Harvey opowiadał, jak to się stało. Nie potrafię jednak tego panu wytłumaczyć. Używał tylu terminów medycznych. Zna pan doktora Harveya?

– Harveya? – powtórzył nieprzytomnie – nie, nie znam.

Usiadł ociężale na jakimś pniu. Niemal bezwiednie łyknął potężny haust z manierki. To

wszystko jednak nie mogło mu się pomieścić w głowie. Zamordowany żyje? Kate... wyczarowana w wizjach tyłu bezsennych nocy dziewczyna... przy nim... rozmawia... darzy go uśmiechem? A może to wszystko dalszy ciąg jakiejś czarownicj zjawy... snu?

Kate milczała. Obserwując Johna zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje w jego duszy.

– No! – przerwała wreszcie przeciągłą ciszą – na mnie czas – zwinnie powstała na nogi – dość odpoczynku.

Ocknął się z zadumy.

– Idzie pani, już pani idzie?

– Oparła się o drzewo. Widać było, że przeceniła swe możliwości.

– Tak – kiwnęła głową z bezradnym uśmiechem – w każdym razie będę próbować. Ale nie jestem pewna, czy coś z tego wyjdzie, bo z nogami nie bardzo wyraźnie. Jednak mimo wszystko muszę.

– Ale tak na piechotę? Przecież sił pani nie wystarczy. Słuchaj – zwrócił się do małego Johna – czy nie mógłbyś skąd sprowadzić jakiegoś konia? Zapłaciłbym za wynajęcie. Chłopiec zamyślił się.

– Konia? U nas tu w pobliżu sami rybacy. Bieda. Ani konia, ani choćby najmarniejszego fordziaka. Chyba, żeby od Spencera. Lubi forszę, więc może by... nie – pokręcił z powątpiewaniem głową – na taką chłupotę. Spencer też nie da. Byłby w strachu, że bydlę nogi połamie. Trzęsie się o niego jak o jaki skarb. Kate zdecydowanym ruchem obciągnęła bluzę.

– Trudno. Sam pan widzi, nie ma innej rady, tylko marsz na piechotę. Może jakoś dobrnę. Zresztą czuję się już znacznie lepiej.

John spojrział na nią badawczo. Błada twarz dziewczyny przeczyła wyraźnie ostatnim słowom.

– Może pani troszkę zaczeka – zerwał się gwałtownie z pnia – poszukam sam, na pewno prędzej czy później zdołam wykombinować jakiś środek lokomocji.

Potrząsnęła przecząco głowę. Z mokrych kędziorów prysnęły krople wody.

– Nie, nie mogę czekać. Starą Manson ugryzła żmija. Dano mi o tym znać telefonicznie, a tu nie mają szczepionki.. Znalazłam ją w naszej apteczce. Dlatego zaryzykowałam przebycie brodu. Bo Manson służyła u nas na farmie, zanim wyszła za mąż za rybaka.

– Tak – wtrącił mały John, zniecierpliwiony, że od dłuższego czasu nikt na niego nie zwraca uwagi – stara Manson leży w łóżku. Noga jej spuchła jak bania. Szczerniała. Mąż jej mówi, że jak nie zastrzykną, to będzie z nią koniec.

– No, widzi pan. Nie można zwlekać – przesunęła palcami po zamkniętych na błyskawiczny zatrzask kieszeniach bluzy – na szczęście ampułki i strzykawki schowałam do kieszeni. Woda od razu wydała mi się niepewna. Obawiałam się, że mi porwie torbę. No i porwała – uśmiechnęła się smutnie – razem z wierzchówką, znał ją pan zresztą.

– To... była ta sama?

– Tak, Cocky. Miałam ją niemal od dziecka. Przywiązałam się... biedna Cocky – przelotny skurcz bólu przemknął po wargach dziewczyny – trudno – mężnie stłumiła westchnienie – życie ludzkie ważniejsze od konia. Nawet od najbardziej ulubionego konia. Pan przecież też stracił swego wierzchowca?

John machnął ręką.

– Głupstwo. Taki tam wierzchowiec. Najbardziej złośliwe bydlę, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek spotkać na szlaku. Dzisiaj, wyjechaliśmy z małym Johnem na... – zająknął się – no, do miejsca, gdzie chłopiec zobaczył tonącego, o mało z nas duszy nie wytrząsł. Dopiero przed samą śmiercią odezwało się w nim coś szlachetniejszego. Walczył do końca.

Kate obejrzała ze wszystkich stron swój kapelusz i powiesiła go na krzaku.

– Pomimo deszczu nie zaryzykuję włożyć go na głowę. No... idę już – spojrzała na niego, jakby na coś czekając.

– A czy pani... – pomimo wysiłku nie mógł powiedzieć tego, co miał na myśli.

– Co? – uśmiechnęła się z nieśmiałą zachętą.

– Czy pani... czy pani pozwoliłaby, żebym ją... – brnął rozpaczliwie. Rumieniec na jego twarzy przybierał coraz ciemniejszą barwę.

– Czy pozwolę, żeby mnie pan odprowadził do chaty Mansonów? – pomogła mu, zlitowawszy się nad jakaniną.

– Tak... ja rozumiem, że... ale...

– Ależ bardzo chętnie – przerwała – zresztą nie jestem znów tak bardzo pewna, czy zdołam dojść o własnych siłach. Pomoc pańskiego ramienia może okazać się koniecznością w tej ekspedycji ratunkowej – naturalnym ruchem wsunęła mu rękę pod ramię – idziemy.

John bezskutecznie usiłował pokonać ogarniające go drżenie. Milczał zawzięcie. Za żadne skarby nie odezwałby się do swej towarzyszki. Zmieszanie jego osiągnęło punkt kulminacyjny.

Rozmiękła ziemia kłaskała pod podeszwami.

Mały John bez zastanowienia ruszył w ślad za nimi. Miałby stracić okazję zobaczenia, jak Ellen Manson będą coś zastrzykiwać? Nic z tego. Przecież nie codziennie kogoś gryzie jadowita żmija.

## XVI

Carpenter twierdził, że Czarny John oszalał do reszty. Nie on jeden zresztą tak twierdził. Coraz więcej osób zaczęło przychylić się do tego zdania.

Od chwili powrotu do Norfolk zauważono w nim zmianę. Przyjechał na jakiejś niemożliwej wywołce. Twierdził, że jeden mustang został w niewoli, drugi utonął, a na kupno lepszego nie było go stać. No cóż... Pokręcono tylko głowami, ale to jeszcze rozumiano. Na szlaku bywa rozmaicie. Choć przecież taki as, jak Czarny John, miał chyba sposobność zdobycia gotówki, gdy zaszła taka potrzeba.

Za to potem zaczęło się na całego.

Już na drugi dzień, gdy Carpenter przejęty troską o mieszek przyjaciela namówił go do gry. Czarny John przegrywający? Gdyby go przyłapano z asem w rękawie, no to jeszcze, najzręczniejszemu może się zdarzyć, ale przegrywać? I do tego w czasie gry z jakimiś handlarzami bywała, dotkniętymi kurzą ślepotą?

Carpenter załamywał nad nim ręce.

– Chłopie, co się z tobą dzieje?

John tylko wzruszył ramionami.

– Daj mi spokój. Karta mi nie szła, to co miałem robić?

Tego już było za wiele, jak na pobłażliwość Carpentera.

– „Karta nie szła”! Uważacie? Czarnemu Johnowi nie szła karta! Bredzi jak noworodek, który nie wie, że szczęściu trzeba czasami pomagać.

Ale, gdy mu o tym napomknął, John wykrzywił wargi grymasem niesmaku.

– Skończyłem z tym – oświadczył stanowczo.

– Z kartami?

– Tak, to jest właściwie nie tyle z grą, co z pomaganiem szczęściu.

Carpenter aż zagwizdał.

– Tylko tyle?

John jednak pozostał niewzruszony. Wyraźna ironia przyjaciela nie robiła na nim najmniejszego wrażenia.

– Uhum – potwierdził obojętnie – właśnie, tylko tyle – zamyślił się – a może nawet i coś niecoś więcej – dorzucił po chwili.

Na nalegania jednak, by wyjawiał co ma na myśli, uparł się niczym muł. Bąkał coś tam pod nosem, aby zbyć. Carpenter w końcu, chcąc nie chcąc, musiał zrezygnować.

– Słowem, zmieniasz hm... swoje życie?

– Zmieniam.

– I co masz zamiar dalej robić?

John popatrzył w sufit.

– Czy ja wiem? Coś się może nawinie pod rękę. A najpewniej powieszą mnie na jakiejś suchej gałęzi.

Jego bezbarwny, zrezygnowany głos działał na nerwy Carpenterowi.

– Przecież ten twój szeryf żyje?

John niespodziewanie wybuchnął.

– Więc cóż z tego, że żyje? Tak czy inaczej strzelałem do niego. Czy powieszą mnie za morderstwo, czy za jego usiłowanie, jeden pies! – miał przy tym tak ponurą minę, jakby właśnie niczego więcej nie pragnął, niż by go powiesili naprawdę.

Zdziwaczał chłop i tyle.

Następnego dnia był spokój. Czarny John okrągłą dobę przesiedział w swoim pokoju, zamknąwszy drzwi na trzy spusty. Może odsypiał zmęczenie, a może co innego, dość że ani razu nie zajrzał na dół. I nikogo nie chciał do siebie wpuścić. Tyle tylko, że kazał sobie przynieść jedzenie na górę. Nazajutrz za to od rana zasiadł przy stoliku mówiąc, że go dusi, zaczął sączyć bez przerwy alkohol. Do wieczora pochłonał całe morze. Uchłał się jak nieboskie stworzenie.

Wieczorem zaczął się awanturować. Znokautował jakiegoś kowboja, zupełnie zresztą nie wiadomo za co, połamał dwa krzesła, powypędzał ludzi z sali gry, zawadzając przy sposobności czyjąś głową o szybę. W końcu zabrał się demolowania bufetu.

Dobrze, że Sasza, widząc nadciągający huragan, zdążył w ostatniej chwili pochować pod ladę najbardziej błyszczące złotem butelki.

Ludzie w czasie tych wszystkich historii trzymali się z daleka.

Minę miał straszną, wystająca z otwartej pochwy rękojeść też nie robiła specjalnie zachęcającego wrażenia. A przecież bywalcy gospody „Pod Złotym Lwem” nie rekrutowali się z gatunku nieśmiałych. Wiedzieli jednak do czego jest zdolny. A tych co nie wiedzieli, ostrzegli inni. W rezultacie nikt nie ryzykował interwencji.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że w kilkanaście godzin po awanturze sprzedał swój zegarek, o którym niejednokrotnie twierdził, że nie sprzeda go nigdy za żadną cenę. Z pieniędzy w ten sposób uzyskanych zapłacił wszystkie straty, jakie wynikły wskutek awantury. I nawet nie targował się o butelki, które Sasza doliczył jako procent.

Carpenter ostrzegał przyjaciela, że to zwyczajna granda ze strony oberżysty, John jednak tylko ręką machnął.

– Niech go tam.

Któregoś dnia natknął się znowu na Blewetta. Blewett wiedział o wyjeździe Johna, nikt go jednak widocznie nie zdążył uprzedzić o jego powrocie. Toteż jak gdyby nigdy nic zawitał do gospody.

Nastąpiło krótkie spięcie, którego wszyscy zresztą oczekiwali. Ale nikt nie mógł przewidzieć

jego przebiegu. Blewett na widok Czarnego Johna w pierwszej chwili pobladł, jakby już był trupem, potem jednak zaczął nadrabiać miną.

Czarny John patrzył na niego obojętnie, jak na łażącą po ścianie muchę.

Blewett łyknął dla kurazu kilka głębszych i rozpuścił buzię. Zaczął wyzywać Johna od ostatnich. Prowokował wyraźnie. John posłuchał trochę, a gdy miał już dosyć, wstał z krzesła.

W tym momencie Blewett złapał rewolwer.

John, jakby zapominając, że też ma przy boku coś do strzelania, skoczył na niego z gołymi pięściami.

Było to coś do tego stopnia niezwykłego i zrobiło tak niesamowite wrażenie, że widzowie wybałuszyli oczy.

Blewett też był zaskoczony. Tak bardzo, że ze zdumienia, czy też ze strachu, spudłował dwa razy haniebnie, strzelając z bliskiej odległości. Trzeci raz już nie zdążył wystrzelić. Rewolwer mignął pod sufit, jakby wyrzucony z procy, a Blewett dostał się w obroty, których mu nikt z widzów nie pozazdrościł. Nie trwało to długo. Może nie minął i kwadrans, gdy John szeroko ziewając, poszedł spać, a na środku podłogi pozostała nieruchoma plama. Długi Blewett był tak sponiewierany, że dopiero gdzieś nad ranem zdołał się jako tako wgramolić na swoją szkapę. I to nie o własnych siłach. Aż dwóch ludzi musiało mu pomagać w tej czynności, przewalał się bowiem bezwładnie z boku na bok, jak wór napełniony kartoflami.

Ale zawziętość w nim pomimo lania nie wygasła.

– Zobaczmy się jeszcze – wyseplenił z trudem, wygrażając pokrytą strupami skrzeplej krwi ręką. Nikt nie miał najmniejszych wątpliwości przeciw komu skierowane są te pogróżki.

John spał do południa. Zaraz po obudzeniu wyrzucił przez okno talerz z jajecznicą, choć prawdę powiedziawszy nie śmierdziała ani odrobinę mniej od podawanych innym gościom porcji.

Potem zaczęły się dla odmiany hece z grubasem w skórzanej kurtce. Grubas był, jak się okazało, jednym z najbogatszych kupców w okolicy. Hamilton, takie bowiem nosił nazwisko, wart był wiele milionów. Nie mógł jakoś zapomnieć o historii z Blewettem.

Raz po raz zaglądał do gospody, z miejsca pytając o Johna. Widocznie zapałał gorącym uwielbieniem dla swego zbawcy, jak go zawsze nazywał.

John zrazu nie reagował. Czasami, owszem, schodził do Hamiltona, czasami zaś kazał zakomunikować przez posługacza, że śpi i nie ma zamiaru rozmawiać z kimkolwiek.

Grubasa jednak trudno było zrazić. Odprawiano go – przyjeżdżał nazajutrz. I tak dalej. Kilka razy zaczynał coś niemrawo głądzić, utykając w pół zdania. Nie mógł się jakoś zdecydować, by wygarnąć na talerz.

Aż wreszcie, któregoś dnia wziął się na odwagę, wreszcie wylazło szydło z worka.

Po długim kręceniu wystękał, że tak przecież być nie może, że jak mu ktoś ocalił życie, to on



powinien... Słowem, zaproponował Johnowi nagrodę pieniężną.

John nastroszył się.

– Ani mowy! – przeciął energicznie wywody – strzelałem do rewolweru Blewetta, bo mi akurat tak się podobało! I nic nikomu do tego.

Hamilton jednak twierdził uparcie, że w tym wypadku właśnie jemu bardzo do tego, bo w przeciwnym razie od dwóch tygodni leżałby już pod ziemią.

Johna zaczęło to wszystko nudzić.

– Mój panie – oświadczył stanowczo – trafił pan pod zły adres! Jeżeli mister Hamilton potrzebuje przybocznej gwardii, mającej go uchronić od napaści, to niech napisze do Detroit, albo San Francisco. Tam nie brak najemnych rewolwerowców. Ale tymczasem niech raczy łaskawie zamknąć buzię.

Wszystko to było jeszcze powiedziane względnie uprzejmym tonem. Gdy jednak grubas nie ustępował w swych molestowaniach, John nawarczał na niego kilkupiętrowo. Kto wie, do czego by mogło dojść w rezultacie, bo ostatnio był całkiem nieobliczalny.

Spojrząwszy jednak na pełną pokornej skruchy minę grubasa nagle ostygł, machnął ręką i bez pożegnania poszedł do swego pokoju.

Na trzeci dzień Hamilton znowu przyjechał. I przyłapał Johna przy obiedzie. Na wstępie w zawyłych zdaniach przeprosił za to, co wtedy...

John wskazał mu ruchem ręki wolne krzesło. Zdawał się nie pamiętać o zajściu. Poczęstunku jednak nie chciał przyjąć i szarpnął się, stawiając butelczynę o całkiem nienajgorszej zawartości.

...Pewno wykańcza resztki sławetnego zegarka – westchnął w duchu Carpenter. Szklaneczki jednak nie odmówił.

Grubas zaczął z innej beczki. Po długich wstępach zaproponował Johnowi ni mniej ni więcej, tylko... objęcie posady.

– Posada? – John popatrzył na Hamiltona jak na jakiś nieznany okaz – dla mnie?

– No tak – grubas był wyraźnie zakłopotany – jeżeli panu to odpowiadałoby, to...

– Hm... a jakiego rodzaju ma to być posada?

Hamilton promieniał. Skoro pyta o szczegóły, widocznie nie ma zamiaru odrzucić bez rozważenia. Niespłacony dług wdzięczności ciążył mu na czułym sercu.

– Zarządcy majątku... albo pełnomocnika... widzi pan, często wyjeżdżam, trzeba, by ktoś pilnował moich interesów na miejscu.

– Hm – chrząknął znowu John – pełnomocnik to brzmi całkiem zachęcająco. To znaczy mógłbym robić wszystko w pańskim imieniu?

– Oczywiście!

– Sprzedawać, podnosić gotówkę i tak dalej?

– Ależ tak...

John zamyślił się, patrząc w rozkołysaną powierzchnię złotawego płynu w szklance, jakby szukając tam odpowiedzi na jakieś gnębiące pytanie.

– A – podniósł nagle wzrok – czy pan wie, mister Hamilton, jaki jest mój właściwy zawód?

Carpenterowi niemal włosy powstały na głowie. Ładna historia. Ten i ów wiedział, czym się zajmuje Czarny John. W każdym razie jego zajęcie nie należało do rzędu tych, o których się rozpowiada publicznie.

– Pański zawód? – grubas zamrugał oczami – nie, nie wiem.

– No, to niech się pan dowie. Jestem mianowicie szulerem!

Carpenter wychylił wódkę i bezwiednie napełnił szklaneczkę...Niech go gęś kopnie, tego całego Johna. I żeby choć bestia zniżył trochę głos przy ostatnich słowach, ale gdzie tam. Ani nawet na myśl mu nie przyszło. Hamilton osłupiał.

– Szulerem? – powtórzył jak echo.

– Tak – potwierdził obojętnie – właśnie szulerem. To jest takim jegomościem, co gra w karty, a czasem potrafi także oszukiwać w grze.

Hamilton potarł ręką czoło.

– No więc cóż z tego? – powiedział wreszcie – pan mi ocalił życie, a to, że pan był... hm... szulerem... – Był pan! – powtórzył uparcie grubas – skoro pan obejmuje u mnie posadę, odpadnie potrzeba zarabiania na życie grą.

– To znaczy, nie cofa pan swojej propozycji? – zapytał ze zdumieniem John.

Carpenter był nie mniej zdumiony.

...Ależ wariat – skomentował w duchu – właściwie obydwaj wariaci. Wart jeden drugiego.

Grubas zaperzył się.

– Ani nawet myślę cofać. Za kogo mnie pan uważa? Hamilton ma tylko jedno słowo.

– A jeżeli pana okradnę, mister Hamilton?

– Nie okradnie pan! – zaprzeczył gorąco – a gdyby nawet chciał pan coś wziąć, czy... to i tak nie będzie kradzież.

– Jak to?

– Bo gdybym nie żył, to co by mi było po majątku? Żona i dzieci mają swoje odrębne kapitały w banku. Zresztą dzieci i tak by pan nie chciał skrzywdzić.

John przytknął szklanekę do ust, ciągnął alkohol powolutku, jakby przez słomkę. Słowa Hamiltona wzruszyły go. Nieruchoma twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

– Dobrze, mister Hamilton – oświadczył wreszcie odstawiając ostrożnie szklanekę – namyśle się. I za trzy dni dam panu ostateczną odpowiedź.

Grubas uściśnął mu z wylaniem prawicę. Był wyraźnie uszczęśliwiony.

Na trzeci dzień jednak nie znalazł Johna „Pod Złotym Lwem”. Nie było go w ogóle w Norfolk. Już nazajutrz po rozmowie osiedlał swoją wywłokę.

– Uciekasz? – zapytał Carpenter.

– Tak – strzepnął w powietrzu palcami – zgadłeś, właśnie uciekam.

– Na pogranicze?

Po wargach Johna przemknął niewyraźny uśmiech.

– Na pogranicze... piekła i nieba. Ale jeśli będziesz miał wolny czas, odmawiaj egzekwie za moją duszę, bo raczej zawadzę o piekło. Znajdą się tacy, co mnie tam skierują.

Carpenter dłuższą chwilę obserwował oddalającego się jeźdźca. Ani w ząb nie rozumiał jego ostatnich słów.

...Piekło? Niebo? Egzekwie? – wszystko razem, galimatias i groch z kapustą. Nie wiadomo co do czego dopasować. – Wreszcie machnął ręką zrezygnowany. Kto by tam zrozumiał takiego wariata?

I powrócił do gospody, aby wychylić szklaneczkę na intencję szczęśliwej podróży zbłąkanego przyjaciela.

## XVII

Macphersona zaczynała ponosić wściekłość. Rokujące tak piękne nadzieje plany kulały coraz bardziej, grożąc zupełnym utknięciem w miejscu.

Oczekiwane z niecierpliwością wyzdrowienie Kate nie przyniosło wbrew nadziejom decydujących sukcesów. Sprawa komplikowała się jeszcze mocniej. Bo Kate wzięła wyraźnie na kiel. Nie mógł mieć co do tego najmniejszych wątpliwości. Kilka liścików, przesłanych za pośrednictwem Calverta pozostało bez echa. Pierwsze z nich skomponował w pięknej poetyckiej formie. Z łezką i sercem. Macpherson umiał pisać listy do dziewcząt. Miał w tej dziedzinie całkiem niepoślednie doświadczenie. Był przyzwyczajony, że wywierają pożądany skutek. A tu nic. Jak kamień w wodę. Choć przecież prosił o odpowiedź. Komplet listów od Kate przydałby się do bukietu dokumentów, jaki przechowywał. Błagalny początkowo ton listów uległ następnie zmianie. Różne wyszukanych słów zaczęły ukazywać kolce grózb. Oczywiście w pięknych osłonach zachowanych jakich takich pozorów uczucia. A przede wszystkim na wypadek, gdyby listy wpadły w niepowołane ręce... Ale Kate musiała przecież dobrze rozumieć, o co naprawdę chodziło. Rozumieć i skapitulować. Może zresztą i rozumiała, ale do kapitulacji wciąż jeszcze było piekielnie daleko. A czas naglił. Próby telefonicznego porozumienia z Kate też przyniosły kompletne fiasko. Telefon odbierał albo szeryf Blythe we własnej, groźnej osobie, albo jakiś obcy głos dziewczęcy. A ten głos był bardzo żądny wszelkiego rodzaju informacji. „A kto?” „A po co?” „A do kogo?”. Macpherson zaś okropnie nie lubił dekonspiracji wobec osób trzecich. Raz zresztą, gdy zaryzykował wymienić swoje nazwisko i tak nic z tego nie wyszło. Po krótkiej chwili oczekiwania przy aparacie, gdy był już niemal pewny sukcesu, w słuchawce zatrzeszczał ten sam głos.

– Panienska wyjechała i nie wiadomo kiedy wróci...

To już było wyraźne... Wzięła na kiel jak wszyscy diabli.

Macpherson jednak ani myślał rezygnować. Nie miał zresztą możliwości.

Stawka na Kate miała zadecydować o całej jego egzystencji. Nie widział innych środków ratunku. I zbyt daleko zabrnął, by móc się cofnąć.

Przegrać grę, w której posiada takie atuty? Niedoczekanie...

Skoro Kate pokazuje pazurki, to jej się je obetnie. Z Macphersonem sprawa, moja panienko! A jeżeliby pomimo wszystko on miał runąć, pociągnie ich wszystkich z sobą, Kate, szeryfa... Nie cofnie się przed niczym.

Do tych wszystkich perypetii dochodził jeszcze kłopot z Calvertem.

Głuptak nagle nabrał rozumu. Poznał wartość pieniędzy. I chciał ciągnąć jak smok. Zrozumiał, że Macpherson go potrzebuje. Nic tylko dawaj i dawaj. A Macpherson naprawdę gonął resztkami. Tę odrobinę, jaka mu jeszcze została, musiał przecież zachować na koszty

reprezentacji. Gdy przyjdzie co do czego, trudno by stanął przed szeryfem jak ostatni hołysz. Przynajmniej na początku. Bo później coś się w ten czy inny sposób wykombinuje.

Żeby choć mógł porozmawiać sam na sam z Kate. Co tam listy... W cztery oczy sprawa idzie zupełnie inaczej. Tylko ten szeryf... Siedzi w domu kamieniem. Ani mowy o żadnej okazji osobistych odwiedzin.

Przyszedł piątek. Dzień jak każdy inny. Nikt spośród wielu zainteresowanych osób nie przeczuwał doniosłych zmian, jakie w ich losach dzień ten miał przynieść.

Calvert od samego rana zawitał do Cleveland. Niby to zajrzał do składu z kartką Raleigha, ale on sam tylko wiedział dzięki ilu skomplikowanym zabiegom otrzymał to zlecenie.

Później jak w dym do hotelu „Złota Brama”. I do Macphersona. Mina ważna, jak sto diabłów. Nie byle co przynosi. W mętnawych oczach błyski chciwości.

Dzisiaj Macpherson będzie musiał sięgnąć głębiej do portfela. Jest za co płacić. Zresztą najwyższy czas. Bo z Emilką ostatnio sprawa stała całkiem marnie. Po prostu zapowiedziała, by się nie pokazywał na oczy bez solidnego prezentu. Przy tym napomknęła niedwuznacznie, że znajdzie sobie kogoś innego, kto będzie bardziej dbać o nią. Ujawszy brzeg sukienki w końce palców, okręciła się przed Calvertem na obcasach jak fryga.

– No, sam powiedz: czy nie jestem warta?

Łykał ślinę... Pewno, że warta.

.Będzie miała solidny prezent. Właśnie dziś. I później także. Bo Macpherson niejednokrotnie mówił, że gdy przyjdzie moment, sprawa ruszy z kopyta.

Gdyby zresztą Calvert przeczuwał choćby przez najkrótszą chwilę, w jakim kierunku ruszy sprawa i czym się skończy dla niego osobiście, raczej zagipsowałby usta, niż wypowiedział jedno słowo na ten temat do Macphersona. Także Macpherson, gdyby mógł przewidzieć ostateczny rezultat, zatknąłby szczelnie uszy i zaczął pośpiesznie pakować manatki, rezygnując ze złotych jabłek.

Ale na nieszczęście dla nich, żaden z nich nic nie przeczuwał. I dlatego właśnie ów piątek odegrał ich życiu taką rolę, jaką mu los do odegrania przeznaczył.

Calvert zaczął rozmowę od wielu tajemniczych praktyk, mających podnieść cenę przynoszonych wieści. Rozejrzał się na wstępie na wszystkie strony, potem zapytał, czy aby przypadkiem nikt nie podsłuchuje. Bo nie chciałby, żeby ktoś wiedział, że to właśnie on... Zapytał zresztą nie jeden raz. Macpherson wyczuł, że tym razem przyniósł naprawdę coś ważnego. Zaprosił Calverta do swego pokoju. I kazał przynieść butelczynę. Calvert łyknął solidnie, po czym wypalił bez dalszych już wstępów.

– Szeryf po południu wyjeżdża!

– Hm – Macpherson zapalał powolutku papierosa, by ukryć wrazenie.

A wrazenie należało rzeczywiście do gatunku dość silnych. Tak dawno czekał na tę chwilę. –

Hm...– wypuścił z ust misterne kółko... Obserwował w milczeniu, jak powoli rozplywało się w powietrzu. Miał taką minę, jakby go nic poza tym nie interesowało.

Calvert był rozczarowany. Sądził, że Macpherson oszaleje z radości. Że go obsypie banknotami. A tu nic. Nie zdawał sobie sprawy w swym ograniczeniu, że jego nieudolna przebiegłość nie miała żadnego waloru wobec gracza tej klasy, co Macpherson.

– A więc szeryf wyjeżdża – podjął doskonale obojętnym tonem, Macpherson – Nie wiecie, czy na długo?

Calvert ożywił się. Nie czekając na zaproszenie napełnił pustą szklaneczkę. Na bardzo długo! Na cały tydzień albo i więcej. Udaje się do komitetu wyborczego w Toledo. Czy pan wie, że ma zamiar postawić swą kandydaturę do parlamentu? Calvert wiedział o tym doskonale. Wiedział od dawna. Mało zresztą było spraw, dotyczących osoby szeryfa Blythe'a, co do których zaniedbałby skrzętnego zbierania dokładnych informacji. Więc szeryf wyjeżdża do komitetu, obrabiać wyborczą kampanię... W takim razie w istocie nie wróci przed tygodniem. A tydzień to okropnie dużo czasu.

– Tak – zabębnił palcami po blacie stołu – to rzeczywiście dobrze się składa. Zresztą oczekiwałem, że w tych dniach wyjedzie – dodał niedbale.

Ostatnie słowa nie bardzo zgadzały się z prawdą. Ale dla Macphersona kwestia prawdy nie posiadała żadnego znaczenia.

Calvert spojrzał na niego spode łba. Oczekiwał? Czort go wie. Może i naprawdę. W takim razie prezent dla Emilki stawał nagle pod znakiem zapytania. A to byłoby prawdziwą tragedią o nie dających się przewidzieć skutkach.

– To jeszcze nie wszystko – oświadczył niezbyt pewnym tonem. Zdawał sobie sprawę, że druga nowina, którą chował w zanadrzu, należy do gatunku pośledniejszego.

– No?

– Pokojówka panienci, Prissy Manson... Wie pan, ta sama, co odbiera zawsze telefony... Panienka ostatnio trzyma ją zawsze przy sobie. Widocznie w obawie...

– Tak – przerwał Macpherson – rozumiem. Więc co z tą pokojówką?

– Wyjechała wczoraj wieczorem do swej chorej matki na drugi brzeg Conchos. Też pewnie nie wróci przez parę dni.

– Więc – Macpherson starannie dusił niedopałek na popielniczce – panienka zostaje sama?

Calvert w duszy znów triumfował. A widzisz! Wzięło cię jednak! Bo przecież tego nijak nie mogłeś przewidzieć.

– Tak. Zupełnie sama. No... – zawahał się. – Jest wprawdzie kucharka, ale ta nosa z kuchni nie wytyka. A Raleigh ani chłopcy do mieszkania nie zagląдают. Szczególnie, gdy szeryfa nie ma w domu. Zadowolony pan wreszcie?

Macpherson był zadowolony. I to nawet bardzo. Ale nie miał zamiaru tego okazywać.

Szerokim gestem kazał przynieść jeszcze jedną butelkę. Jakaś tam zakąskę do kompletu. Mógł sobie na to pozwolić nie uszczuplając doraźnie funduszków, bo dzięki swemu darowi przekonywania zdołał uzyskać w hotelu dość pokaźny kredyt. Calvert wódkę wypił, zakąską też nie pogardził. Ale chciał otrzymać jakąś bardziej konkretną nagrodę. Gdy Macpherson udawał, że nie rozumie jego aluzji na ten temat, nabrał odwagi i wypalił, tym razem już bez żadnych osłonek:

– Potrzebuję pieniędzy! Koniecznie potrzebuję... Gdyby pan wiedział, jak mi dziś na nich zależy – dodał w formie usprawiedliwienia.

Macpherson stłumił odruch niechęci. Umiał postępować z ludźmi wszelkiego pokroju. Ten głupiec stawał się jednak ostatnio zbyt natarczywy.

– Ba... – Westchnął filozoficznie. – Kto ich nie potrzebuje...

Ale Calvert nie miał żadnego zrozumienia dla filozofii. Dla dyplomacji także nie. Konieczność kupienia prezentu Emilce wisiała nad jego głową, niczym ostrze gilotyny. Przyszedł po pieniądze i musi je zdobyć, żeby tam nie wiem co. Rudy piekarz z przeciwka łypał okiem na Emilkę, jak wszyscy diabli. Sama o tym wspominała niejednokrotnie.

Więc znowu zażądał pożyczki. Dość zresztą kategorycznym tonem. I dał do zrozumienia, że w razie czego potrafi przeszkodzić w niejednym. Nic go nie obchodziły groźne błyski w oczach Macphersona. Pamiętał tylko o swojej Emilce.

Macpherson próbował go zbyć obietnicami.

– Już w najbliższym czasie...

Calvert gwizdał na obietnice. Ostatnio dosyć go nimi karmiono. Emilka też miała dosyć obietnic wszelkiego rodzaju. Nie chciała o nich nawet słuchać.

– Potrzebuję gotówki – powtórzył więc znów uparcie.

Wreszcie Macpherson musiał sięgnąć do portfela. Nie czynił tego zbyt chętnie. Chciał się jednak pozbyć natręta. Trzeba było sobie jeszcze to i owo przemyśleć przed decydującą batalią. A tu ten gamoń wrósł w krzesło. Wyciągnął piątkę.

Calvert zachnął się pogardliwie.

– Piątka... To jak psu mucha.

Emilka nie raczyła nawet patrzeć na pięciodolarówki. Przynajmniej w pojedynczym wydaniu.

Macpherson zaczął coś głądzić o funduszach w banku.

Calvert wyraził zgodę na czek. Emilka miała znajomości w sferach bankowych, na pewno z podjęciem gotówki nie będzie żadnych kłopotów.

Macpherson jednak nie chciał wystawić czeku. Może dlatego, że za czekiem z jego podpisem żaden bank na kuli ziemskiej nie wypłaciłby ani centa. Ale o tym również Calvert nie mógł wiedzieć, a Macpherson nie miał go zamiaru w ten nieistotny szczegół wtajemniczać. Z różnych

względów zależało mu na tym, by w pojęciu wielu osób, a między innymi również i Calverta, uchodzić za bogacza. Rozmowa wlokła się w nieskończoność. W rezultacie Macpherson wyłowił jeszcze jeden banknot. Również tylko marną piątkę.

Tym razem z całkiem zdecydowaną miną schował portfel z powrotem i zamknął kieszeń na guzik. Na wszelkie dalsze perswazje Calverta pozostał nieczuły jak skała.

Wreszcie Calvert zrozumiał, że nic więcej nie wskóra. Był rozczarowany. Trząśnięcie niemal z irytacji. Dziesięć dolarów nie starczy na „solidny” prezent. A przecież Macpherson ma pieniądze. Portfel wypchany, że o mało nie pęka.

Portfel Macphersona rzeczywiście był wypchany. Więcej tam jednak tkwiło wszelkiego rodzaju świstków niż drobnych banknotów.

A o grubych w ogóle szkoda gadać. I gdyby Calvert mógł zajrzeć do środka, zrozumiałby, dlaczego otrzymał tylko dwie piątki. Zrozumiałby zresztą wiele innych rzeczy. Ale zajrzeć nie mógł. I z tego też powodu był przeświadczony o bogactwie Macphersona. Zresztą zgodnie z intencjami tego ostatniego.

Odchodząc Calvert przesunął ukradkowym spojrzeniem po pierścionkach, połyskujących na palcach Macphersona.

...Choćby te pierścionki...

Pewne mętne myśli, kłębiące się pod kędzierzawą czupryną, zaczęły powoli nabierać określonych zarysów. Myśli te miały dość szczególne zabarwienie. Bo Calvert nie chciał stracić swej Emilki. I dlatego musiał się postarać o prezent.

...Więc...



## XVIII

Kate tego wieczoru była rzeczywiście sama w domu. Calvert nie przesadził ani odrobiny. Raczej jeszcze nie dosolił. Bo nawet kucharka zamiast tkwić w kuchni ugrzęzła gdzieś w okolicy baraku kowbojów. Pani, choć dawno już przekroczyła okres pierwszej wiosny życia, wciąż jeszcze nie chciała przywyknąć do kategorii niewiast statecznych. Zresztą wyglądała jeszcze całkiem do rzeczy. Poza tym rzędy w kuchni miały też pewne znaczenie. Całkiem nawet niepoślednie. Szczególnie dla parobków. Dodatkowy kotlet nigdy jeszcze nie zaszkodził człowiekowi o jako takim apetycie. Dlaczegoż więc nie pośmiać się z missis Ayrton w cieniach wieczornego zmroku? Albo nawet i poplirtować troszeczkę, jeżeli już tak się złożyło? Łączenie przyjemnego z pożytecznym miało posmak zasady o podłożu głębokiej filozofii życiowej. A kotlety missis Ayrton miały posmak lepszy od wszelkich filozofii.

Kate nie wiedziała o spacerze kucharki. Ale i bez tego czuła się dostatecznie samotna. Dotychczas kipiący życiem dom świecił od południa pustką. Ojciec lubił otaczać się ludźmi. Toteż stale jakiś gość przesiadywał w jego gabinecie. Albo nawet kilku naraz. Poza tym przyzwyczaiła się do stałej bytności Prissy. Dziewczyna wprowadziła ją niekiedy swoją gadatliwością, na ogół jednak właśnie ta gadatliwość pokojówki pomagała rozproszyć pewne myśli tkwiące w mózgu jak natrętny cień.

Już o zmierzchu zapaliła wszystkie lampy w pokoju. Nie, nie bała się oczywiście... Nie było powodu do najmniejszych obaw. Wystarczyło nacisnąć biały krążek dzwonka, by ściągnąć na odsiecz missis Ayrton, albo krzyknąć, by dom zaroił się od parobków... Pomimo tej świadomości czuła się jakoś niepewnie. Była wyraźnie zdenerwowana. Dotychczas nerwy tylko w wyjątkowych wypadkach oznajmiały o swym istnieniu w organizmie miss Kate Blythe. Może przyczyna tkwiła w nagłym przejściu od gwaru do ciszy?

Serce biło niespokojnie. Narastało jakby przeczucie jakiegoś nadciągającego nieszczęścia. Nie mogła mu się oprzeć. A może stan jej spowodował nadmiar elektryczności w powietrzu? Od przeszło godziny, grzmi gdzieś na zachodzie i błyska sinawym odbłaskiem. Burza jednak była gdzieś daleko.

Bezczelowe krążenie po pokoju nie miało sensu. Książkę odłożyła po krótkiej chwili ze zniecierpliwieniem. Bzdury i tyle. Wreszcie sięgnęła po pracowitą robótkę. Serwetka na imieniny tatusia. Miała być wprowadzie na zeszłe Boże Narodzenie, coś jednak wtedy stanęło na przeszkodzie. Wypadało wykończyć. Zajął ręce. Umysłu jednak niestety zająć nie potrafiła. Pod czarną strzechą jedwabistych włosów kotłowało się znów męczące rojowisko myśli.

Sytuacja ostatnio nie należała do najprostszych. Z dnia na dzień węzeł zdarzeń zacieśniał się w coraz bardziej zawile sploty. Macpherson i groźba szantażu... Ojciec... Głośny skandal i jego kandydatura w bliskich wyborach... Małżeństwo z aferzystą...

Ciężar rozpaczliwych, napłątanych przez zły los komplikacji, dręczył serce i sumienie Kate. Co robić?... Gdzie szukać pomocy czy rady? Kamieniem ciążyła jej bezradność i samotność. A do tego, taki zdawałoby się nic nie znaczący fakt, że gdzieś ktoś posiada niesforną czupryną czarnego koloru i przemiły uśmiech jeszcze bardziej gmatwał i bez tego aż nadto skomplikowaną sytuację.

Drgnęła nagle, wyrwana z zadumy; czyjeś szybkie kroki na ścieżce. Cichy brzęk ostróg. Mężczyzna. Obcy. A może...?

Stukanie do drzwi odbiło się w jej duszy złowieszczym echem. Nie potrafiłaby wytłumaczyć tego uczucia. Było jednak tak silne, że odruchowo spojrzała na ścianę, gdzie zazwyczaj wisiał w otwartej pochwie wierny rewolwer kaliber 32.

Zanim zdołała wykonać jakikolwiek ruch, drzwi otworzyły się cicho i na progu wyrosła sylwetka w niepokalanie zaprasowanym stroju jeździeckim...Macpherson!

– Pozwolisz – wytworny ukłon. Bezszelestnie wszedł do pokoju. – Okropnie stęskniłem się za tobą, moja maleńka – głos jego brzmiał słodko jak miód. Wyciągnął obie ręce ku Kate, jakby oczekując, że wpadnie mu w objęcia.

Kate trwała w bezruchu. Palce jej kurczowo zwarły się na krawędzi stołu. Policzki z wolna spływały coraz silniejszą bledością. Zrobił zrozpaczoną miną.

– Jak to? Nie przywitasz się nawet ze mną?... Kate przełknęła ślinę, napływającą do gardła,

– Po co pan tu przyszedł? – zapytała matowym głosem.

– Jak to po co? – podniósł ręce ku górze, jakby wzywając niebo na świadka krzywdy, jakiej doznawał.

– Czyż możesz pytać? Żebyś wiedziała, ile przeszedłem w czasie twojej choroby. Piekło! O najgorsze, że nawet nie mogłem cię przez ten czas odwiedzić... O!... – wytrzymał efektowną pauzę, usiłując bezskutecznie ułoić jej uciekające spojrzenia – gdybyś wiedziała – powtórzył, opadając niby bezwiednym, a w rzeczywistości wystudiowanym ruchem na krzesło.

Zapadło milczenie. Kate skierowała oczy w mrok, zalegający za szybami. Macpherson sięgnął po papierośnicę. Pomimo całego opanowania był zdenerwowany. Dziś musi rozegrać decydującą grę.

– Czy...pozwolisz zapalić? Nie odpowiedziała.

Zapalił.

– Niewymownie mnie ucieszyło, że wszystko poszło dobrze. Teraz już jesteś zupełnie zdrowa? – czekał dłuższą chwilę na odpowiedź. Gdy zaś nie następowała, ciągnął dalej. – Musimy pomyśleć o naszej wspólnej przyszłości. I to jak najprędzej. Nie zniosę dłużej mąk tej nieludzkiej rozłąki. Smażę się z tęsknoty jak potępiony na piekielnym ogniu. Trzeba ustalić datę ślubu. Jeżeli twój ojciec stawiałby jakieś przeszkody, porwę cię i weźmiemy ślub w Aknor, albo gdzie indziej. Mam dużo znajomych, którzy...

– Nie wyjdę za pana – przerwała mu nagle. Udał przeogromne zdumienie.

– Co? – spojrzał na nią z mistrzowsko robionym zaskoczeniem. – Ależ kochanie, jak możesz nawet mówić w ten sposób. Rozumiem, że przykro brać ślub bez błogosławieństwa ojca. Ale gdy będzie już po wszystkim, na pewno nam przebaczy, pobłogosławi i przywróci do łask. Zresztą nie pozostanie mu nic innego.

– Nie wyjdę za pana – powtórzyła jak echo.

Macpherson wypuścił ustami dym, sformowany misternie w cały szereg kółek. Ta umiejętność odgrywała całkiem niepoślednią rolę w powodzeniach, jakie zdobywał w wielkoświatowych salonach.

– Wyjdiesz za mnie – powiedział tonem łagodnej perswazji. Był z góry przygotowany na jej opór.

– Nie – głos Kate brzmiał głucho – Jeżeli za papiery z biurka ojca, wyda mi pan protokół sporządzony przez policję w Charleston i obieca nie nagabywać mnie więcej, postaram się je wydobyć...

Machnął lekceważąco ręką.

– Co mi tam papiery. O ciebie mi chodzi, Kate... Tylko o ciebie – patrzył jej wprost w oczy. Tym razem nie uciekła spojrzeniem.

– W takim razie... – rozłożyła ruchem pełnym bezradności ręce – nie mogę nic poradzić.

– Możesz...

– Nie!

Zerwał się z krzesła, chcąc ku niej podbiec. Powstrzymała go ruchem ręki. – Jeżeli pan się zbliży, zawołam na służbę – zagroziła.

Przystanął niezdecydowanie. Stanowcza mina dziewczyny wskazywała, że gotowa jest to uczynić. Lepiej nie doprowadzić do ostateczności.

– Dobrze – usiadł z powrotem – możemy rozmawiać na odległość. Więc słuchaj – oczy jego błysnęły.

– Kocham cię tak bardzo, że nie cofnę się przed niczym, aby cię zdobyć. Przed niczym! – podkreślił. – Rozumiesz?

– Tak – wzruszyła ramionami – zdołałam poznać pana dość dobrze, aby rozumieć. Pogarda, dźwięcząca w jej głosie, nie uczyniła na nim najmniejszego wrażenia. Życie przyzwyczało go do niejednego.

– Otóż... Dość mam już tych wszystkich kaprysów i odwlekań. Jeżeli w ciągu trzech dni nie będziemy po ślubie, zniszczę twego ojca! Ty już wiesz, w jaki sposób.

Wyprostowała się nagle. Z oczu jej strzelały ognie. W niczym w tej chwili nie przypominała sylwetki zastraszonego do ostatnich granic dziewczątka, z jakim miał do czynienia w czasie poprzedniej wizyty.

– W takim razie niech pan mnie teraz z kolei posłucha, panie Robercie Macpherson. Jeżeli pan to uczyni, to ja... – przerwała, by nabrać oddechu. – To – wargi jego wykrzywił grymas ironicznego uśmiechu. – To cóż wtedy zrobisz, biedactwo?

– Wtedy zabiję pana – głos jej zabrzmiał dobitnie.

– O... – spojrzał w jej oczy i nagle uśmiech ironii znikł z błędnych warg. Wyczytał w nich bowiem znacznie więcej, niżby tego pragnął. A mister Macpherson nie czuł w sobie najmniejszego pociągu do bohaterskiej śmierci.

– Cóż... – próbował zamaskować zmieszanie marną imitacją uśmiechu.

– Jesteś dzisiaj specjalnie rozdrażniona. Przyjdę jutro... Wtedy może...

– Ani jutro, ani nigdy...

Sięgnął po kapelusz. Taka histeryczka może naprawdę człowiekowi w łeb palnąć. Musiał rozważyć w spokoju ducha, jaki nakreślić plan postępowania wobec zmienionej sytuacji.

– W takim razie do jutra. – Idąc ku drzwiom zerknął przez ramię, czy nie dojrzy w jej rękach rewolweru.

Światło błyskawicy wyrwało z czarnego mroku nocy jakiś cień, przesuający się pod oknem. Przystanął.

...Pułapka, czy kie lichy? Kate nic nie zauważyła.

– Czy... Czy nie mógłbym wyjść innymi drzwiami? Spojrzała na niego pytająco.

– No... Nie chciałbym, by ktoś widział... przed czasem. Wywołałoby to prawdopodobnie niepotrzebne komentarze, a...

Bez słowa wskazała mu kuchenne wejście. Zawahał się znowu.

– A... czy tam nie natknę się na nikogo?

– O tej porze nie powinien pan nikogo spotkać – powiedziała cicho. – Baraki kowbojów są dosyć daleko. Z ganku pójdzie pan na lewo, ścieżka prowadzi do samej furtki.

– Do widzenia, malutka. Jutro porozmawiamy...

Trzasnęły drzwi.

– Co robić? Boże, co robić? – rozejrzała się bezradnie wokoło, jakby szukając jakiegoś wyjścia z sytuacji.

Wzrok jej utkwiał na wzorzystych barwach wiszącego na ścianie kilimka. Na widok otwartej pochwy rewolweru wyraz jej twarzy uległ zmianie. Podbiegła ku ścianie...

## XIX

John nie miał żadnych planów. Jakież zresztą mógł mieć plany? Zdawał sobie doskonale sprawę ze stanu rzeczy... Córka szeryfa i szuler, oszukujący ludzi po przydrożnych tawernach! A na dobitkę niedoszły morderca jej ojca. Co się tu zastanawiać? Wszystko jasne jak słońce. I łatwiej mógłby zamarzyć o zdobyciu najdalszej gwiazdy, niż... Toteż nie marzył... Właściwie nie chciał marzyć.

Ale żyło w nim wspomnienie tego, co zaszło nad brzegiem wzburzonej Conchos... I tych kilku godzin, spędzonych w chacie starego Mansona. Każda chwila wrosła w duszę niezatartymi barwami utrwalonego na wieki obrazu. Rozmawiała z nim przecież. Darzyła go uśmiechem. Czuł jeszcze uścisk jej dłoni na swym ramieniu.

Nic dziwnego, że coś ciągnęło go jak magnes. Nie, nie miał żadnej nadziei. Nie zamierzał zamienić z nią nawet słowa. Ani przypomnieć czymkolwiek o swym istnieniu. Ale ujrzeć ją z daleka, sam niewidoczny w mroku nocy? Czy to naprawdę aż tak wielki grzech?

Przywarłszy szczelnie do chropowatego muru, chłonał oczyma cudowną wizję na ekranie oświetlonych szyb.

Jest tuż... Gdyby wyciągnął rękę, mógłby ją dotknąć. A przecież dzieli go od niej tak niezmiernie przestrzenie, jakby znajdowała się na drugim krańcu kuli ziemskiej.

...Czyta. O... odłożyła książkę. Rozmyśla nad czymś. Ściągnięte brwi wskazują, że jest czymś zafrasowana. Biedactwo...

Mój Boże! Serce by sobie wydarł z piersi, by jej oszczędzić wszelkich zmartwień... Teraz wzięła do rąk jakąś serwetkę. Kto jest tym szczęśliwcem, dla którego pracują jej smukłe paluszki.

...Brat? A może narzeczonego? Cóż... – stłumił westchnienie.

Znieruchomiał. Ścieżką sunął niewyraźny cień przy dyskretnym akompaniamencie brzęku ostróg. Mężczyzna.

Wchodzi. Widać go teraz zupełnie wyraźnie. Piękny mężczyzna. Wysoki. Postawny. Elegancki. Jakby go ktoś przed chwilą wyjął z pudełka. Twarz tętniąca uwodzicielskim czarem. Dziewczeta przepadają za takimi. Pewno ukochany...

Palce mimowolnym ruchem spoczęły na rękojeści rewolweru. Opamiętał się. Zaciął wargi aż do krwi. Nawet nie poczuł bólu.

Dlaczego by nie mogła mieć ukochanego? Coś tak marnego jak przygodnie spotkany szulerzyna nie istnieje dla niej... Na pewno nie pamięta, że go kiedykolwiek widziała.

Rozmawiają. Nie. Nie podsłuchiwał. Ale okno było niedomknięte. Każde słowo brzmiało tak wyraźnie, jakby był razem z nimi w pokoju.

Więc tak! Właśnie najdroższy. Narzeczonego. Mają się pobrać. Trzeba przyznać: piękna z nich para. Dobrali się jak w korcu maku. Idzie ku niej, by ją objąć. W porządku skoro narzeczonego.

Zamknął oczy. Bo jednak widzieć, jak tamten będzie ją całował...

...Co to? Chyba jednak nie... Bo piękniś znów siedzi na swoim miejscu. Dlaczego ona taka blada? Czyżby się pokłócili? Głupstwo. Zakochani często się sprzeczą...

Rozmowa nagle zaczęła się komplikować. Coś było niewyraźnego w słowach, jakimi się przerzucali. Z początku nic nie mógł zrozumieć. O co im chodzi? Gdy wreszcie zrozumiał, włosy stanęły mu na głowie. Skurcz wściekłości zwarł szczęki. Przed oczyma migotały ostre skry. Prawa dłoń znowu opadła na rewolwer i już na nim pozostała.

...Ach, więc to tak? Szantaż! Wymuszenie na kobiecie...

Czarny John miał wiele niezbyt pięknych sprawek na sumieniu. Ale wymuszenie? To już coś tak potwornie wstrętnego, jak oślizłe cielsko żmii, ukryte w trawie. Po ciele przeszedł dreszcz obrzydzenia. Ten piękniś należy do takich typów? Już on z nim... Ukręcenie łba tryskającemu jadowitą śliną gadowi jest przecież zbożnym uczynkiem. Szczególnie, gdy ten gad chce ukąsić bezbronnie dziewczę.

...Boże, przecież on ją maltretuje groźbami. Jak śmie?!

Wczepił palce w poplątane pnącze, pokrywające mur, by powstrzymać przemożną chęć wskoczenia do środka.

...Jeden krok i... skończyć z tym łotrem. Nie – nie tu. Ona nie powinna patrzeć na to. I mogłaby mieć przykrości.

Później, gdy wyjdzie na drogę... Gdzieś pod miastem. Ostatecznie, jeżeli pożyje parę minut dłużej...

Dźwięczny głos Kate – „Zabiję pana!”

Nie widział jej twarzy. Stała tyłem do okna. Ale te nabrzmiałe nutami rozpaczliwej decyzji słowa...

...Do czego ją musiał doprowadzić, jeżeli aż tak?

– Biedactwo! Nie będziesz potrzebować kalać swych rąk padliną. I już nigdy więcej nie ujrzysz na oczy tego nikczemnika.

Wyciągnął na wpół rewolwer z pochwy. Wsunął go jednak z powrotem. Jeszcze czas. Nagle się uspokoił. Każdy nerw napięty czujnie jak struna. Zimna wściekłość powoli ogarniała mózg, tłumiąc wszelkie inne myśli. Znieruchomiał... Wychodzi!... Nie. Przystanął. Spojrzał w okno. Ledwo dostrzegalne drgnienie twarzy. Czyżby zauważył? Przekłęte błyskawice! Zawraca. Idzie gdzieś w głąb mieszkania. Ach tak, pyta o inne wyjście. W porządku. Ścieżka prowadząca do furtki? Dobrze. Więc pójdzie tą samą drogą. Trzeba poczekać. Ciche trzaśnięcie drzwiami. Przywarł całym ciałem do listowia. Nie byłoby dobrze, gdyby go zauważył przed czasem. Tu nie miejsce na rozprawę.

Zerknął w kierunku okna. Pokój był pusty. Wyszła? Czyżby miała zamiar go odprowadzić?

Nagle suchy trzask bliskiego wystrzału. I bezpośrednio potem przeraźliwy krzyk ranionego

śmiertelnie człowieka.

Drgnął... Czyżby?

Gdzieś poza domem coś szurało po ziemi. Odgłos zamierającego rżenia. Potem zapadła cisza.

W uszach zabrzmiało echo wypowiedzianych przed chwilą słów:... „Zabiję pana!”

Spojrzał w okno. Właśnie wchodziła skądś, do pokoju. Biała, bez kropli krwi twarzyćka. Drżące spazmatycznie wargi. Nieruchomy wzrok zapatrzonej w jakiś niewidoczny punkt. Na jasnych pantofelkach czerwone plamy świeżej krwi. W zwisającej bezwładnie prawej ręce tkwił rewolwer kalibru 32... A strzał, który słyszał przed chwilą, pochodził z broni tego samego kalibru. Wyćwiczony słuch Czarnego Johna potrafił odróżnić po huku rodzaj i kaliber broni, nawet ze znacznie dalszej odległości.

A więc stało się. Uprzedziła go... I co teraz?

Rozmyślenia trwały tylko krótką, jak mgnienie oka, chwilę. Decyzja nasuwała się sama przez się. I tak przecież on właśnie chciał usunąć tego łotra...

Poza domem powstał jakiś ruch. Odgłos szybkich kroków. Nawoływania... Nie było czasu do stracenia.

Wielkimi krokami sunął w kierunku podwórza.

W świetle błyskawicy dojrzał znieruchomiałą na ziemi postać. Leżała w odległości zaledwie paru kroków od ostatniego stopnia kuchennego ganeczku. W tyle jaśniały prostokąty oświetlonych okien podłużnego budynku. Mignęły jakieś ruchliwe cienie. Skierował rewolwer ku górze i pociągnął parę razy za cyngiel. Na parę sekund wszystko znieruchomiało. Potem huknęło kilka pojedynczych strzałów w odpowiedzi.

W porządku, lekkim truchtem ruszył w kierunku swego konia. Zauważyli go na pewno.

Teraz zawrzało. Wrzaski. Strzały. Głucho zakłapały końskie kopyta po miękkiej ziemi.

– Czas! – wskoczył na siodło.

## XX

Znowu uciekał. I znowu stryczek dyndał w piekielnej bliskości szyi. Ale tym razem nie miał zamiaru ująć prześladowcom. Bo gdyby go nie ujęto, Mogliby zwrócić uwagę na poplamione krwią pantofelki. Na rewolwer kalibru 32. I na wiele innych rzeczy. A nie byłoby dobrze, gdyby te okoliczności zauważono. I gdyby zaczęto nad nimi rozmyślać. Nie da rady. Trzeba im podać mordercę na talerzu. Tak, by nie pozostawić czasu na wątpliwości. Uciekał na przełaj przez pastwisko. Należy zachować pozory prawdziwej ucieczki. Jeżeli się trochę potrudzą, nabiorą przekonania, że złapali właśnie tego co potrzeba. Nawet na myśl im wówczas nie przyjdzie, by szukać kogoś innego.

– Stój!

Czarny John wzruszył ramionami, popędzając konia. Niech sobie pohasają. Gruchnęło kilka strzałów. Czarny John jechał dalej, wyprostowany. W razie czego powinien im wystarczyć nawet zabity morderca. I o ileż wygodniej. Bez tych wszystkich przedwstępnych ceregieli. I bez tych późniejszych... śmierć od kuli to tak jakby się wcale nie poczuło. Strzały szły gdzieś Panu Bogu w okna. Nawet nie słyszał gwizdu pocisków. Partaczą na całego...

Znowu wrzeszczał. Że też wszystko w tych stronach muszą załatwiać z takim piekielnym hałasem.

– Ach, prawda! – Przypomniał sobie nagle: – rewolwer. Kaliber ani rusz nie da się dopasować; 44 a 32? Każdy pierwszy lepszy idiota zauważy od razu tę różnicę. I narobi bigosu. To jednak trzeba najpierw załatwić. Nie odwracając się dał poza siebie kilka strzałów. Strzelał aż do wypróżnienia bębenka. Nie celował. Ktoś jednak wrzasnął. Czyżby trafił? E, pewno krzyknął dla dodania sobie animuszu. Suche szczeknięcie oznajmiło, że sprawa załatwiona. Tak, tylko gdzie teraz wyrzucić tę maszynę. Przecież rewolwery nie rodzą się na polach jak kartofle. Ktoś mógłby znaleźć, i...

Słaby odbłask dalekiej błyskawicy oświetlił ciemną linię.

Rów. Wyglądał na irygacyjny. A więc woda. Właśnie to, czego potrzeba.

W chwili gdy kopyta konia zawisły w próżni, rzucił z zamachu rewolwer. Chlupnęło. W porządku...

Teraz naboje. Przesunął dłonią po kieszeniach. Wszystkie cztery pęczniały od paczek. Ależ się wyładował amunicją. To niepotrzebny kłopot. Rozsiewał stopniowo, rozrzucając daleko w bok paczki. Jeżeli znajdą, trudno będzie coś zahaczyć. Grunt, że rewolwer diabli wzięli. Sprawdzał dokładnie czy wszystko. A jakże! W kieszeni bryczesów znowu znalazł kilkanaście sztuk luzem. Szkoda jeszcze, że nie taszczy z sobą całej skrzynki. To od czasu tej przekłętej historii z szeryfem dba tak o zapasy ładunków.

– Przekłętej? – zamyślił się. E, nie tak znowu przekłętej! Gdyby nie ona, nie poznałby Kate.



A warto było poznać, choć nigdy jej w życiu więcej nie zobaczy. I w ogóle niewiele już zostało okazji do zobaczenia czegokolwiek. Przynajmniej w życiu doczesnym. Co tam, raz kozie śmierć!

Przed oczami mignęła wizja dziewczęcej twarzyczki. Boże, jakie miała przerażone oczęta, gdy szła z tym rewolwerem. Co zresztą dziwnego? Czy to robota dla dziewczyny? Szczególnie dla takiej jak ona?

No, czego tamci się guzdrzą? Wszystko już załatwione. Mogą łapać. Czy czekają, aż upadnie na kolana i będzie błagał, by go raczyli wreszcie związać?

Niedolegi. Pchły im łapać we własnych koszulach, a nie morderców.

Dziwne są losy ludzkie.

Teraz, gdy pragnął być złapany, miał szansę ucieczki. I to poważne szansę. Pod siodłem wprawdzie tkwiła chabeta, jakiej świat nie widział, ale mrok gęstniał z każdą chwilą. Burza przeszła bokiem. Dalekie odbłaski nie dawały niemal światła...

Rzucił luźno cugle. Ceremonia stanowczo trwa zbyt długo.

– Stój, taki i owaki!!! Tym razem kula gwizdnęła tuż koło ucha. Właśnie tego, poranionego tamtym razem.

Koń potknął się o jakiś niewidoczny w ciemnościach korzeń i runął z rozmachu na ziemię. John ledwo zdążył wyrzucić stopy ze strzemion. Ale i tak zarył nosem w ostrą trawę. Zaklął brzydko.

Gdy powstał, otoczyły go ze wszystkich stron wrzeszczące postacie. Błysnęły ostre światła latarek elektrycznych.

– Mamy cię wreszcie, ty...

Kowboje z farmy szeryfa Blythe'a nie krępowali się w doborze najbardziej niecenzuralnych wyrażen.

John zachował milczenie. Niech sobie strzępią języki, jeżeli im to sprawia przyjemność.

Zapłonęło krwawo światło smolnej pochodni. Coraz więcej mężczyzn zeskakiwało z koni, podchodząc bliżej.

Nagle do stojącego nieruchomo Johna przyskoczył jakiś drab z podniesionymi pięściami.

– Ja cię nauczę strzelać do porządnych ludzi... Tak mi rozorałeś biodro, że chyba przez tydzień nie będę mógł zacisnąć pasa. Ja ci...

John niespodziewanie ożył. Był gotów ponieść śmierć i to w jej najbardziej niepociągającej odmianie, to jednak nie powód, by pozwalać komuś machać pięścią koło swego nosa.

– Odsuń się – powiedział obojętnie.

Tamten wytrzeszczył oczy.

– Co? Ty mi jeszcze... – zamachnął się ramieniem. Uderzyć jednak nie zdążył. John był o wiele szybszy.

Pięść jego wylądowała z cudowną precyzją na samym środku podbródka napastnika. Tamten

tylko stęknął. Wielkie ciało miękko klapnęło na trawę. W powietrzu mignęła jasna plama karabinowej kolby...

Pod czaszką Czarnego Johna nagle rozdzwoniły się wszystkie dzwony świata. Przed oczyma zawirowały w szaleńczym płasie tysiące ognistych rozprysków. Zapadł w ciemność i ciszę...

Mister Spencer pędził na złamanie karku. Przez całą drogę nie przestawał przeklinać na czym świat stoi. Trudno zresztą było mu mieć to za złe. Mister Spencer nie należał do młodzieńców, którym wyrwanie w nocy z łóżka i konieczność odbycia kilkunastomilowej przestrzeni nie robi większej różnicy. A właśnie dochodziła jedenasta czy też inna nieprzyzwoicie późna godzina... gdy ostry dzwonek telefonu przerwał bezpowrotnie kojące objęcia snu. Telefonowano z farmy pana Blythe'a. W pierwszej chwili nie zrozumiał, o co chodzi. Był senny i wściekły. Kazał sobie powtórzyć wszystko od początku. Słowo po słowie. A potem przez dłuższy czas patrzył bezradnie na zamkniętą już słuchawkę i na porzucone łóżko.

– Diabli nadali – ziewnął tak gwałtownie, że o mało szczęki nie wypadły z zawiasów. Łóżko ciągnęło z powrotem przemożną siłą magnesu.

Ledwo zdążył przyłożyć głowę do poduszki, gdy zaczął hałasować ten przeklęty telefon. Człowiek cały dzień tyrał na koniu... Jeździł aż do Rockford w sprawie sprzedaży bydła. Czterdzieści mil jak obszył. To nie w kij dmuchał, jak na jego wiek. Przybył z powrotem dość późnym wieczorem... A właściwie co ma poradzić, że kogoś zamordowali? Wskrzesi jegomościa, czy jak?

Do łóżka nie wrócił. Zwyciężyło poczucie rodzinnych obowiązków. Nie. Nie może zostawić tej biedaczki Kate samej z trupem zamordowanego. Tyle ostatnio przeszła. Jeszcze by się z wrażenia znowu rozchorowała.

Wytrząsał więc teraz stare kości, jakby akurat nie było nic innego do roboty po nocy.

Do pokoju Kate wszedł w chwili, gdy jakiś podniecony kowboj zdawał relację z przebiegu pogoni.

– Gnał jak diabeł!... Przez cały czas odgryzał się kulami, aż warczało w powietrzu. I proszę nie myśleć, że strzelał w powietrze. Narobiłby jatek gdyby nie nasza zręczność. A i tak postrzelił paskudnie Jaysona...

– Ciężko? – zapytała Kate.

– No... – zawahał się. – Tak sobie. Ale gdyśmy go już osaczyli i Jayson podszedł do niego, to tak go zdzielił w szczękę, że chłop na przeszło kwadrans zapomniał o bożym świecie. Zębasta sztuka. Nie mogliśmy sobie dać z nim rady. Dopiero któryś uspokoił opryszka kolbę. Wie panienska, to jest...

Spencer podniósł rozkazująco rękę.

– Stop! – przeciął stanowczym głosem opowiadanie. Błada twarz siostrzenicy miała swoistą wymowę. Naprawdę gotowa się rozchorować z tego całego bigosu. – Ani słowa więcej o tych

wszystkich okropnościach! Pakuj dziecko swoje łaszki. Zabieram cię do ciotki Pitty. I jakem Spencer, przez cały czas pobytu w naszym domu nie usłyszysz ani słowa z tego rodzaju historii.

Musisz odpocząć.

To była prawda. Kate potrzebowała odpoczynku. Gdyby jednak pozwolił krasomówczemu kowbojowi wymienić jedno jedyne słowo, losy kilku ludzi potoczyłyby się całkiem odmiennymi drogami.

## XXI

Sędzia Herbert Lee Karol kilku imion Grant miał ambicję robienia z każdej sprawy tasiemcowego procesu. Nie wywierało na nim najmniejszego wrażenia niezadowolenie krewkiego audytorium. Śledztwo to śledztwo, a nie jakieś tam łapu capu. Nawet w tych wypadkach, gdy było to wstępne przesłuchanie, nie darował swym delikwentom ani okruszka skomplikowanej procedury. Gdy dorwał się do sprawy Czarnego Johna, puścił maszynę na całego. Bagatela! Morderstwo z premedytacją i innymi przynależnościami. Nie codziennie przecież zdarza się w tej zapadłej dziurze taka okazja. Chłopcy kłęli, opluwając dokładnie podłogę w sali sądowej. Na co te wszystkie ceregiele? Skoro jegomość ma odwagę przyznać się do popełnienia morderstwa?

Ale sędzia Grant był głuchy na wszystkie perswazje.

– Poprowadzimy sprawę na ostatni guzik. Niech zobaczą gdzie należy, co jesteśmy warci.

I ciągnął sprawę jak chory ząb.

Zresztą zaraz na wstępie wynikły trudności formalne.

Morderca kategorycznie odmówił podania swego nazwiska.

– Zabiłem gościa, działając pod przydomkiem Czarnego Johna i pod tą samą etykietą możecie mnie powiesić – strzyknął ślinę przez zęby.

Nie pomogły żadne nalegania ani groźby. Te ostatnie wyśmiał z miejsca.

– O, nie bądźcie tacy surowi, jeśli łaska, szanowny sędzio. Bo skoro i tak mnie powieszają, czy coś w tym rodzaju, to co możecie jeszcze dołożyć.

Sędzia był bezradny. Lubił w każdej sprawie wszystko dopasować na swoje miejsce. A tu co? Tyle pięknie wydrukowanych rubryk: Imię... nazwisko... data urodzenia... miejsce urodzenia... i tak dalej. Piętnaście pozycji jak obszył. I jakim cudem na to wszystko mają wystarczyć dwa słowa „Czarny John”? I jeszcze to „Czarny”? W jaką szufladkę wsadzić. Ani nazwisko ani imię. Czort wie, co to takiego. Kpiny z wymiaru sprawiedliwości i tyle. Więc próbował maglować podsądnego na ten temat. Ale John miał taką minę, jakby go opanowała senność: zamiast odpowiadać ziewał na całe gardło. Większa część audytorium przyznawała Johnowi zupełną rację pod tym względem. Po co niby paskudzić nazwisko, jeżeli można tego uniknąć? W końcu sędzia zmęczył się i dał spokój. Przystąpił do dalszych punktów.

– Czy przyznajecie się do tego, że... – wygłoszenie pytania zajęło co najmniej dziesięć minut.

Zanim skończył, John zdążył już zapomnieć co było na początku. Zresztą w głowie trochę mu jeszcze szumiało po pamiętnym zetknięciu czaszki z kolbą karabinową. Ten, co wtedy walnął, musiał widocznie wziąć porządny rozmach.

– No? – spojrzał na niego sędzia.

John wzruszył ramionami.

– Czy nie moglibyście powtórzyć pytania od początku? Sędzia znowu zaczął odczytywać zawiłe zdania.

W tej chwili ten i ów ze słuchaczy zaprzysiął sobie solennie w duszy, że przy najbliższych wyborach, żeby tam nie wiem co, nie będzie głosować na tego ciamajdę. Dobrze choć, że kadencja sędziego niedługo dobiegała kresu.

John znowu przerwał.

– Przepraszam, czy nie moglibyście zapytać jakoś po ludzku?

Sędzia wytrzeszczył oczy.

– Po ludzku? – powtórzył z oburzeniem.

– No tak. Przecież tego, co tam gędzicie, w żaden sposób zrozumieć nie można.

Granta aż zatkało. Zresztą nie po raz pierwszy w ciągu swej kariery napotkał na takie wystąpienia. Ale wiedział jak należy urzędować, by było i wszystko w porządku. I będzie urzędował, choćby cały świat miał runąć. Wetknął nos w rozłożone akta i ślimaczył dalej.

John ziewnął przeciągle.

– Jeżeli chodzi o zastrzelenie tego, jak mu tam?... No, Macphersona. To owszem, wyrządziłem mu ostatnią przysługę.

Sędzia pokiwał głową. – Aha. Dobrze – i podyktował odpowiedź protokolantowi. Zużył jednak na to co najmniej dziesięć razy więcej słów, niż zawierała w rzeczywistości.

– A dlaczegoście go zamordowali?

John pomyślał przez chwilę.

– Dlaczego?... Pshaw... No, ktoś przecie musiał to w końcu zrobić. Całkiem marny typ.

– Więc znaliście go przedtem?

John strzepnął palcami.

– Jakby to powiedzieć?... owszem... choć, żeby tak znów bardzo dawno, to nie powiem.

– Tak. – sędzia bębnił palcami po blacie pokrytego czerwonym suknem stołu.

– Twierdzicie zatem, że zastrzeliliście go, ponieważ był marnym typem?

– Uhum... Coś w tym rodzaju.

– A... dlaczegoście go obrabowali? – zapytał zniechęcony.

Na sali zaszemrano.

– Co? – zdumiał się John – obrabowałem? – na to pytanie nie był przygotowany. Nagle przypomniał sobie dokumenty, o których była mowa w pokoju Kate. Prawdopodobnie zabrała je wtedy. – No, cóż... – uśmiechnął się obojętnie. – Obrabowałem to obrabowałem. Jedno przy drugim.

Potem z kolei wylazła kwestia rewolweru. Sędzia wszystko chciał wiedzieć dokładnie. Gdzie rewolwer. Dlaczego obwiniony go zgubił... I tak dalej, w tym samym rodzaju...

Przesłuchanie trwało do późnego wieczoru. John w końcu ziewał niemal bez przerwy.

Większa część audytorium zresztą dzielnie mu w tym sekundowała.

Na sali zaczęto wykrzykiwać nieprzyjemne uwagi pod adresem sędziego. Ludzie przyszli w oczekiwaniu Bóg wie jakiej sensacji. Stracili kupę czasu. A tu kilka godzin gędzenia i tyle.

Było już zupełnie ciemno, gdy sędzia podyktował ostatnie słowo do protokołu. I żeby choć skończył przesłuchanie! Gdzie tam. Ani się na to nie zanosilo.

– Odraczam przesłuchanie do poniedziałku – oznajmił jak najbardziej urzędowym głosem. I przy akompaniamencie głośnych protestów sali kazał więźnia odprowadzić z powrotem do celi.

Cela Johna miała dokładnie cztery kroki wzdłuż i trzy wszerz. John przemierzał ją we wszystkich kierunkach, spacerując całymi godzinami tam i z powrotem.

Sprawa zaczynała się przewlekać ponad oczekiwanie. Przesłuchanie u szeryfa. Przesłuchanie u sędziego, a potem...

Diabli wiedzą, kiedy się to wszystko skończy. Najgorsze, że nie chcą przynieść papierosów.

Niespodziewanie wyszperał w którejś kieszeni zmięty banknot pięciodolarowy. Był tak wciśnięty za podszewkę, że uszedł uwadze rewidenta. Przywołał dozorcę wyluszczając prośbę. Dozorca z początku udawał zażenowanego.

– Przepisy nie pozwalają...– Później jednak, gdy obliczył, że interes nie należy do najgorszych, przyniósł kilka paczek najlichszego gatunku. Przy tej transakcji więcej niż połowa wręczonej przez Johna sumy powędrowała do jego kieszeni.

John nie protestował. Papierosów było dużo. I grunt: mocne jak wszyscy diabli. Wypalił kilka, jeden po drugim, potem wyciągnął się na twardej pryczy.

– Hm – westchnął z udreką, podkładając splecione palce pod głowę, zamiast poduszki – znowu męka bezsennej nocy.

Po kwadransie chrapał na całą celę. Rano, gdy chciano go budzić, warknął tak groźnie, że dozorca wolał nie ryzykować... Ostatecznie nikt nie poniesie szkody, jeżeli ten czarnowłosy morderca prześpi się dłużej. Poza tym nie był pewien, ile jeszcze pięciodolarówek zdołał więzień przemycić, więc nie chciał sobie psuć z nim stosunków.

Czarny John spał do samego wieczora. Gdy przyniesiono kolację otworzył oczy, spojrzął nieprzytomnie na obdrapaną miskę, odwrócił się do ściany i momentalnie zasnął z powrotem.

## XXII

Nie wszyscy jednak poświęcili niedzielny dzień odpoczynkowi. Na przykład mister Blewett, zwany popularnie „Długim Blewettem”, spędził go nader pracowicie. Na pierwszą wieść o aresztowaniu Czarnego Johna pod zarzutem morderstwa ściągnął pospiesznie do miasta, jak sęp wietrzący żer.

No, tym razem koniec z opryskiem – rozmyślał triumfująco. – Zawisnie jak amen w pacierzu. Nie będzie mi już stawał na drodze. – Pragnął nasycić oczy słodkim widokiem egzekucji znenawidzonego wroga. I dlatego pędził ile sił w końskich nogach.

Na przesłuchanie już nie zdążył. Ale powtórzono mu dokładnie jego przebieg. Miał tu i ówdzie swoich ludzi.

Sobotni wieczór spędził na zestawianiu bilansu.

– To, że się przyznał do morderstwa, bardzo pięknie. Rabunkowe morderstwo – Wspaniała rzecz! Z której strony nie spojrzysz: stryczek. Ale dlaczego ten cały Grant tak wikła całkiem jasną sprawę? A może go ktoś z przyjaciół mordercy grubo posmarował? Wtedy oczywiście rzecz wyglądałaby zupełnie inaczej. Na zachodzie zdarzały się rozmaite cuda. Ucieczka w czasie przewożenia do sądu i tym podobne kombinacje. Sam przecież kiedyś maczał palce w takiej hecy i wiedział, czym to pachnie. Tak czy inaczej, nic z tego. Czarny John zawisnie. Inaczej on sam nie jest Blewettem tylko niemowłkiem w poduszce.

Bo Długi Blewett umiał organizować rozmaite historie. Nie tylko uwalnianie więźniów. Wiedział także, jak wziąć się do rzeczy, by wywołać wręcz odmienny skutek.

W niedzielę już od samego rana zaprosił do siebie pewnych ludzi. Znał się z nimi od dawna. Oczywiście dotyczyło to wyłącznie cudzych pieców. Stawiał morze wódki. Gadali bardzo długo. Blewett nie lubił działać na oślep. I nie chciał, by ktoś z jego pomocników działał w ten sposób. Ustalili dokładnie co i jak. Porozdzielali role. Na odchodnym Blewett wsunął każdemu do łapy parę papierków. Rozumiał, że dla czczej przyjaźni nikt nie będzie marnował niedzielnych rozkoszy. Sumy naturalnie nie były równe. Każdemu według jego znaczenia i według roli, jaką dla powodzenia przedsięwzięcia mógł odegrać.

Kosztowało wszystko razem ładny grosz. Ale w tym wypadku Blewett nie myślał skąpić... Zresztą, jeden as wyciągnięty w porę z talii powetuje stratę. A wspomnienie ciągów, jakie dostał od Czarnego Johna, jeszcze dotychczas wprawiało jego nerwy w stan zupełnego rozprężenia.

Pomocnicy rozbiegli się chyżo po mieście. Nie było knajpy, w której nie urzędowałby choć jeden z nich. Nawiazanie rozmowy na temat Czarnego Johna nie należało do specjalnie trudnych zadań. Sprawa była niewątpliwie bardzo sensacyjna. I emocjonowała umysły obywateli miasta. Wszyscy oczywiście rozumieli, że morderca powinien być powieszony... No tak, postępowanie sędziego Granta wyglądało raczej trochę dziwnie. Po kilku kieliszkach zaczęło na niektórych

robić wrażenie wprost zbrodni. Łatwo było rozbudzić drzemiące w ludziach krwiożercze instynkty. Szczególnie przy wódce.

W godzinach wieczornych przy stolikach zajętych przez agentów Blewetta, było tłoczno. Podchmieleni ludzie szeptali coś tajemniczo, nachylając ku sobie głowy.

Sam Blewett wziął na siebie zadanie wymagające pewnego sprytu. Niby przypadkiem ponawiały kontakty z tymi, którzy mieli coś wspólnego z Macphersonem. Było ich w mieście sporo. Macpherson zdążył sobie stworzyć dość szerokie koło stosunków. I to wśród ludzi należących do najrozmaitszych sfer społecznych. Blewett miał ich wszystkich wypisanych na karteczce, zestawionej przez pomocników. Karteczka kosztowała sporą sumkę. Blewett przedstawiał się jako najszczerzy przyjaciel zamordowanego. Fakt, że go nigdy nie widział nawet na oczy, nie kępował go ani trochę. Zebrana garść informacji o Macphersonie wystarczyła do żonglowania tą „przyjaźnią” na wszystkie strony.

– Jakież to porządny człowiek, ten Macpherson!... Ile dobrego zdziałałby dla miasta, gdyby żył dłużej...

Na ogół słowa Blewetta trafiały na podatny grunt. Macpherson umiał się przedstawić z dobrej strony, gdy to leżało w jego planach. Napomynał tu i ówdzie o zamierzonych operacjach finansowych, mających ściągnąć deszcz złota na spragnionych obywateli miasta. A przede wszystkim nie skąpił poczęstunku tam, gdzie to uznał za potrzebne, korzystając z kredytu w restauracji hotelu „Złota Brama”. Toteż na ogół dosyć go lubiano. Gdy teraz przyszedł przyjaciel i rozdierając szaty podniósł cnoty zabitego pod niebiosa, nie miano serca oponować.

– Rzeczywiście – kiwano głowami. – Porządny był człowiek, może naprawdę podniósłby stan naszych finansów...

Blewett kuł żelazo na gorąco. Niby mimochodem kazał przynosić parę szklaneczek. Marka zamawianego trunku zależała całkowicie od kondycji osoby, z którą w danej chwili rozmawiał. Zawsze łatwiej gadać, gdy człowiekowi nie zasycha w gardle.

A potem zaczynał z innej beczki.

– Jeżeli nie potrafimy likwidować morderców, dojdzie w końcu do tego, że człowiek, posiadający w portfelu zbędnego dolara, nie będzie śmiało po zachodzie słońca wytknąć nosa poza próg domu. A gdy się rozzuchwałą bezkarnością, zaczną odwiedzać nas również i w domach...

– Tak – znowu kiwano potakująco głowami, sącąc stawiane whisky. – To prawda. Trzeba im pokazać, że nie żyjemy u licha na pustyni!

Ostatni zwłaszcza argument przemawiał słuchaczom do przekonania. Może bardziej, niż wzywaniem pomsty za morderstwo. Bo Macpherson przeważnie nawiązywał kontakty z ludźmi używającymi do właściwego celu swych portfeli. To przecież było ściśle związane z jego planami. A posiadacze pełnych portfeli bywają zazwyczaj bezmiernie czuli na punkcie ich bezpieczeństwa. Toteż po każdej takiej rozmowie w kółku miejscowej finansjery narastało



wzburzenie.

– Trzeba jednak coś zaradzić, do licha!

Ten i ów szczerze zapinał kieszenie, zerkając chyłkiem, czy zza najbliższego węgła nie wyskoczy nagle uzbrojony w rewolwer bandyta.

Blewett mógł być dumny ze swojej roboty. Już w niedzielę zaczęła wydawać owoce. Na ulicach zbierały się grupki dyskutujące podniesionymi głosami. Ktoś nawet rzucił kamieniem w okna domu sędziego Granta. Tyle tylko, że nie trafił, kamień odskoczył od muru.

W pierwszych godzinach nocy z niedzieli na poniedziałek stan umysłów w mieście zaczynał dochodzić do punktu bezpośrednio poprzedzającego otwarte wrzenie.

## XXIII

Sędzia Grant pracowicie spędził dzień niedzielny. I to wbrew najszczęśliwemu zamierzeniu, nie mówiąc już o chęci. Właśnie zamierzał wyjechać na farmę do swojego przyjaciela, gdzie był zaproszony na dobry obiad i niemniej dobrą partyjkę bridża, gdy do pokoju wśliznął się mister Jimmy Datton. Datton był ciekawą figurą. Ciekawą albo nie... To już zależy od punktu widzenia. W każdym razie nie powszednią, choćby ze względu na swoje zajęcie... Bo Datton stanowił główny filar miejscowej policji śledczej. Słowem: pełnił obowiązki tajnego agenta. Tak bardzo tajnego, że nawet nie wszyscy obywatele miasta wiedzieli o jego funkcjach.

Datton kiedyś należał do asów swego fachu. I to w dość dużym mieście. Ale zbyt lubił pieniądze i na którejś tam z rzędu łapówce wpadł paskudnie. Sprawa należała do rzędu poważnych, nie dało się jej zatuszować. Musiał zniknąć...

Po pewnym czasie, gdy skandal nieco ucichł, mister Datton wylądował aż w Cleveland. Ostatecznie i tu żyć można, jak się człowiek potrafi odpowiednio urządzić. Przyjęto go z otwartymi ramionami. Zasięgnięte uprzednio informacje wypadły całkiem zadowalająco.

– Bardzo zdolny – brzmiała opinia.

Zdolności naprawdę nikt Dattonowi nie mógł odmówić. A że brał kiedyś łapówki? Co tam. Każdemu może się noga powinąć. Tu za to nie będzie brał. I Datton zaczął pracować w mieście. Rzeczywiście nie brał łapówek. Szczególnie, gdy mu ich nikt nie proponował.

Wykrył kilka przestępstw, ustalając swą markę w pewnych kołach.

Na nieszczęście dla Blewetta, a na szczęście dla paru innych osób, Blewettowi nie wspomniano o istnieniu osoby mister Dattona. I w tej sprawie Datton nie wziął łapówki, bo mu jej zapomniano zaproponować. Pracował więc na własną rękę i całkiem bezstronnie. Ostatecznie: prócz łapówek istnieją także nagrody za wykrycie przestępców.

Sędzia Grant spojrzał niepewnie na Dattona, potem zaś na trzymaną w ręku walizeczkę.

– Mam nadzieję, że nic ważnego?...

Jednak w głębi duszy nie miał nadziei. Bo Datton dla byle błahostki nie ryzykowałby zakłócenia niedzielnego odpoczynku sędziego. Detektyw uśmiechnął się przebiegle!

– Niestety, dość ważne.

Grant westchnął z rezygnacją, odstawiając walizkę. Trudno... Ostatecznie, godzina później czy wcześniej... Nie wiedział, biedaczysko, że to potrwa dłużej niż godzinę. A nawet znacznie dłużej niż dziesięć godzin.

Zapadł w fotel, wskazując ruchem ręki krzesło.

– Więc słucham.

Detektyw zaczął relację.

W miarę jak mówił, twarz Granta wyrażała coraz większe zdziwienie. W końcu zerwał się

z fotela, zaczął biegać po pokoju.

– Ależ to zupełnie niemożliwe! – zawołał gwałtownie, przystając przed detektywem.

Datton wzruszył ramionami. Był aż nadto pewny swego.

– I ja początkowo byłem tego samego zdania. A jednak niech pan sędzia posłucha. Nazajutrz około południa zauważono... – recytował punkt po punkcie wyniki swego śledztwa, zaglądając od czasu do czasu do notatnika. Sędzia był coraz bardziej wzburzony.

– W jaki niby sposób dopasować to teraz jedno do drugiego? – mruczał bezradnie. – I ze względu na... bezwiednie zniżył głos, jakby w obawie, by ktoś niepowołany nie podsłuchał.

Detektyw znowu wygarnął garść dalszych szczegółów.

– Zresztą – sięgnął do teczki, otwierając zamek – proszę – położył na stole ciężki rewolwer. – Oto co znalazłem w rowie irygacyjnym, leżącym na trasie pogoni. – Zapomniał przy tym dodać, że szukał w tym rowie zupełnie czego innego, mianowicie, portfela i pierścionków zrabowanych Macphersonowi, których nie znaleziono przy aresztowanym. Ale ten szczegół już w tej chwili nie miał większego znaczenia.

– Rewolwer, jak pan widzi, ma kaliber 44. Że należał do obwinionego, nie może być najmniejszych wątpliwości, bo oto – wydobył z teczki parę umazanych błotem kartonów – naboje tego rewolweru. A kula, którą wydobył doktor Harvey z ciała zamordowanego jest kalibru 32. I pasuje do tej lufy jak pięść do nosa...

Grant potarł łysinę.

W takim razie nie rozumiem, dlaczego...

– Chwileczkę – Datton podniósł ostrzegawczo rękę – niech mi pan sędzia pozwoli skończyć. Więc... po kolei. Rewolwer kalibru 32, z którego wystrzelono pocisk wyjęty z serca Macphersona, znalazłem u... nachylił się nad uchem Granta.

– Co? – zachnął się. – Ależ to...

– Zaraz, jeszcze nie skończyłem! Na pantofelkach plamy krwi... Zawarłem znajomość z tamtejszą kucharką. Bardzo gadatliwa dama. A że akurat nikogo z gospodarzy nie ma w domu, przejrzałem to i owo.

Grant zwiesił ponuro głowę.

– Więc...

– Nie. Proszę poczekać. Bo z drugiej strony... – znowu głos jego przeszedł w szept.

Grant otarł pot, występujący na czoło.

– Ależ gmatwanina – głos jego jednak brzmiał o wiele raźniej. – Tylko w jaki sposób połączyć jedno z drugim?...

– Z drugim nie. Za to do trzeciego pasuje jak ulał! W czasie tej burzy przed dwoma tygodniami, co to Conchos wylała...

Sędzia pokiwał głową.

– Na pewno, panie Datton? Przecież to także brzmi nieprawdopodobnie...

– Mur, znalazłem chłopca, który...

Minęła któraś tam godzina, gdy wreszcie Datton skończył relację. Sędzia Grant, swoim zwyczajem, pragnął znać każdy najdrobniejszy szczegół. Zresztą, sprawa była naprawdę poważna. Szczególnie w obecnym stadium. Datton popatrzył na zegar. Późno. Tyle jeszcze zostało do zrobienia.

– A teraz zechce mi pan sędzia podpisać nakaz aresztowania. Wolałbym, by to zostało przeprowadzone w sposób jak najbardziej formalny. Mogą wyniknąć pewne komplikacje... – Podsunął blankiet.

Grant zawahał się.

– Czy to konieczne?

– Tak. Musimy ją zaaresztować. I to natychmiast. Bo inaczej...

Sędzia umoczył pióro.

– Na pańską odpowiedzialność, mister Datton?

Detektyw potwierdził ruchem głowy.

Przyjmuję na siebie całkowitą odpowiedzialność za to posunięcie.

– W takim razie... Podpisał.

Datton porwał blankiet, nie zważając na dosychający jeszcze atrament, i wybiegł z pokoju, zapinając po drodze nieodstępną teczkę.

Grant zagłębił się w fotelu i przez chwilę obserwował leżący na biurku rewolwer. Musiał nieco uporządkować myśli. Zbyt wielka porcja nowin, przyniesiona przez detektywa, spowodowała jednak pewne zamieszanie w systematycznym umyśle sędziego.

– Ładna historia – westchnął wreszcie. – Kto by mógł choć na chwilę przypuszczać, że...

Powstał ociężałe. A teraz telefon do Toledo. Czuł, że mimo wszystko należy uprzedzić szeryfa Blythe'a. A właściwie nie pomimo, tylko właśnie ze względu na...

Uzyskanie połączenia w niedzielę nie należało do najłatwiejszych. Twierdzono uparcie, że centrala nieczynna. Gdy po pierwszej porcji próśb i gróźb połączono wreszcie, ktoś po drugiej stronie przewodu oświadczył, że szeryfa nie ma w pokoju i nie wiadomo, dokąd wyszedł. Znowu trzeba było perswadować, powołując się na wszelkie istniejące i wymaginowane paragrafy, zanim ten ktoś zdecydował się porzucić swe prawdopodobnie wygodne krzesło. Dopiero po dobrych kilkunastu minutach zabrzmiał w słuchawce tubalny głos szeryfa.

Grant powoli, ważąc każde słowo, zaczął mówić.

Szeryf z początku ani rusz nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Kilkakrotnie przerwał Grantowi wykrzyknikami niedowierzenia. Gdy wreszcie zrozumiał, lodowaty chłód przerażenia zaczął ogarniać jego skłębione myśli.

– Święty Boże! – jęknął – a gdzie Kate? Gdzie moja córka? Grant próbował go uspokoić.

Rozumiał, co się musiało dzieć w sercu starego szeryfa.

– Chwilowo przebywa u mister Spencera, ale...

– Przyjeżdżam jutro z samego rana – oznajmił stanowczo szeryf. – A tymczasem, aż do mego powrotu...

Ale nie mógł przewidzieć, że nazajutrz rano będzie rozpaczał nad motorem uszkodzonego samochodu w odległości kilkudziesięciu mil od celu.

## XXIV

W poniedziałek już od samego rana sala sądowa aż czerniała od zwartego tłumu. Sędzia Grant z niesmakiem obserwował kilka znanych z widzenia fizjonomii w pierwszych rzędach. Znacznie chętniej widziałby je na ławie oskarżonych, niż wśród publiczności. Niestety, wiadomości jakie o ich właścicielach posiadał nie były poparte dowodami dość ważkimi, by ich tam posadzić.

Obserwując podniecony nastrój audytorium, Grant przeczuwał, że będzie miał ciężki orzech do zgryzienia z przeprowadzeniem dzisiejszego posiedzenia. Szczególnie w związku z nowymi okolicznościami, jakie się wczoraj w sprawie wyłoniły. Przeczucia go nie zawiodły.

W chwili wprowadzenia Czarnego Johna na salę, wśród publiczności rozległy się wrogie okrzyki:

– „Powiesić mordercę!!!” Co się z nim ceregielić?! „Na gałąź i już!” Energiczne potrząsanie dzwonkiem nie odniosło najmniejszego efektu. Dźwięki wsiąkały w gwar bez echa. Zresztą, może zaledwie kilka najbliższej siedzących osób usłyszało, że sędzia dzwoni.

Interwencja dwóch woźnych także nie pomogła. Ściśnięto ich w ciżbie i wepchnięto gdzieś w najodleglejszy kąt sali, nie mówiąc już o szturchańcach, jakie zainkasowali po drodze.

Dopiero na kateryczne oświadczenie sędziego, że przerwie posiedzenie i kaze odprowadzić obwinionego do celi, zapanowała względna cisza.

Ale była to cisza przed burzą.

John był rzeński i wyspany za wszystkie czasy. Wrogie wystąpienie tłumu nie wzruszyło go ani odrobinę. Ani też nie zdziwiło zbyttnio. Przyjmował je z filozoficzną rezygnacją.

– Cóż... skoro mają mnie za mordercę i do tego za rabusia... W rezultacie trudno im odmówić racji...

Za to od razu pierwsze pytanie sędziego Granta wytrąciło go z równowagi.

– Czy obwiniony zna niejaką Emilię Murray, pospolicie zwaną „Złotą Emilką”?

Czarny John osłupiał, wytrzeszczył oczy na sędziego...

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę, jednak ani rusz nie mógł wykombinować, jaką ma dać odpowiedź... „Złota Emilka”? Co to znowu za lichy? W życiu nie słyszał o takiej osobie... A może to jakaś pułapka? Więc tylko bąknął ni to, ni owo...

Ale sędzia zaczął wyciągać z niego prawdę po kawałku, zarzucając podstępными pytaniami: „A jak wygląda?” „A ile ma lat?” „A gdzie mieszka?” W końcu doszedł do wniosku, że obwiniony nie tylko jej nie zna, ale w ogóle nie wie kto to jest.

Pod koniec badania John osowiał. Czuł, że w czymś pokpił sprawę. Nie mógł się jednak zorientować, w czym mianowicie i do czego tę całą Emilkę przylepić?

Audytorium też nie było bynajmniej zachwycone pytaniami. W tłumie zalegającym salę

znowu zapanowało poruszenie. Zabrzmiały ochryple wrzaski: „Dość już tych ceremonii!” „Granda!” „Przyznał się, to sprawa skończona!”

Doświadczone oko sędziego dostrzegło kilka ognisk niepokojów. Zaczął podejrzewać zorganizowaną akcję.

Dyskretnie polecił sekretarzowi telefonicznie sprowadzić pomoc. Potem, gdy już kilku barczystych policjantów, uzbrojonych po zęby, czekało cichutko w gabinecie, jak gdyby nigdy nic zarządził półgodzinną przerwę.

Na sali panował upał nie do zniesienia. Ciężkie, zużyte przez przeszło setkę płuc powietrze nie nadawało się do oddychania. Nie pozwolił otworzyć okien. Miał w tym swoje wyrachowanie. I wyrachowanie to nie zawiodło.

Ludzie hurmem sypnęli się na dwór.

Wówczas, korzystając z opróżnienia sali, kazał odprowadzić Czarnego Johna do więzienia, dając policjantom pewne wskazówki.

Mała grupka konwoju przemknęła dyskretnie bocznymi ulicami nie wywołując większego wrażenia. Ci bowiem, którym zależało na tym, aby sprawa Czarnego Johna znalazła zakończenie takie, jak sobie planowali, czekali cierpliwie przed gmachem sądu, dyskutując zniżonymi głosami o możliwości dalszego przebiegu akcji.

Po upływie pół godziny tłum znowu wpłynął na salę, wypełniając ją szczelnie.

Ten i ów zerknął podejrzliwie na opustoszałą ławę oskarżonych. Zanim jednak zdołano przejrzeć podstęp, Grant zasiadł przy sędziowskim stole. Nie na długo zresztą.

– Przesłuchanie tak zwanego „Czarnego Johna” odraczam do jutra do godziny dziesiątej – ogłosił niezbyt wyraźnym głosem i wyszedł. Wyszedł zresztą w nieco przyśpieszonym tempie, jednak nie było ono ani o włos zbyt szybkie, zważywszy na okoliczności.

Zaledwie bowiem zdążył zamknąć za sobą drzwi, na sali wybuchło prawdziwe piekło.

Do otwartych wystąpień przeciwko sędziemu tym razem jednak nie doszło.

Blewettowi w tej chwili bowiem zależało na czymś zgoła innym niż na osobie Granta.

Gdy przemyślał pytanie na temat „Złotej Emilki” i zaczął wyciągać wnioski z tego fragmentu śledztwa, ogarnęło go paniczne przerażenie. Wyczuł niepomyślny dla swych zamierzeń wiatr, wiejący w sprawie. Coś tam za tym niewątpliwie tkwi... Kto wie, jaki może być dalszy przebieg śledztwa... Gorączkowo zbierał na własną rękę informacje.

Nowiny, jakich mu na ten temat dostarczono, bynajmniej nie poprawiły jego samopoczucia. Należały one do kategorii dość ważkich. Gdy je złączył w całość, nie pozostało już miejsca na wątpliwości: sprawa od soboty przybrała inny obrót. W każdym razie zanosilo się na porządne powikłania, a ostateczny rezultat stawał pod znakiem zapytania. Wobec tego postanowił działać w innym kierunku.

Ani on, ani jego pomocnicy nie tracili czasu. Zdawali sobie sprawę, że należy wziąć mocne

tempo, by uprzedzić ewentualne pociągnięcia Granta. Już wczesnym wieczorem do gabinetu sędziego wpadł mister Datton. Robił wrażenie mocno podnieconego.

– Znosi się na grubsze awantury – zaraportował krótko.

– Acha! – Grant podniósł głowę pochyloną nad aktami. – W związku ze sprawą Czarnego Johna?

Detektyw przysiadł na brzeżku krzesła.

– Tak, mocno gadają o linczu.

– Uhum – zabębnił palcami po gęsto zapisanych stronicach. – Skończy się na gadaniu?

Detektyw wzruszył z powątpiewaniem ramionami.

– Czy ja wiem? Ale raczej na to nie wygląda... Ktoś stoi za kulisami i puszcza w ruch cały interes.

Grant potarł w zamyśleniu czoło.

– I ja to zauważyłem dziś rano. Ale kto taki – podsunął otwarte pudełko z cygarami. Datton wybrał jedno starannie i wsadził do kieszeni. Następnie widocznie w przypiływie roztargnienia, sięgnął po drugie. To jednak już zapalił.

Grant zdawał się nie widzieć tych machinacji.

– Więc któż to taki kręci akcję?

Datton strzepnął palcami.

– Sprężynki bez znaczenia. Do głównego motoru jeszcze nie dotarłem.

– Hm... tak! – Grant zamyślił się. – A jak tam z ewentualnymi siłami?

Detektyw puścił ustami kłęb dymu.

– W tym właśnie sęk. Sami chyba tego kąska nie przełkniemy. Nie zaszkodziłoby jeszcze kogoś zaprosić do towarzystwa...

Bezpośrednio po wyjściu Dattona Grant połączył się telefonicznie z gubernatorem. Złożył szczegółową relację i poprosił o przysłanie posiłków wojskowych.

Gubernator jednak przyjął to raczej sceptycznie.

– Ależ, sędzio kochany, przesadzacie!... Zaraz lincz? Co innego, gdyby chodziło o Murzyna... Ale biały człowiek? Pokrzyczą trochę i dadzą spokój.

Grant nalegał.

– Według raportów, które otrzymałem z zupełnie pewnego źródła, sprawa wygląda poważnie. A nasze siły absolutnie nie wystarczą na jakieś większe wystąpienia.

Gubernator zupełnie nie miał ochoty przychylić się do jego prośby. Okres przedwyborczy. Trzeba się liczyć z każdym, najmniejszym nawet drobiazgiem. Przeciwnicy nie zasypiają gruszek w popiele: jeden fałszywy krok i... krzesło gubernatorskie diabli wezmą. A z wysyłaniem wojskowych posiłków bywa rozmaicie. Prasa zaraz wetknie nos: „Dlaczego?” „Po co?” „Gnębienie swobód obywatelskich”... i tak dalej. Znał doskonale tricki wyborczej propagandy...



o tych rozważaniach nie wspomniał oczywiście ani słówkiem. Natomiast zbagatelizował całą sprawę.

– Ostatecznie i wy macie przecież coś do strzelania. W razie czego przetrwacie jakiś czas. Zostawię dyżurnego przy telefonie z odpowiednimi instrukcjami. Gdyby, w co nie wierzę, naprawdę wybuchło coś poważnego, natychmiast prześlę pomoc... i na tym stanęło. Musiało zresztą stanąć. Bo gubernator wolał nie ryzykować swego fotela. Całkiem wygodnego fotela, nawiasem mówiąc...

## XXV

Szeryf Blythe dotarł do miasta dopiero o zmierzchu. Nie ze swej winy. Co mógł na to poradzić, że dano mu zdarty łapiec zamiast samochodu. Kilka bitych godzin sterczeli w jakiejś zapadłej dziurze, czekając aż szofer zdoła jako tako połatać motor. Dziura, jakiej świat nie widział. Ani telefonu, ani konia, ani nic w tym rodzaju. Dwie na wpół rozwalone chałupy i jeden zupełnie porządny chlew, to wszystko. Nie pomogło wyklinanie w żywy kamień skapstwa komitetu w Toledo. Powarkiwanie na spoconego szofera także nie. Więc cóż miał począć? Maszerować dwadzieścia mil z ładnym hakiem na piechotę.

Przyjechał akurat na czas kolacji. Ale Blythe nawet nie pomyślał o wieczornym posiłku. Grantowi również nie dał dokończyć spożywania darów bożych. Musiał przecież przed rozmową z córką ustalić niezbicie pewne okoliczności. Grant uznał raczej szeryfa: zrezygnowanym ruchem rozłożył napęczniałą teczkę akt. Zaczął cierpliwie tłumaczyć wszystko od początku. Trzeba było przy tym sięgnąć do momentów znacznie poprzedzających samo morderstwo, by wyjaśnić pewne zazębienia.

Blythe biegał po pokoju, przerywając od czasu do czasu czytanie okrzykami. Chwilami dopadał do sędziego, łapał go za ramię: niemożliwe, by ona... Grant wskazywał palcem w odpowiedni wiersz raportu. Wówczas szeryf, chcąc nie chcąc, przyjmował fakt do wiadomości, nie przestając jednak wydziwiać na zawile zrządzenie losu.

– No, dobrze... Ale jak Kate mogła... W tych warunkach...?

Grant wzruszył ramionami.

– To już wybacz... Sam ją musisz o to zapytać.

– A on? Cały ten Czarny John, czy jak mu tam?... Czy ty naprawdę myślisz, że...

– Nie myślę – przerwał. – Jestem tego zupełnie pewien. Tak pewien, że już dziś mógłbym podpisać nakaz... Oczywiście w tej sprawie ty nie wniesiesz przeciwko niemu skargi...

Blythe spojrział na niego ze zdumieniem.

– Ja?... Ach tak – roześmiał się. – Masz na myśli tamtą historię w saloonie starego Szymona?

– No, oczywiście!

Szeryf machnął lekceważąco ręką.

– Niech mu tam idzie na zdrowie. Zręczne chłopię, prawdę mówiąc – przyznał z mimowolnym podziwem.

Rozmowa z Kate miała zupełnie inny przebieg, niż tego oczekiwał. Z początku nie mogła się zorientować, o co chodzi, potem zaś wybuchnęła gwałtownym szlochem.

– Nic nie wiedziałam!... Wuj trzyma mnie tu jak pod kloszem. Skąd mogłam się domyślić? Gdy powiedziano o złapaniu mordercy, myślałam, że to tamtego!... No, i skoro się przyznał!... Inaczej zaraz bym poszła do sędziego. Boże! Co on musiał przecierpieć i właściwie dlaczego.

Szeryf przełknął ślinę. No trudno... Opowiedział o wnioskach Granta. Kate przestała płakać. Twarzyczka jej spłonęła ciemnym rumieńcem. Rumieniec ten odpowiedział ojcu na inne pytania, których nie miał ochoty zadawać. Coś tam przetrawiał w duchu. Ależ cholerne komplikacje...

Kate nabrała nagle energii.

– Bo, widzisz tatuśku: i wtedy, gdy mnie wyciągnął z topieli Blue River, i teraz... – Złapała kapelusz i natychmiast chciała biec do Granta...

Ledwo zdołał jej wyperswadować, że i bez niej Grant wie wszystko w sprawie, co wiedzieć należy. I, że już jutro. Kate załamała rękę.

– Ale do jutra...

– Do jutra nic mu się nie stanie. A teraz i tak by go nie wypuścili.

Z kolei napadła na Spencera.

– To wuj wszystkiemu winien!

– Ja? – otworzył szeroko oczy – skąd niby ja do tego wszystkiego?

– Bo gdyby wuj nie przerwał wtedy Benowi, gdy opowiadał o złapaniu mordercy... Powiedziałby nazwisko, a wówczas...

Spencer rozłożył bezradnie ramiona.

– Skoro już koniecznie chcesz mieć kozła ofiarnego...

W głębi duszy jednak przyznawał jej trochę racji.

Od dalszej dyskusji wybawiło go szczęśliwe zaproszenie do kolacji.

Blythe był bardzo głodny. Od samego rana nie miał nic solidniejszego w ustach, jeżeli nie liczyć kilku spożytych w samochodzie kanapek. Toteż zasiadał z prawdziwą rozkoszą do suto zastawionego stołu. Na widok złocistej skórki pieczonego indyka ślinka zaczęła napływać do ust.

Widocznie jednak nie sądzono mu było tego dnia jeść kolacji. Gdy bowiem podniósł do ust pierwszy smakowity kęs, szyby cienko zadzwoniły w oknach, wtórując odgłosowi potężnego wybuchu. Potem gruchnęły gęste strzały. Zerwał się gwałtownie.

– Więc jednak Grant miał rację!...

Nie odpowiadając na zatrwożone pytania, wybiegł z domu. Ludzie biegli w kierunku odgłosów nieustającej strzelaniny. Za węglem ktoś krzyczał ciekim głosem, słów jednak nie można było zrozumieć.

Szeryf przytrzymał jednego z biegnących:

– Gdzie strzelają?

– Napad na więzienie! – wyrwał się i pobiegł dalej.

Grań ta zastał przy telefonie. Jakiś zażywny jegomość w skórzanej kurtce tarmosił sędziego za rękę.

– Przecież on mi ocalił życie – zawodził zrozpaczonym głosem. – Jeżeli byłoby potrzebne poręczenie, albo...

Grant wyszarpnął gwałtownym ruchem maltretowany rękaw. Był zdenerwowany do ostateczności.

– Odczep się pan, mister Hamilton – warknął. – Na diabła mi pańskie poręczenie!

– Ale... przecież miał być u mnie zarządcą majątku w Houston. Jak tylko usłyszałem o zaarrestowaniu, od razu wsiadłem na konia i...

Grant tarosił widelki telefonu – Halo! – wrzeszczał ochryple. – Halo! Hamilton znów złapał go za rękaw.

– Ależ, panie sędzio, przecież zna mnie pan nie od dzisiaj... Grant wyjął z ust na pół zżute cygaro, które zapomniał zapalić.

– Czyż pan nie może tego zrozumieć, mister Hamilton, że pańskiego protegowanego porwali z więzienia, by go powiesić na pierwszej lepszej gałęzi? – powiedział dobitnie. I znowu wrzeszczał w mikrofon: – Halo! Cóż do ciężkiej cholery? Przeklęty telefon!

Telefon rzeczywiście milczał. Nie mogło być zresztą inaczej, skoro przewody zwisały smętnie, przecięte aż w kilku miejscach.

W pałacu gubernatora drzemał przy aparacie dyżurny. Na stoliku przed nim leżała karteczka ze szczegółowymi instrukcjami i podpisany przez gubernatora in blanco rozkaz wymarszu. W koszarach wojskowych zarządzono na tę noc pogotowie marszowe.

Ale Blewett wiedział jak należy przystępować do rzeczy, by nie utknąć na niespodziewanych przeszkodach. A tymczasem wtórnym i bynajmniej nie zamierzonym skutkiem jego ostrożności miało być w najbliższym czasie niespodziewane fiasko niemal zupełnie murowanej kandydatury gubernatora Glenarvana...

Grant w końcu zrezygnowanym ruchem odłożył słuchawkę.

– Szkoda czasu... Przecieli połączenie. Musimy zaryzykować własnymi siłami. Grubas wyciągnął z kieszeni kurtki pistolet automatyczny wielkich rozmiarów.

– Jeżeli pan sędzia pozwoli to i ja...

Grant nacisnął przycisk dzwonka.

– Oczywiście! Okrutnie mało mamy ludzi.

W tej chwili do gabinetu wpadła kompletnie ubrana do konnej jazdy Kate.

W rękach trzymała winchester.

Szeryf aż podskoczył na ten nieoczekiwany widok.

– Kate! Czyś ty oszalała!?

Twarz dziewczyny spłonęła ciemnym rumieńcem.

– Tatuśku... gdy mi powiedzieli, że... Ja... nie mogłam... On przecież – tłumaczyła bezradnie.

Szeryf wzruszył ramionami. Wystarczył mu jeden rzut oka na twarz córki, by zrozumieć, że nie usłucha rozkazu powrotu do domu. A w tych okolicznościach...

– Diabli nadali! – zaklął bezradnie.

## XXVI

Czarny John spał w najlepsze, gdy wstrząs wywołany wybuchem zrzucił go z tapczana na ziemię.

Częste wystrzały i dzikie krzyki, rozlegające się w korytarzu, wyjaśniły od razu sytuację. Poranne zajście w sądzie i teraz... Nietrudno dodać dwa do dwóch.

...A więc: „sędzia lincz” – skonstatował w duchu, pośpiesznie wciągając ubranie. Nie był zbyt przerażony. Tak czy inaczej... W rezultacie: co za różnica?

Zazgrzytał klucz w zamku. Klucznik nie miał zbyt przestraszonej miny pomimo wycelowanego w pierś rewolweru.

Zamigotały postacie w szpiczastych kapturach. Przez podłużne otwory lśniły ludzkie oczy, dziwacznie odbijające od niesamowitego tła oprawy.

– Zabieraj się – zakapturzony napastnik trącił Johna pięścią w żebro. John bez słowa kopnął go w podbrzusze. Tamten zawył cienko, przysiadając na ziemi. Teraz wpadło do celi kilku naraz, rzucając się na Johna. Walczył z zaciętą determinacją. Nie miał zresztą nic do stracenia. Jeżeli utłukliby go przypadkiem, sprawa byłaby załatwiona. A w bójkę przyjemniej umierać. Nawet się nie poczuje.

Nie utłukli jednak. Po paru chwilach leżał na betonowej podłodze, spętany jak ryba w sieci. Całe ciało paliło od doznanych razów. Z głęboko rozciętej wargi krew ciekła ciurkiem po brodzie.

...Jednak tamci również otrzymali swoją porcję – myślał z mściwą satysfakcją, obserwując spod oka dwie pokurczone postacie, bezwładnie oparte plecami o ścianę.

Ktoś go chwycił za ramiona, ktoś inny za nogi, zawisł w powietrzu. Chwyty nie należały do gatunku specjalnie delikatnych. Gdy go przenosili przez korytarz, a później przez podwórze więzienne, zauważył cały szereg postaci w mundurach, trwających w bezruchu z rękami podniesionymi nad głową.

Nie widział jednak, by ktoś z nich leżał na ziemi. Nie dostrzegł nawet ani pij jednej rany. Bitwa widocznie należała bardziej do hałaśliwych niż krwawych.

Przerzucono go przez łęk siodła. Ze wszystkich stron cisnęli się zakapturzeni jeźdźcy z rewolwerami gotowymi do strzału. Kawalkada ruszyła cwałem przez wymarłe ulice.

Na jakimś rogu wybuchła gwałtowna strzelanina. Nie wiedział kto i do kogo strzelał, bowiem nie zatrzymali się ani na chwilę.

Jazda trwała dobre kilkanaście minut. Potłuczone ciało przypominało dotkliwie o swoim istnieniu niemal przy każdym kroku konia.

Nad głowami zaczerniały poplątane gałęzie. Wjechali w las. Jeszcze kilka jardów i drzewa rozstały się, odsłaniając obszerną polanę.

Zatrzymano konie wokół samotnego dębu, stojącego niemal na środku polany. Rozbłysły liczne ognie smolnych pochodni. Johna zrzucono na ziemię. Część jeźdźców również posiadała z koni. Zaczęto znosić chrust w pobliże potężnego drzewa.

John obserwował te tajemnicze przygotowania bez specjalnego zachwyty.

– Czyżby mieli zamiar mnie usmażyć na wzór dawnych indian? – skóra na nim trochę ścierpła. Bo ostatecznie na taki rodzaj śmierci nie mógł być przecież przygotowany.

Odetchnął z prawdziwą ulgą, gdy ktoś podłożył ogień. W czerwonym zarzewiu dostrzegł zakapturzonego osobnika, włączającego na gałąź ze sznurem w rękę.

...Więc jednak tylko stryczek...

Ktoś przystanął nad Johnem, patrząc na jego spętane nogi.

– Będziesz wierzgać, jeżeli cię rozwiążemy?

John przymrużył oczy.

– I jak jeszcze!

– Jeślibyś... – machnął rewolwerem – to kula w łeb!

John parsknął śmiechem.

– Zapytaj cici o jakąś mocniejszą groźbę – zaproponował niemal uprzejmie. – Bo jeżeli o mnie chodzi, to wolę kulę od stryczka. Nie tak jak ty.

Przez otwór kaptura bluznęło grube przekleństwo. Przez chwilę naradzali się półgłosem.

– Nie warto – zaopiniował któryś – i tak ustoi.

Poniesiono Johna w kierunku dębu. Postawiono na jakiejś skrzynce. Rzeczywiście ustał, chociaż chwiejnie. Osobnik na gałęzi kończył zawiązywać węzeł. John poczuł na szyi dotyk powroza.

Dorzucono chrustu do ogniska. Na polance było niemal zupełnie jasno. Dziwaczne, podobne do jakichś fantastycznych jaszczurek, postacie ustawiły się półkolem. Jedna z nich wystąpiła naprzód. W rękach trzymała arkusz papieru.

– Za rabunkowe morderstwo Roberta Macphersona zostajesz skazany na śmierć przez powieszenie.

John drgnął, poznawszy nosowy głos Blewetta...No – pomyślał patrząc na długą postać, osłoniętą białym płaszczem – więc tak ma wyglądać jego rewanż? Jack miał rację.

– Ponieważ sędzia nie wypełnił swego obowiązku, wydanie wyroku wzięło w swe ręce Ku-Klux-Klan.

Nie było to prawdą. Ku-Klux-Klan nie miało z tym nic wspólnego. Ale o tym Czarny John nie wiedział. Tak samo, jak i wielu spośród czynnych uczestników linczu.

– Módl się za swoją duszę. Za dwie minuty będzie już po wszystkim – w rękach Blewetta błysnął, odbijając światło ogniska, wielki zegarek.

Blewett lubił mocne efekty. Chciał, by wróg przetrawił przedsmak śmierci.

Zresztą, zwyczaj nakazywał tak właśnie postępować w podobnych wypadkach. Blewett śledził bieg wskazówek.

– Pół minuty! – oznajmił.

Przed oczyma Johna stanęła wizja dziewczęcej twarzyczki...Biedactwo – pomyślał z rozrzewnieniem – jak wiele musiała przejść wtedy, gdy... że też nie mogłem jej zaoszczędzić tej wstrętnej roboty z Macphersonem.

– Jedna minuta – Blewett nie mógł sobie oszczędzić mściwej przyjemności przypominania o nadciągającej śmierci.

...Swoją drogą – pomyślał z nagłym przyływem humoru John – co ma wisieć, nie utonie. Dlatego pewno nie pochłonęła mnie Conchos, choć przecież niewiele brakowało. – I zaczął rozpamiętywać chwile, spędzone na brzegu z Kate.

– Półtorej minuty!

Twarz starszego, pełnego powagi pana. Ojciec Johna. Mądre spojrzenie siwych oczu. Jak dobrze, że nie dożył chwili, gdy jedyny syn skreślił na boczną ścieżkę. I jak dobrze, że nie widzi... A może widzi? Bo...

Boże! – wszystkie myśli przerodziły się w gorącą modlitwę – przebacz wszystko, co kiedykolwiek... tak dużo się tego nazbierało... i spraw, żeby jej dobrze było na świecie... bo przecież, jeżeli... musiała tak postąpić...

– Dwie minuty! – głos Blewetta grał pełną gamą triumfalnych tonów. Cofnął w tył nogę, by kopnięciem wytrącić skrzynkę spod nóg Johna.

– Stać!!!

Spomiędzy drzew wysypały się liczne postacie jeźdźców.

Na polanie zapanowało nagłe zamieszanie.

Padło parę pojedynczych strzałów, potem wybuchła gęsta strzelanina. Ktoś przeraźliwie jęknął. Jedna z zakapturzonych postaci runęła na ziemię. Po chwili odgłosy wystrzałów zły się w jeden nieustanny krzyk.

Parę szpiczastych kapturów wsiąkło pospiesznie w przeciwległą ciemnię lasu. Inni nie przestawali strzelać.

Znowu ktoś wrzasnął, osuwając się powoli na ziemię.

Od skrajaju polany zagdakał równomiernym rytmem karabin maszynowy.

Blewett w pierwszej chwili chciał pomimo wszystko usunąć skrzynkę spod nóg Johna. Gdy tamci dopadną, zastaną tylko wisielca. Gwiżdżące gęsto kule zmusiły go jednak do zrejterowania w mrok. W bezpośredniej bliskości dębu było zbyt jasno. Ustrzeliliby go jak kaczkę.

Z gałęzi, na której był uwiązany drugi koniec stryczka, pryskały raz po raz odłupywane pociskami drzazgi.

Blewett wyszarpnął z pochwy pod płaszczem rewolwer. Wycelował w sam środek czoła

Czarnego Johna. Oświetlona postać stanowiła cel niemożliwy do spudłowania.

– Tak czy inaczej!... – pociągnął za cyngiel.

W tej samej chwili, gdy kurek uderzył w spłonkę naboju, a może o jakiś tam minimalny ułamek wcześniej, odpadła z trzaskiem odłupana seria pocisków gałąź.

Ciężar jej zacisnął stryczek na szyi Johna, szarpiąc go w tył. I tak ledwo stojący na spętanych nogach, runął gwałtownie na plecy.

Wymierzony precyzyjnie w czoło pocisk nie zdążył do celu. Przeorał natomiast lewy bark spadającego.

– Cóż u licha?! – zaklął szeryf Blythe, odejmując od ramienia ciężką kolbę maszynowej broni – czyżbym go przypadkiem postrzelił?

Strzelanina powoli zaczęła tracić na intensywności. Kilka postaci zastygło w bezruchu na polanie. Inni coraz częściej przyskaki w las. Ognisko dogasało.

Blewett zdążył już przewędrować dobre kilkadziesiąt jardów w gęstwinie.



## XXVII

Po raz pierwszy otworzył oczy, gdy lancet doktora Harveya rozorywał ranę, szukając kuli. Przebłysk przytomności, wywołany bólem, nie trwał jednak dłużej niż kilka sekund.

Długie dni upłynęły, zanim znowu raz spojrział przytomnie na otaczający świat.

W ciągu tych dni bywało rozmaicie.

Z początku doktor Harvey wzruszał niecierpliwie ramionami, gdy pytano go o stan zdrowia pacjenta. A pytań tych nie brakło. Pytały urzędowe czynniki, z sędzią Grantem na czele. Pytali reporterzy, niecierpliwie oczekując na parę słów wywiadu z niedoszłym wisielcem. Historia linczu nabrała szerokiego rozgłosu, szczególnie w związku z ostatnimi wynikami prowadzonego przez Granta śledztwa. Pytał osowiały mister Hamilton, przypominający za każdym razem! – „przecież on, panie doktorze, ocalił mi życie”. Pytały wreszcie pewne osoby z najbliższej rodziny szeryfa Blythe’a.

– A skądże ja mogę wiedzieć? – pomrukiwał Harvey – albo wyżyje albo nie, trzecia ewentualność na pewno nie zajdzie. Bo, widzicie – tłumaczył, gdy mocniej naciskano – sama rana od kuli byłaby jeszcze głupstwem. Ale oprócz tego, nabierał cały komplecik innych mankamentów. Nie zagojona rana w udzie, pęknięte żebro, seria wewnętrznych obrażeń – wyliczał na palcach – no, a przede wszystkim, organizm wyczerpany do ostateczności. Musiał przejść przez ładne tarapaty, zanim go dostałem pod swoją opiekę. A w tych warunkach – wydymał wargi – tak blisko mu do śmierci, jak i do życia. A może nawet nieco bliżej na tamtą stronę. Robimy zresztą co możemy...

Robił rzeczywiście wszystko, co w jego mocy. Pchał pod wynędniałą skórę olbrzymie zastrzyki. Smarował maściami. Robił okłady.

Hamilton sprowadzał całymi pakami jakieś patentowane świństwa, mające z całą pewnością uzdrowić zbawcę. Harvey zaś chował specyfiki do szafy i leczył po swojemu.

– No – wzdychał na widok przynoszonych przez Hamiltona buteleczek i paczek – czy naprawdę tak koniecznie chce go pan wyekspediować na tamten świat?

John jednak nie umarł.

Po upływie tygodnia Harvey zatarł z triumfem pulchne dłonie.

– Będzie żył! Lada dzień powinien odzyskać przytomność. Ale jeżeli chodzi o przesłuchania czy inne wywiady, to jeszcze nie prędko. I zapowiadam kategorycznie, że nie puszcę nikogo za próg, dopóki sam nie uznam tego za stosowne. Nie po to się tyle natrudziłem, żeby mi ktoś miał całe wyniki zmarnować.

Reporterzy jednak warowali w saloonie starego Szymona. Sprawa wciąż nie traciła swej aktualności. Tym bardziej że przedstawiciele prasy popierającej przeciwnika gubernatora Glenarvana postawili sobie za zadanie dotarcie do samego sedna. Zamierzali ze sprawy Czarnego

Johna uczynić dźwignię, mającą wysadzić Glenarvana z fotela gubernatorskiego. Niektórzy z reporterów zaczęli ponadto wywąchiwać inne, poza oficjalnie zapowiedzianymi, sensacje. Jeden z nich był w swych domysłach już piekielnie blisko prawdy.

Zapowiedzi swej, co do nie wpuszczania za próg, nie zdołał doktor Harvey dotrzymać w stosunku do jednej osoby. Patrzyła tak błagalnie. I tak przekonywająco prosiła. Wreszcie zrezygnował z oporu.

– Co tam... – machnął ręką – z niewiastami zawsze tak... Zresztą w głębi duszy przyznawał jej pewne prawa do przebywania przy łóżku chorego.

– A jednak zastrzeliłem Macphersona – były jego pierwsze słowa, gdy doszedł do przekonania, że jeszcze żyje.

– Nie...

Na dźwięk nieco drżącego głosu otworzył szeroko oczy. Zamknął je czym prędzej z powrotem przekonany, że to, co ujrzał, należało do dalszego ciągu gorączkowych widziadeł.

– Zastrzeliłem – powtórzył słabo.

– Nie, zastrzelił go Calvert! Od dawna siedzi już za kratkami.

Spojrzał niepewnie.

– Więc to naprawdę pani?

– Ja – usta Kate rozchylił promienny uśmiech – ale nie wolno jeszcze rozmawiać – położyła mu kojącym ruchem rękę na czole – proszę zamknąć oczy i postarać się zasnąć. Jutro wszystko opowiem panu dokładnie.

John posłusznie przymknął powieki. Czego by nie zrobił, gdyby od niego zażądała. Zasnąć jednak oczywiście nie mógł. I kojące dotknięcie dziewczęcej dłoni tak go wzruszyło, że z miejsca dostał gwałtownej gorączki.

Przerażona do ostatecznych granic, wezwała doktora. Harvey kłął w duchu swą ustępliwość.

– Czyż nie przewidziałem, że tak będzie? – nie miał jednak odwagi wypędzać Kate z pokoju chorego. Umiała tak cudownie patrzeć, gdy pragnęła postawić na swoim. Nawet doktor, który znał ją od dziecka, topniał pod tym jej spojrzeniem jak wosk i nie zdołał uniknąć ostatecznej porażki.

Gorączka jednak spadła po paru godzinach, nazajutrz John czuł się o wiele lepiej. Czuł się tak dobrze, że tym razem Kate pomimo srogich min nie potrafiła go zmusić do zamknięcia oczu i zaśnięcia.

Gdyby zajrzeć do jej serduszka, trudno byłoby stwierdzić, że żądanie jej należało do zupełnie szczyrych.

Pełne uwielbienia spojrzenie Czarnego Johna, towarzyszące każdemu jej ruchowi, mieszało ją i... Nie. Nie potrafiłaby dokładnie określić tego drugiego uczucia. W każdym razie nie było ono niemiłe. Tak samo jak nie był niemiły przyspieszony rytm serduszka, kwitujący każde

mimowolne spotkanie oczu. By ukryć swe zmieszanie zaczęła nieproszona opowiadać.

– Pan... – zawahała się patrząc w okno, jakby tam akurat dojrzała coś niezmiernie ciekawego – przypuszczała, że to ja zastrzeliłam Macphersona... i dlatego...?

– Tak – blade, ledwo dostrzegalne zarzewie rumieńca wystąpiło na wynędzniałe policzki – tak sądziłem... bo, wtedy pani... byłem pod oknem i widziałem...

– Ach... stał pan wtedy pod oknem – powtórzyła. Dopiero teraz zrozumiała, gdzie tkwiła początkowa przyczyna cierniowej drogi Czarnego Johna. Punkt ten zresztą dla wszystkich zainteresowanych był niejasny.

– Ale – ciągnęła dalej po chwili milczenia – nie zastrzeliłam go. Choć zasłużył na to po tysiąckroć. I byłabym to na pewno uczyniła, gdyby mnie Calvert nie uprzedził. Gdy Macpherson wyszedł, zobaczyłam, że pochwa od rewolweru, zazwyczaj wiszącego na ścianie, jest pusta. A w chwilę potem usłyszałam wystrzał. Wybiegłam natychmiast. W świetle błyskawicy dojrzałam Calverta jak zrywał się z ziemi i uciekał w kierunku bocznej furtki. Macpherson już nie żył. Tuż przy nim leżał porzucony przez Calverta rewolwer. Calvert musiał go na pewien czas przedtem wykraść z pochwy. Wróciłam do domu. Mimo wszystko byłam mocno wstrząśnięta tym wydarzeniem. Słyszałam wprawdzie odgłosy strzelaniny i pościgu, ale myślałam, że to gonią za Calvertem. Nic innego mi nawet przez myśl nie przyszło. Toteż, gdy powiedziano mi o ujęciu mordercy, nie wymieniając nazwiska, byłam pewna, że chodzi o niego. Tak samo później, gdy już w domu wuja Spencera doszła mnie wiadomość o przyznaniu się mordercy bez zastrzeżeń do winy. Dlatego nie złożyłam sędziemu zeznań, uważając, że jest to zbędne.

– Ach tak... – westchnął – a ja myślałem...

– Co? – spojrzała z wyrzutem – przypuszczał pan, że jestem zdolna przyjąć taką ofiarę?

– Cóż – przywarł do jej oczu gorejącym spojrzeniem – ode mnie... zresztą, to byłoby takie naturalne i tak miałem go zamiar... usunąć. Usunąć jak wstrętnego płaza... zwłaszcza po tym, co usłyszałem przez niedomknięte okno.

Zaczerwieniła się jeszcze bardziej, kierując wzrok znowu ku oknu.

– Nie, nie powinien pan tak sądzić. Nie mogłabym tego znieść, gdyby ktoś za mnie... – wzdrygnęła się. – Boże, jakie to jednak wszystko okropne.

– Okropne – powtórzył bezdźwięcznie – bardziej nawet okropne, niż pani myśli – nie wyjawiał jednak co miał na myśli, wypowiadając te słowa.

Kate nie domyśliła się. Nie podejrzewała ani na chwilę, w jakim kierunku biegły myśli Czarnego Johna.

– Niech pan słucha dalej. Otóż, jeden z detektywów sędziego Granta znalazł pański rewolwer...

– Znalazł jednak? A ja byłem tak pewny...

– To podobno bardzo zdolny detektyw. Od razu doszedł do wniosku, że nie pan zastrzelił

Macphersona. Mam wrażenie, że przez pewien czas żywił podejrzenia na temat mojej osoby. Przeprowadził rewizję na farmie. Konferował z kucharką. Znalazł poplamione krwią pantofelki i rewolwer. Na szczęście bezpośrednio potem zobaczył na palcach niejakiej Emilii Murray, zdaje się narzeczonej Calverta, pierścionki zrabowane Macphersonowi. Aresztowano ją. Powiedziała od razu, od kogo otrzymała ten prezent. Policja oczekiwała w jej mieszkaniu na Calverta. Niedługo zresztą. Calvert był tak ograniczony, że bez trudu wpadł w zastawioną pułapkę. Z początku wypierał się w żywe oczy, później zrezygnował i powiedział prawdę. Wtedy, gdy pana porwano z więzienia, było już wiadomo kto zastrzelił Macphersona, choć Calvert przebywał na wolności.

– Czy wie pan, kto zorganizował to całe porwanie? – spojrzała na niego pytająco?

John przymknął oczy.

– Tak, wiem – powiedział nieco sennie – ale to już mój osobisty rachunek do wyrównania.

Zmęczone brzmienie jego głosu przeraziło Kate.

– Boże! – spojrzała z niepokojem na pobladłą twarz Johna – jaka ja jestem, żeby pana tak męczyć.

– Ależ nie, skądże znowu...

– Doktor Harvey miał rację, że mnie nie chciał do pana dopuścić.

– Ooo! – zaprotestował – nie miał racji, chciałbym jeszcze wiedzieć, w jaki sposób...

– Tss – przyłożyła paluszek do ust – na dzisiaj koniec konferencji. Teraz musi pan zasnąć.

Jutro odpowiem na wszystkie pytania.

Usłuchał bez sprzeciwu. Naprawdę czuł się bardzo słabo.

Nazajutrz jednak ani słowem nie zahaczyli o ponurą sprawę morderstwa. Choć rozmawiali dość dużo. Niemal bez przerwy. Ale mieli tyle innych tematów do omówienia. Bardziej słonecznych.

W sobotę, przy porannym badaniu pacjenta, doktor Harvey pogwizdywał wesołego marsza. Niezbyt melodyjnie, ale za to głośno.

– No chłopcze, all right. Może w poniedziałek pozwolę ci na chwilę opuścić łóżko.

– W poniedziałek? – John zamyślił się głęboko. Nie były to widocznie wesołe myśli, bo twarz jego spochmurniała.

– Cóż to? – ofuknął go doktor – zamiast skakać do góry z radości, jakieś grymasy? Nie jesteś zadowolony, że cię wyciągnąłem z tego całego świństwa?

– Ależ oczywiście... – zdobył się na imitację uśmiechu – żeby pan doktor wiedział jak bardzo mu jestem wdzięczny za jego starania... i za ocalenie... Gdyby doktor Harvey wiedział naprawdę, nie miałby specjalnych powodów do zadowolenia.

Kate przyniosła pęk róż z własnego ogródka.

– Na intencję pańskiego wyzdrowienia.

John schował twarz w pachnące oszalamiającą wonią, jedwabiste płatki. Na duszy mu było ciężko. Szuler i córka szeryfa Blythe'a? Nonsens. Okres świetlistych, pełnych szczęścia dni dobiegał końca. Nadciągał mrok samotnej męki. Trudno. Musi postąpić właśnie tak, żeby tam nie wiem co... Choćby serce rwało się w strzępy z bólu. Dla niej... dla Kate. Cóż bowiem poza nią i jej szczęściem mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie?

Po południu Kate miała poważną rozmowę z ojcem.

– Tatusiu... widzisz, ja... czy miałbyś coś przeciwko temu, gdybym wyjechała?

Szeryf popatrzył na nią badawczo.

– Hm... chciałabyś wyjechać?

– Tak... bo... – pomimo zdecydowania, przeprowadzenie rozmowy nie należało do łatwych zadań.

– Cóż... pewno nie sama? I pewno do farmy Houston?

Dla szeryfa rozmowa ta nie była niespodzianką. Należał do ludzi posiadających głęboką mądrość życiową i nie mógł nie dostrzec, co się dzieje w sercu Kate.

Niedopuszczony przez doktora Harveya do łóżka Johna, Hamilton zanudzał szeryfa rozmowami o swym zbawcy. O farmie Houston i wspaniałym losie, jaki oczekiwał Johna jako zarządcę majątku Hamiltona.

– To nadzwyczajny człowiek, szeryfie – wierceł dziurę w brzuchu zachwyty na temat zalet protegowanego – gdyby pan widział, jak on wtedy w gospodzie „Pod Złotym Lwem”... Ani brwią nawet nie poruszył, gdy mi ocalił życie... a później... i wreszcie teraz... czy kto inny byłby zdolny do...?

Szeryf słuchał z rezygnacją, choć w końcu znał już to wszystko na pamięć. Nie chciał jednak zrażać sobie Hamiltona, który posiadał w okolicy wielki wpływ w kołach handlarzy bydła. A w czasie wyborów każdy głos miał swoje znaczenie.

Toteż, gdy Kate wspomniała o wyjeździe, wiedział od razu co mianowicie miała na myśli.

– Więc – powtórzył – do farmy Houston? Z... nim? Popatrzyła mu odważnie w oczy.

– Tak, tatusiu... z nim... a czy do farmy Hamiltona? Tego już nie wiem. Wyjedziemy wszędzie dokąd będzie chciał...

– O! – podsunął jej fotel – siadaj... więc aż tak bardzo? Gdzie Kajus... i tak dalej?

Splotła palce.

– Bardzo, tatusiu – potwierdziła odważnie.

Sumował w myśli bilans. Szuler. Nawet nie wiadomo, jak brzmi jego prawdziwe nazwisko. Musiał posiadać paskudną opinię. To wszystko niewątpliwie minusy, ale protekcja Hamiltona... Stanowisko zarządzającego jego majątkiem z zawrotnym uposażeniem... No i ta historia z nieudanym linczem, łącznie z przyległościami... Wyjdzie z tego na coś w rodzaju bohatera, to znów plusy. W rezultacie saldo nie wypadło tak tragicznie. Jeżeli jeszcze do tego wyjadą na

pewien czas.

– Tak... – pyknął z fajki – a jeżeli powróci do kart?

– Nie powróci...

Szeryf nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Tak bardzo jesteś go pewna?

– Jestem pewna. Jego... i siebie.

Roześmiał się.

– Brawo córeczko, tak to rozumiem. Już widzę tego awanturnika, jak siedzi pod pantofelkiem... No... omówiliście pewno wszystko dokładnie między sobą?

Zawahała się.

– Nie... nie rozmawialiśmy na ten temat. Bo...

– Ładna historia! – udał przerażenie – więc ty pierwsza masz zamiar prosić go o rękę? A jeżeli cię nie zechce?

– Widzisz tatuśku... to jest tak... czasami nie potrzeba słów. Ja i bez nich wiem, że zechce.

– Cóż – szeryf wypuścił kłęb dymu z fajki – skoro tak już postanowiłaś... chciałbym jednak z nim jeszcze porozmawiać.

– Dobrze tatusiu... może w poniedziałek? Bo doktor Harvey mówił...

– Niech będzie w poniedziałek.

Szeryf nie był specjalnie zmartwiony wyborem Kate. Rzeczywiście chłopak ostatnio zachowywał się jak należy. Pokazał charakter. A że tam przeszłość? Kto jej nie ma. On sam przecież nie od kolebki był szeryfem. A za czasów młodości rozmaicie się zdarzało.

W poniedziałek wiele osób chciało rozmawiać z Czarnym Johnem.

Przed południem zapowiedział urzędową wizytę sędziego Grant.

– Podobno wie, kto zorganizował ten cały lincz. Wyduszę z niego. Chciałbym tamtego typka przyskrzynieć. Nie ja jeden zresztą. Wyższe instancje napierają, że aż strach. Sprawa nabrała zbyt wielkiego rozmachu, a niektórym to poszło w smak.

Nie wspominał przy tym, że najbardziej naciskał go sam gubernator Glenarvan. Popołudnie też miało być szczerze wypełnione wizytami.

Obskoczony przez gromadę reporterów doktor Harvey nie wytrzymał koncentrycznego ataku i skapitulował.

– No dobrze, ale na kilkanaście minut najwyżej. Sam będę pilnował – zapowiedział groźnie.

Ale w poniedziałek nie doszło do żadnych rozmów. W niedzielę rano, gdy doktor Harvey wrócił z wizyt lekarskich, zastał łóżko Czarnego Johna puste. Nie było go też w pokoju. Ani w szpitalu. I co ciekawsze, nikt z personelu nie miał pojęcia, w jaki sposób pacjent się ulotnił.

Doktor był przerażony.

– Przecież jutro miał dopiero wstać po raz pierwszy z łóżka. I takiemu zachciewa się

wycieczek. Padnie chłop gdzie na ulicy i tyle...

Kate pochlipywała cicho po kątach. Zdawała sobie sprawę, jakie były motywy Johna. Ale nie mogła się z nimi pogodzić.

Szeryf, widząc coraz głębsze cienie na twarzy córki, próbował ją pocieszyć.

– Nie martw się, malutka, wróci. Pewno miał jaką osobistą sprawę do załatwienia i dlatego...

Sam jednak nie bardzo wierzył w swoje słowa.

Reporterzy biegali na wszystkie strony. Nadprogramowa sensacja. Jeden przyłapał gdzieś Hamiltona. Próbował z niego wyciągnąć jakieś informacje. – A może go znowu porwali?

Rzucone na chybił trafił pytanie wywołało całkiem nieoczekiwany skutek. Poczciwy Hamilton przeraził się nie na żarty i pogalopował z miejsca do sędziego Granta.

– Panie sędzio – biadał – jego pewno znowu porwali, ci, co wtedy! Grant wzruszył ramionami.

– Zawracanie głowy, mister Hamilton. Nikt go nie porwał. Po prostu chłop wziął na ambit i dlatego zniknął.

## XXVIII

Rzeczywiście niewiele brakowało, by upadł na ulicy w odległości zaledwie paru jardów od szpitala. Zatoczył się potężnie i, gdyby nie natrafił na opiekuńczą podpórę jakiegoś muru, upadłby niewątpliwie na ziemię. Stał dłuższą chwilę, spazmatycznie łykając powietrze. Przeliczył się z siłami. Zaciśnął zęby.

...Trudno! Tak trzeba. Dla niej. – Później już nie zdołałby ruszyć w samotną wędrówkę. Każda chwila spędzona z Kate przykuwała go do niej coraz mocniejszymi więzami uczucia. I tak serce spłynęło żywą krwią, gdy postanowił te więzy zerwać...

Wspierając się o przydrożne drzewa, o płoty, o wszystko co tylko mogło służyć za podpórę, ruszył dalej.

Była to piekielna droga. Zanim minął ostatni podmiejski domek, zaczynało już świtać.

Dzień spędził w jakiejś niezbyt strzeżonej stodole, wieczorem znowu podjął podróż w nieznane.

Skreślił w bok od uczęszczanych szlaków. Bezludne ścieżki bardziej odpowiadały stanowi jego ducha. Szedł powoli, bez celu. Aby przed siebie, aby jak najdalej od Cleveland. Aby odciąć sobie drogę powrotu.

Któregoś dnia wieczór zastał go w szczerym polu...

Zaczął się już szykować do noclegu pod gołym niebem, gdy niespodziewanie ujrzał na skraju ciemnej linii lasu żółtawe światelko. Zanosiło się na deszcz. Brnął więc w kierunku światła. Ujawszy w rękę kij, oczekiwał ataku psów. Na szczęście nie pojawiły się.

U koślawego płotu parskają kilka uwiązanych koni. Widocznie była to gospoda. Liczył raczej na leśniczówkę albo chatę drwala.

Tam łatwiej byłoby o nocleg, i nikomu by nie przyszło na myśl żądać pieniędzy za gościnę.

...Gospoda? – przystanął niezdecydowanie. W gospodach niechętnie widują goście, których całym majątkiem jest kawałek czerstwego chleba. Prosić o darmowy nocleg jak o jałmużnę? Okropnie nie lubił prosić, dotychczas starał się tego unikać. Z nadciągających chmur spadły pierwsze krople deszczu. Pomimo to miał już zamiar odejść, gdy uwagę jego zwróciła drabina, prowadząca na otwarty stryszek. Teraz już się nie wahał. Bezszelestnie przemknął po szczeblach i za chwilę zapadł w miękkie pachnące siano. Po dachu zabębniły pierwsze krople deszczu.

Zasnął niemal natychmiast. Był piekielnie znużony.

Obudziło go głośnie przekleństwo. Podniósł głowę. Czyżby ktoś odkrył jego schronienie? Na stryszku panowała jednak cisza.

Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że kilka podniesionych głosów dobiega poprzez niezbyt szczelnie ułożone deski, stanowiące podłogę stryszku.

– Dc diabła – zaklął ktoś na całe gardło, ale było to raczej wyrażenie zachwytu, niż gniewu.–



Pół miliona, powiadasz?

– Jeżeli nie więcej...

Drgnął ze zdumienia, zaczął pilnie nad słuchiwać. Ten nosowy, charakterystyczny głos?

– Pomyśl... Farmerzy złożyli po zbiorach całą gotówkę. John nie miał najmniejszej wątpliwości. To był głos Blewetta... Przyłożył ucho do podłogi. O jakim pół milionie radzi z nieznanym mister Blewett? Do rozmowy wtrącił się ktoś trzeci:

– Tak... Ale szeryf Blythe?

Głos Blewetta brzmiał niecierpliwie.

– Czyż za każdym razem mam każdemu z was oddzielnie opowiadać wszystko od początku? Przecież mówiłem, że Blythe jest na urlopie. Siedzi w Toledo i obrabia kampanię wyborczą.

– Nie pyskuj! Skąd niby mam wiedzieć o tym wszystkim, skoro nie byłem obecny, gdy cały interes obgadywaliście?... A zastępca Blytha'a?

– Harry? To nasz człowiek. On i paru innych z policji. Będzie kosztowało ładny grosz, ale za to w momencie akcji Harry upozoruje jakiś napad czy coś w tym rodzaju w drugim końcu miasta i ściągnie tam całą policję. Pójdzie jak po maśle. Kasjer tak się przerazi w momencie napadu, że zapomni zamknąć kasę.

– Skąd niby wiesz, że się przerazi?

– On też już wie o tym. Coś niecoś mu za to kapnie. A najlepszy kawał z Blythem... Złożył w kasie grubszą gotówkę, to go obierzemy do nitki... Pomyśl! Szeryfa! – roześmiał się chrapliwie.

– No – brzękło szkło – za powodzenie!

Czarny John zapomniał o zmęczeniu. Ładna historia! Blewett wraz ze swoimi kompanami zamierza ograbić bank w Cleveland, bo tam przecież jest szeryfem Blythe, a jego zastępcą Harry. I zrabować majątek ojca Kate!

Na dole znowu zabrzmiały głosy:

– Więc punktualnie kwadrans po ósmej?

– Tak – znowu odpowiadał Blewett. Widocznie był przewodnikiem spisku.

– Jutro o ósmej piętnaście. Jak tylko rozpoczną urzędowanie. No i gdy zdążą otworzyć kasy! – zarechotał. – Pamiętajcie. Każdy ma robić to co przewidziane w planie. Żeby nie wyszedł jakiś bałagan!

Jeszcze rozmawiali dalej, John jednak już nie słuchał. Za wszelką cenę trzeba przeszkodzić w napadzie. Ba, ale jak? Rozmyślał z natężeniem. Sytuacja nie wyglądała zbyt różowo. Sam jeden, bezbronny, w dodatku pozbawiony konia... A do miasta ładnych parę mil. Nie ma mowy, by zdążył na czas. Zatelefonować? Do kogo, skoro Blythe'a nie ma, a jego zastępca sam należy do bandy?... Nagle przyszedł mu na myśl sędzia Grant...

...Tak, ten powinien coś poradzić. Tylko okropnie mało czasu...

Powoli w umyśle zaczął się zarysowywać plan działania. Przede wszystkim należało zdobyć konia. Bez tego był unieruchomiony beznadziejnie...

Gdyby tak któregoś z tych uwiązanych u płotu? Aby tylko nie odjechali przed czasem. Znowu przyłożył ucho do podłogi. Szkło brzęczało. Głosy chrypiły. Coraz częstsze wybuchy śmiechu. Wybuchy śmiechu. Piją! Żaden odgłos nie wskazywał, by przygotowali się do drogi. Przeczekał dłuższą chwilę, drżąc z niecierpliwości. Ale rozsądek nakazywał czekać. Czym więcej wchłona w siebie alkoholu, tym lepiej. Gwar na dole wzrastał.

...Chyba nie powinni usłyszeć. Czas...

Podniósł się ostrożnie. Zapiął bluzę na wszystkie guziki. Zaciągnął pasa. W takich przedsięwzięciach każdy nawet najmniejszy drobiazg może decydować o szansach powodzenia. Miał w tym niejaki doświadczenie. Pamiętał o historii Manglesa. Chłop zaczepił rozpiętą bluzą o jakiś wystający sęk i koniec. Całkiem zresztą paskudny koniec...

– No, tak – zasadził starannie koniec pasa za rzemyk. – Teraz wszystko w porządku.

Przezołgał się ku wyjściu. Aby, broń Boże, nie skrzypnęła któraś z luźnych desek podłogi... Bo wtedy... Na szczęście nie skrzypnęła. Żeby jeszcze kawałek rewolweru w garści... No, trudno. W razie czego muszą wystarczyć gołe pięści...

Ostrożnie zjechał po drabinie. Któryś szczebel zatrzeszczał pod stopą... Zamarł w bezruchu, nadsluchując z niepokojem. Gwar we wnętrzu nie zmienił napięcia. Odetchnął z ulgą, ruszając dalej.

Najtrudniejsza część zadania była jeszcze przed nim.

Deszcz lał bez przerwy. Powoli szedł naprzód, badając końcem buta grunt, zanim postawił całą stopę. I tak błoto plaskało niepokojąco.

Z daleka ominął plamy światła, połyskujące na wilgotnej ziemi. Na ich tle mógł łatwo zostać zauważony przez okno.

Wreszcie dotarł do płotu.

Zdrętwiał. Koni nie było. Doskonale pamiętał miejsce, gdzie stały przedtem uwiązane. Teraz była tu pustka i cisza.

Oparł się o płot, rozmyślając gorączkowo. Gdzież, u licha, mogły się podziać, skoro nikt nie odjeżdżał?

– Ach, tak... deszcz... Zaprowadzono je pewnie pod dach... Ale dokąd?

Rozejrzał się bezradnie... Zamazana linia płotu ginęła w ciemnościach. Ale stajnia? Zarysy budynku musiałyby jednak pomimo ciemności dojrzeć. A zresztą... Cóż... Tak czy inaczej konie nie ulotniły się przecież w powietrzu...

Ruszył po omacku, dotykając od czasu do czasu dłonią wilgotnej powierzchni krzywo osadzonych bali. Aż do bólu wyteżał wzrok, usiłując przebić nim gęstą zasłonę mroku.

Po kilkunastu krokach tej wędrówki przystanął. Wyglądało, jakby tuż na wprost niego

ciemność gęstniała jeszcze bardziej.

...ściana? – Wyciągnięta ręka natrafiła na coś twardego.

Po chwili nie miał już wątpliwości. Nie tylko ściana, ale właśnie poszukiwana stajnia. Odgłosy parskania i walenia kopytami świadczyły o tym niezbitcie.

...Ba, ale gdzie wejście? – prowadząc końcami palców po chropowatym drzewie obszedł ścianę wokół.

Na ziemi zamigotała wąziutka smuga światła. A więc nie zamknięte!

Wstrzymując oddech podszedł ku uchylonym nieco drzwiom. W nozdrza uderzył zapach tytoniowego dymu. Ktoś jest wewnątrz. Zajrzał. Musiał zmrużyć na sekundę powieki. Światło lampy uderzyło boleśnie w przyzwyczajone do ciemności oczy. Gdy znowu spojrzął, zobaczył szerokie plecy i tył głowy porośniętej skołtunionymi włosami.

Posiadacz ich siedział na pękatym worku, tyłem do wejścia.

John nie namyślał się długo. Musiał mieć konia za wszelką cenę. Sprężył mięśnie do skoku. W tym momencie pod podeszwą Johna trzasnęła jakaś nieostrożnie nadepnięta gałązka. Odgłos zabrzmiał w panującej dookoła ciszy z mocą wystrzału.

Siedzący na worku mężczyzna odwrócił powoli, jakby z wahaniem głowę. Na widok stojącego w wejściu Czarnego Johna, w oczach zamigotał wyraz bezmiernego zdumienia.

– Co? – Mięśnie jego prawej ręki drgnęły instynktownym odruchem.

Zanim jednak zdołał pomyśleć o jakiejś świadomej akcji, John skoczył.

Wyciągnięta pięść, poparta ciężarem całego ciała, palnęła z rozmachu w szczękę. Wyrzucony siłą uderzenia z siedzącej pozycji, podskoczył parę cali w górę, potem ciężko runął na słomę, zaścielającą podłogę stajni.

John popatrzył krytycznie na swoje dzieło. Wyglądało, że leżący przez dobre kilkanaście minut nie będzie mógł interesować się sprawami doczesnymi.

Nagle drgnął z radości. Oparty o belkę, stał wspaniały szybkostrzelny karabin, a obok leżała skórzana ładownica. Błyskawicznym ruchem porwał broń, sprawdzając mechanizm. Na szczęście znał ten system. Automatyczna dziesięciopistoletowa... w ładownicy tkwiło w skórzanych przegrodach sześć magazynków.

Teraz, gdy miał karabin w rękę, sytuacja uległa zmianie. Opanowała go pokusa, by sterroryzować tamtych w chacie, powiązać jak barany i zaprowadzić prosto do więzienia. Zamyślił się. To nie byłoby nawet takie trudne do wykonania. Zaskoczyłby ich zniecka... Są pewno już mocno pod gazem, jeżeli piją w dotychczasowym tempie.

Policzył konie. Cztery. Wobec tego, w chacie na pewno jest ich także czterech. Albo trzech, jeżeli wartownik przyjechał także z nimi. Ale właśnie w tym sęk. Wykluczone, by w tak szczupłej gromadce, ryzykowali wykonać napad na bank w środku miasta. Nawet takiego jak Cleveland. Pozostali mają prawdopodobnie przybyć na miejsce akcji skąd indziej. W tych

warunkach unieszkodliwienie tych w chacie nie miałoby żadnego celu. Szkoda czasu.

Bacznym okiem przesunął po koniach. Chyba ten czarny najlepszy? Zresztą nie było nad czym się zastanawiać. Pewność i tak uzyska dopiero w drodze. W każdym razie wszelkie zewnętrzne pozory przemawiały właśnie za czarnym.

## XXIX

– Telefon? Owszem... Połączenie z Cleveland – poszperał w zatłuszczonej książce – dwa dolary dwadzieścia centów. Oczywiście płatne z góry. Połączenie telefoniczne to towar niepraktyczny. W razie niezapłacenia, nie zdołam odebrać z powrotem – oberżysta zaśmiał się zachwycony swoim własnym dowcipem – Co? Na kredyt? Także coś! – parsknął ironicznie. – A czy mnie poczta kredytuje? Nie, mój panie. Tego rodzaju transakcje załatwiam tylko za gotówkę.

Czarny John zagryzł niecierpliwie wargi. Idzie jak z kamienia. Musi przecież telefonować do Granta, żeby tam nie wiem co. Gdyby oberżysta był sam, zaryzykowałby wymuszenie połączenia groźbą karabinu. Jednak po brudnej sali snuło się pomimo wczesnej pory paru podejrzanych drabów. Poszperał po kieszeniach. Nic. Pustka absolutna.

Trudno. – Zsunął z palca pierścień, który nosił kamieniem do wewnątrz.

– Może to przyjmiecie w zastaw?

Oberżysta zważył w brudnych palcach pierścień. Na misternie ryty w diamencie herb nie zwrócił najmniejszej uwagi. Nie znał się na tym...

– No... – wydał wargi. – Ostatecznie pójdę na to. Ale jeżeli w ciągu trzech dni najdalej nie zwrócisz mi trzech dolarów, pierścionek mój.

John stłumił westchnienie. Od niepamiętnych czasów pierworodny w jego rodzinie nosił ten sygnet na palcu. Cóż począć?

– Niech będzie – machnął ręką. – Łączcie wreszcie.

Na połączenie nie czekał zbyt długo. W mikrofonie zatrzeszczał obcy zupełnie głos.

– Sędzia Grant? Nie. Nie ma go. Wyjechał z raportem do gubernatora.

– A... a kiedy wróci? – pytał gorączkowo John.

– Jutro wieczorem, a najpóźniej...

– Kto go tymczasem zastępuje? – Johna nie obchodziło ani trochę, co będzie jutro wieczorem. W tej chwili nie obchodziło go nic, co dotyczyło okresu czasu poza ósmą piętnaście dzisiejszego dnia.

– Nikt specjalnie. Jeżeli jakaś bardzo pilna sprawa, to polecił zwracać się do szeryfa Harriego...

– Harriego? Dziękuję – bezradnym ruchem odwiesił słuchawkę. Ładny gips. Harry. To zupełnie tak samo, jakby wołać wilka na ratunek zagrożonej owczarni.

...I co dalej? – utkwiał bezmyślny wzrok w poobłupywanej skrzynce telefonu. – Blythe wyjechał. Grant wyjechał. Harry i policja należą do bandy? – Spojrzał na upstrzony przez muchy cyferblat wiszącego na ścianie zegara.

– Dobrze idzie?

Oberżysta wzruszył ramionami.

– Jak mu się trafi. Kwadrans mniej, kwadrans więcej. Nikogo to nie ziębi. Do pociągu stąd za daleko.

Piąta czterdzieści pięć. Dwie i pół godziny. Dwie na drogę, pół pozostaje w zapasie. Może zdąży coś w tym czasie zorganizować w mieście. Ruszył pośpiesznie ku wyjściu.

– A kwitu na pierścionek nie chcecie? – wołał za nim oberżysta.

– Do diabła z kwitem! – Wskoczył na siodło.

Czarny szedł wcale nieźle. W tym wypadku wygląd zewnętrzny nie oszukał.

Popędzał go ustawicznie. Prędej! Prędej! Nieufnie zerkał na milowe kamienie. Cholernie daleko.

Brak zegarka działał na Johna specjalnie denerwująco. Czort wie, która godzina. W czasie drogi nie przestawał rozmyślać nad sytuacją. No, dobrze, przyjedzie do miasta, a co potem? Zorganizowanie jakiejś akcji wymaga czasu. Zresztą nikt na jego pierwsze słowo nie poleci do banku. Nie znają go. A jeżeli znają, to z nienajlepszej strony. Jako o mały włos powieszono opryszka. Marnie! A znów biegać po obywatelach, posiadających wkłady w banku. Ci byliby pewno bardziej czuli na wezwanie. Ale skąd dowiedzieć się, kto ma akurat wkłady? I gdyby się nawet dowiedział, zanim zdąży ich uprzedzić i coś zmontować, będzie już na pewno po wszystkim. Na nic. Więc jak postąpić w takim razie... Głowił się gorączkowo.

Nagle, na którymś z mijanych domów mignęła kwadratowa tablica: „Police Office”. Ściągnął cugle. W umęczonym mózgu błysnęła myśl: Policja. W tej zapadłej dziurze na pewno nie ma kontaktu z bandą. Na co mogliby być jej potrzebni? Jakichś dwóch, a może i trzech uzbrojonych chłopców. Gdyby im przedstawić całą sprawę? Jeżeli by chcieli pojechać razem, sprawa w połowie wygrana. Czterech to niejeden. A może wymyślą jakieś inne rozwiązanie...

Uwiązał konia do furtki. Zastukał. Żadnej odpowiedzi. Drzwi ustąpiły. W małej, zadymionej izbie siedział przy stole jakiś cherlak w mundurze i chrapał nieoczekiwanie silnym basem, aż szyby w oknach drżały.

John spojrzał na niego z powątpiewaniem. Jeżeli i reszta z miejscowej siły zbrojnej reprezentuje się w ten sam sposób, ewentualna pomoc wyglądała dość problematycznie.

Trwało bodaj parę minut, zanim zdążył rozbudzić policjanta. Znacznie więcej czasu musiał zużyć, by mu wytłumaczyć, o co chodzi.

– Co? – wytrzeszczał oczy, ziewając na całe gardło – napad na bank? W Cleveland... No, Cleveland nie należy do naszego okręgu... Aha, chodzi o uprzedzenie... No, to... w porządku! – wpadł nagle na zachwycający precyzją pomysł. – Trzeba zadzwonić do szeryfa! – Sięgnął po słuchawkę.

John powstrzymał go łapiąc za rękaw wyblakłego munduru.

Policjant jednak ani rusz nie mógł zrozumieć, dlaczego ma zaniechać rozmowy z szeryfem.

– Przecież mówiliście, że napad ma mieć miejsce w Cleveland... więc trzeba do szeryfa... Co? – łypnął okiem, nie można? A dlaczego niby nie można? Szeryf w zмовie?... – Aż podskoczył na krześle. – Bzdury... Gadajcie komu innemu! Szeryf Blythe w zмовie z bandytami? Ach tak... Na urlopie. No to wszystko jedno. Szeryf to szeryf. Harry też wystarczy.

W końcu rozzłościł się nie na żarty, łypiąc podejrzliwym okiem na Johna. – A wyście co za jeden, żeby gadać takie rzeczy? Nie ma znaczenia? Jak dla kogo. Dla mnie ma! Rozumiecie... Więc gadajcie! Nie? Dobrze. Zaraz zapytam szeryfa, coście za ptaszek... Pewno was zna, jak zły szeląg i dlatego...

Pomimo sprzeciwów Johna przyłożył słuchawkę do ucha.

– Halo. – kręcił zajadle korbką. – Halo! Proszę o Cleveland. Kancelaria szeryfa...

John skoczył na równe nogi.

– Odłóżcie słuchawkę. – warknął.

– Ach, tak? – policjant nagle wstał. – Siadać! Jesteście aresztowani!

Sięgnął do otwartej pochwy. Ręka jego pełzła jednak z powolnością ślimaka. Zanim wykonała połowę zamierzonej drogi, runął na ziemię uderzony w głowę wyrwaną z jego własnej ręki słuchawką telefoniczną. Runął tak gwałtownie, że John zaniepokoił się nie na żarty.

– Czyżbym przypadkiem zakatrupił tego nieboraka? – przyłożył ucho do zapadniętej piersi.

Odetchnął z ulgą. Serce biło słabo, ale równomiernie.

Oderwał słuchawkę od aparatu i schował do kieszeni. Minie dłuższy czas, zanim ten gamoń znajdzie sposób rozmawiania bezpośrednio za pomocą drutu. – No, a teraz trochę ci ulżę ciężaru... Wyjął z pochwy leżącego rewolwer i naboje.

Rozejrzał się po izbie. Na ścianie czerniał dziwny kształt ręcznego karabinu maszynowego.

– Przyda się – przewiesił go sobie przez ramię. Parę zapasowych dysków z nabojami wsadził do kieszeni bluzy.

Drugi rewolwer znalazł w szufladzie biurka. Zatknął go za pas obok pierwszego. W otwartej skrzynce czerniały niewielkie metalowe przedmioty w kształcie jaja.

– Granaty policyjne systemu Millsa! Także nie zawadzą – włożył kilka sztuk do bocznych kieszeni.

Z prawdziwym żalem popatrzył na pozostałe. A gdyby je także zabrać?

– Nie, westchnął, nie da rady. I tak jestem objuczony bronią jak bojowa dywizja. Czarny pewnie pęknie pode mną na dwie części...

Przez nikogo nie zatrzymywany dotarł do furtki.

– Musi być piekielnie późno – z trudem wgramolił się na siodło. Wierzchowiec, jakby nie czując dodatkowego ciężaru, ruszył różnym galopem.

### XXX

Stojący na skrzyżowaniu ulic policjant przesunął obojętnym wzrokiem, po obładowanej postaci jeźdźca i dyskretnie odwrócił głowę w inną stronę.

– Musi być w zмовie z bandytami – skonstatował w duchu Czarny John, przynaglając konia do szybkiego biegu.

Przejeżdżając obok sklepu zegarmistrza stwierdził, że brakuje zaledwie paru minut do wyznaczonego przez Blewetta terminu.

Przed bankiem krążyły jakieś podejrzone figury. Poza tym na ulicy było pusto.

Na nadjeżdżającego spojrzano w pierwszej chwili niepewnie. Sądząc po broni, należał do bandy. Nikt jednak nie znał przybysza.

John zeskoczył z konia i wbiegł szybko do hallu.

W tej samej chwili zza węgła wypadł drugi jeździec w masce na twarzy.

– Walić w niego! – nosowy głos zabrzmiał wysokimi, graniczącymi z histerią tonami – to łapacz!!

Rozległy się wrzaski. Buchnął pojedynczy strzał, potem zagrzmiała cała salwa. Z cienkim brzękiem posypały się odłamki szyb.

Przed wejściem zaczerniały liczne postacie, poprzedzane rozkwitami ognia. John błyskawicznym ruchem zerwał karabin maszynowy z ramienia i naciskając spust, poprowadził ruchem wahadłowym lufę.

– Tak... tak... tak... – zatrzeszczały miarowo małokalibrowe naboje. Przed wejściem zakotłowało się. Wrzaski i przekleństwa wybuchły z niesamowitym natężeniem, przerywane czyimiś jękami. Po chwili przed wejściem było pusto. Tylko parę znieruchomiałych na jezdni postaci wskazywało, że nie wszystkie pociski padły w próżnię.

Teraz przez wielkie okna wleciał grad kul, głucho cmokając o ściany. Kilka z nich gwizdnęło przeciągle tuż koło uszu Johna. Zaczynało się robić gorąco...

Przesunął szybkim spojrzeniem po hallu, szukając jakiejś osłony... w głębi, pod ścianą, dojrzał połyskującą powierzchnię marmuru. Długa, kamienna lada. Nie wiadomo w jakim celu ją tu postawiono. W każdym razie teraz mogła odegrać rolę potężnego szańca.

Przyginając się ku ziemi wśliznął się za kamienny parapet. Przykleknąwszy wystawił na zewnątrz lufę maszynowej broni. Siedział jak w fortecy: przy zachowaniu pewnej ostrożności mógł dość długo trzymać napastników w szachu. Szczęk... Dysk wypluł swój ostatni nabój. Założył nowy, zaprzestał jednak strzelania. W tych warunkach nie było mowy o jakimkolwiek mierzeniu, a tamci niewątpliwie lada chwila przystąpią do ataku. Trzeba oszczędzać amunicję, by w decydującym momencie móc powstrzymać ich dostatecznie silnym ogniem. Tamci strzelali bez przerwy... Obłupane kulami kawałki tynku spadały z suchym szelestem na posadzkę.



Zawarczał motor samochodu. Interwencja Czarnego Johna przyspieszyła początek akcji, jednak brakujące ogniwa przybywały w oznaczonym czasie. Niby trzask rozdieranego arkusza blachy zabrzmiała seria z ciężkiego karabinu maszynowego. Pociski padały z góry na dół, uderzając w ścianę poza plecami Johna. Ukośną smugą przelatywały ponad parapetem. Walily w blat kontuaru, odłupując drzazgi marmuru.

John przylgnął całym ciałem do kamienia. Niedobrze... jeżeli teraz zaczną atak?

Właśnie zaczęli. W drzwiach zaczerniało. John pociągnął za spust. Dziwnie niepozornie w bezustannym grzechocie zapukał jego karabin. Coś przejechało po wierzchu dłoni aż do kostki, parząc dotkliwie.

Zaklął. Nie musiało to jednak być nic poważnego, skoro nie utracił władzy w palcach.

W drzwiach jednak nie przejaśniło się. Co u licha? Przecież wygarnął całą serię i nie mógł spudłować.

Musiał wyrzeć. Przedsięwzięcie nie wyglądało zbyt zachęcająco, ale...

Ostrożnie wysunął głowę ponad parapet. Zapiekło w prawym policzku. Diabli nadali. Pociski wściekle gwizdały koło głowy.

Dlaczego tamci nie rejterują od drzwi?

Założył nowy dysk.

Co to? Nie rozróżniał poszczególnych postaci. W drzwiach matowiał ciemno zielonym kolorem prostokątny kształt. Kule z metalicznym dźwiękiem odskakiwały bezsilnie od stalowej płyty. Szli naprzód pod osłoną pancerza. W tych warunkach karabin Johna nie przedstawiał większej wartości od dziecinnej zabawki. Pancerz sunął naprzód. Już byli w przedsionku. Zamontowany widocznie na samochodzie, a w każdym razie gdzieś na górze, karabin maszynowy słał ponad głowami atakujących serię za serią. I teraz kule nie latały na oślep. Coraz częściej obsypywały odcinek ograniczony kontuarem.

Widocznie określili dokładnie miejsce przebywania przeciwnika... John wciąż jeszcze strzelał, zdawał sobie jednak dokładnie sprawę z bezcelowości ostukiwania pancernej płyty.

– Co dalej?

Nagle przypomniał sobie tkwiące w kieszeni granaty.

Wyszarpnął bezpiecznik. Szeroki zamach ramienia...

Błysnął rozkwit ognia. Grzmotnęło... Nie tracąc czasu na sprawdzenie rezultatu, rzucił drugi. Oba huk i zwały się niemal w jeden.

Z blaszonym chrzęstem gruchnął na kamienne płyty posadzki pancerz...

Niby rozprysnięte echo zawtórowały odgłosom wybuchów zduszone przekleństwa i jęki. W drzwiach zajaśniała wolna przestrzeń.

Odetchnął z ulgą.

– No, jeszcze tym razem...

Przysiadł na podłodze pod osłoną kontuaru. Nad prawym łokciem w przedramieniu dokuczliwie rwało... Przesunął palcami: ciepła wilgoć. Trafili jednak. No, cóż, w tej ulewie pocisków, nie dziwota. Krew spływała dość obficie po rękawie... Marnie. Pomagając sobie zębami, przewiązywał przedramię mocno chustką. Poprzez rękaw. Nie było czasu na ściąganie bluzy. Musi i tak wystarczyć.

Karabin maszynowy przeciwników kropił bez wytchnienia.

Skoro jednak nie atakowali, należało uważać chwilę tę za przerwę.

I wykorzystać ją. Ułożył na podłodze pozostałe granaty. Tylko trzy sztuki. Z zalem pomyślał o pozostałych w skrzynce. Nie zawadziłyby teraz. Obok rewolwery. Sprawdził bębunki... W porządku. Szkoda, że trzeba było pozostawić w policyjnej izbie winchester. Trudno, nie udźwignąłby tego wszystkiego. Wyciągnął z kieszeni zapasowe dyski do karabinu maszynowego. Co? Tylko dwa? Niemożliwe! Czyżby pogubił po drodze?... Przesunął wzrokiem po rozrzuconych na posadzce czarnych krążkach. No tak, jeden pozostał poza kontuarem. Zgadza się, nie zgubił a powystrzelał. Skutek ten sam. Cokolwiek za hojnie... Trzeba na przyszłość oszczędzać.

Klapp... Ostra drzazga marmuru rozcięła jak brzytwa podbródek. Krew leciała ciurkiem. Nie tyle bolesne, co denerwujące...

Zdołał jakoś przykleić na zranionym miejscu kilka arkusików bibułki papierosowej. Niewiele pomogło, ale zawsze. Krew spływała teraz o wiele wolniej.

Zapalił papierosa.

...Ciekawe, czy mi go pozwolą skończyć.

Nie pozwolili.

Oślepiający błysk. Jeden... Drugi... Trzeci... Potworne huki wybuchów wstrząsnęły ścianami gmachu. Wielki kawał sztukaterii odpadł od sufitu... Zerwana siłą podmuchu z blatu kontuaru, marmurowa płyta wyrznęła o ścianę, rozpryskując się na drobne części.

Johna rzuciło na ziemię. Przez chwilę leżał, na pół ogłuszony. Gdy powstał znowu na kolana, w głowie huczał piekielny młyn. Z przeciętych zębami warg spływały powoli wielkie krople krwi.

To nie były petardy Millsa. Granaty użyte przez bandytów przypominały swą siłą raczej bomby.

Zacisnąwszy do bólu szczęki, przywołał na pomoc całą siłę woli... Musi przecież... Nie bardzo tylko zdawał sobie sprawę, co mianowicie musi.....Ach, tak! Bank... Bandyci... Pieniądze Kate... I Blewett...

Otępiały mózg pracował jak ślimak.

Gdy znowu wyrzwał ponad parapet, zamarł z przerażenia: korzystając z chwilowego zamilknięcia jego karabinu, bandyci zdołali wtargnąć do hallu. Niemrawym ruchem nacisnął na

cyngiel. Palce zaczynały dłaczegoś drętwieć. Biegący zamarli w miejscu, gdy automat niespodziewanie zaczął znowu siekać powietrze. Byli pewni, że uparty obrońca został już unieszkodliwiony na amen... Zanim poszli w szeroką rozsypkę, parę pocisków dotarło do żywego celu. Jeden klęknął, opierając plecy o ścianę.

Po chwili zamieszania głośnie rozkazy Blewetta przywróciły porządek ataku. Przygięci blisko ku ziemi, podchodzili ku ladzie, obsypując ją gradem kul z wielkokalibrowych rewolwerów.

John wyrżał. Obrona zaczynała wyglądać wprost beznadziejnie. Pociski z jego broni przenosiły wysoko ponad głowami atakujących. A szeroki blat kontuaru nie pozwalał kierować strzałów na niskie cele... Nie mógł już więc korzystać dłużej z kamiennego szańca.

Wychynał ponad ladę, strzelając bez przerwy.

Przy wejściu do sal bankowych mignęły jakieś postacie. Puścił w ich kierunku krótką serię. Rozprysnęli się, wrzeszcząc przekleństwa. Któryś zachwiał się gwałtownie na nogach.

John dał błyskawicznego nurka za ladę. Granaty! Jeden za drugim. Tam gdzie najgęściej. Błysnęło. Trójdźwięk wybuchu. Szybki tupot. Uciekali...

Nie wszyscy jednak zdołali uciec. Cztery drgające zvitki gałganów czerniały na ciemnoszarych płytach. Czerwone kałuże zamazywały wzór posadzki.

Wygarnął w plecy uciekających. Nagle karabin zamilkł. Języczek spustowy stawiał nieprzewyciężony opór. Nie pomogło szarpanie. Zacięło się coś w mechanizmie. Odrzucił bezużyteczną broń, sięgając po rewolwery. Gdy podniósł głowę, łupnęło go coś w wierzch czaszki. Aż przysiadł z powrotem. W głowie zawirowały strzępki poszarpanej mgły. Przed oczami migotały skomplikowane wzory. Hali chybotął się przed oczami w dół i w górę. Ale coś tam gdzieś tętniło ruchem. Nie mógł rozeznaczyć, co mianowicie. Wszystko jedno. Skierował lufy obu coltów w tamtą stronę. Rewolwery stały się raptem niezwykle ciężkie. Ciągnęły dłonie w dół. Nie... Musi... Jeszcze musi... Ktoś przecież w końcu nadciągnie z odsieczą...

Szarpnął za cyngle... Cisza. Ach, tak... Bezpieczniki!

Teraz gruchnęło soczyście. Nie zdawał sobie sprawy, czy trafia. Nie potrafił już w ogóle celować. Ot... tak... mniej więcej... Tam, gdzie ruch. A może obok? Strzelał...

– Tss – coś czarnego przeleciało ukosem przez całą szerokość hallu. John śledził kąciakiem oczu bieg czarnego przedmiotu. Granat. Leciał z piekielną precyzją prosto do kąta, w którym stał wciśnięty. Przefrunął ponad kontuarem. Usłyszał jeszcze stuk o podłogę. Potem gruchnęło, jakby cały świat miał runąć w posadach. Poderwało go ku górze. Gdy spadał, nie czuł już nic. Z grzechotem posypały się na niego gruzy z rozwalonej ściany. Wrzask triumfu nie trwał długo. Zawyły przeciągle syreny policyjnych aut. A potem na szerokiej ulicy przed Bankiem Spółdzielczym rozpełtało się nagle piekło.

## XXXI

Doktor Harvey patrzył bezradnie na krwawą masę, leżącą na stole operacyjnym. – I co niby mamy z tym zrobić? – mruknął do sławnego kolegi, który specjalnie na tę operację przybył z gubernialnego miasta.

Sława wyrecytowała zawiłą sentencję po łacinie. Ale minę miała mocno niewyraźną.

Operacja trwała przeszło dwie godziny bez przerwy. Wylawiali kule. Wyciągali nie wiadomo skąd odłupane kawałki kości. Pompowali krew, która wtargnęła tam, gdzie nie należy. Zszywali szerokie wyrwy w mięśniach... Obfity pot gęsto spływał pod muślinowymi maskami operatorów... Gdy wreszcie na wiotkich nogach opuszczali salę operacyjną, byli obydwaj zmęczeni jak po ciężkim, fizycznym wysiłku.

Doktor Harvey osunął się w miękki fotel. Z rozkoszą łykał dym ogromnego cygara. Zmarszczone brwi wskazywały na niezbyt wesołe myśli. Sława zapaliła wonnego papierosa.

– No... – przerwała wreszcie panujące w gabinecie milczenie. – I jak sądzicie, kolego?...

Harvey zerknął na niego ponuro.

– Nie dałbym trzech groszy za ten cały gips! – westchnął. – Zresztą, czy ja wiem? Ostatecznie, o ile nie przyjdzie gorączka...

Ale gorączka przyszła.

– Trudno, Kate... – gładził ojcowskim ruchem czarne sploty dziewczęcej głowy. – Robiliśmy, co było w ludzkiej mocy.

Czas przeszły użyty przez doktora pogłębił zrozpaczoną Kate do reszty.

– Więc?... – wielkie, pałające oczy zawisły z błagalną prośbą na ustach doktora. – Więc nie ma już żadnej nadziei? Żadnej?

Harvey zwiesił ponuro głowę.

– Nadziei?... – powtórzył z namysłem. – Profesor Spilett twierdzi, że nie ma...

– A pan, panie doktorze?

– Ja?... Widzisz, nie chciałbym kłamać... Jestem tego samego zdania. Chyba... cud...

Nie bronił Kate spędzania czasu przy łóżku Czarnego Johna. Uważał, że to już nie może mieć żadnego wpływu na szansę ocalenia.

Siedziała więc kamieniem dzień i noc, nasłuchując rzeżącego, coraz bardziej cichego oddechu.

John był nieprzytomny, leżał bez ruchu. Czasem tylko lekkie drżenie przebiegało po lewej dłoni, leżącej bezwładnie na kołdrze. Prawa ręka tkwiła w grubych powijakach bandaży. Tak samo zresztą, jak niemal całe postrzępione ciało.

Nie mogła mu pomóc. Nie miała okazji do usług. Trwał nieruchomy jak martwy przedmiot.

– Boże! – szept jej błagalnie ulatywał ku niebiosom. – Ocal go... ocal! Przecież ja go tak

kocham... A on... Tyle wycierpiał... dla innych... Nie pozwól, by zginął... spraw cud!

Ale rytm oddechu słabł z godziny na godzinę.

Harvey pakował pod zwiotczałą skórę coraz częściej zastrzyki, pobudzając serce do działania. Jednak wymęczone serce Czarnego Johna gonilo resztkami sił.

– I wszystkie konie króla nie sprawią, by stanął na nogi – zacytował Harvey indyjską sentencję podczas którejś tam z rzędu konferencji z profesorem Spilettem.

Profesor wzruszył ramionami.

– Wiedza lekarska, niestety, posiada także granice swych możliwości, kochany kolego!

Harvey obserwował w zamyśleniu dym ulatujący z cygara.

– Właściwie to jest nieludzkie, co my z nim robimy, profesorze! Te zastrzyki i w ogóle... Przedłużamy tylko agonię...

– Cóż... przecież i tak już nic nie czuje. A dopóki oddycha...

W czasie wieczornej wizyty w pokoju Johna, doktor Harvey wezwał pielęgniarkę.

– Spędzi pani tu noc – powiedział. – Może zajść potrzeba jakiejś pomocy... – potem odprowadzając ją na bok, zniżył głos do szeptu. – Gdzieś około świtu nastąpi existus. Proszę mnie wezwać. I uważać na pannę Blythe.

Wyczulony słuch Kate wyłowił kilka słów. Nie płakała, bo łez już brakło pod powiekami. Siedziała wtulona w krzeselko. Opanowała ją jakaś tępa drętwa.

Gdy doktor wychodził, pobiegła jednak za nim.

– Panie doktorze! – złapała go za rękaw białego fartucha. – Panie doktorze!...

Obrzucił ją współczującym spojrzeniem. I jemu było ciężko na duszy.

– Cóż ja mogę, kochane dziecko? Moja rola skończona... Nie puszczała go jednak.

– A gdyby mu przetoczyć moją krew? Może to by pomogło?

– Transfuzja? Przecież robiliśmy ją dwa razy. I sól fizjologiczna... i wszystko. Nie! – pokiwał głową – Niestety! Tu już nic nie pozostało do zrobienia. Musisz się pogodzić z tą myślą, biedactwo...

– Panie doktorze! – złożyła błagalnie ręce. – Tak okropnie pragnę oddać Johnowi moją krew. On przecież ją przelał dla mnie... Byłoby mi lżej... Może to nierozsądne... Ale proszę... niech pan doktor pozwoli...

Pogładził ją po ramieniu.

– Jeżeli to ma ci przynieść ukojenie...

– Ale – podniosła zatrwożone nagle oczy – gdyby to mu miało zaszkodzić?

– Nie, dziecko. Jemu już nic nie zaszkodzi.

Badanie pobranej od Kate krwi przeprowadzono w przyspieszonym tempie. Około północy rozbłysły lampy w sali operacyjnej. Zapachniał eter. Opaska gumowa ciasnym chwytem objęła ramię Kate. Nie poczuła klucia. Myśli jej tchnęły gorącym błaganiem modlitwy:

– Boże!... Boże!... Żeby mu to pomogło... Żeby żył... Cóż, że oni mówią... Ty przecież wszystko możesz...

Bezszelestnie pracowała dźwignia precyzyjnej pompki. Bezszelestnie odbywał swą drogę szklany tłok. Bezszelestnie wreszcie, wędrowała żywa, czerwona krew do obumierających żył.

Znowu zapach eteru... Opaska zluźniła chwyt.

– Gotowe! – Czyjeś ramię pomogło Kate wstać z białą lakierowanej leżanki. Nogi trochę drżały pod nią. W uszach lekki szum. – Proszę to wypić – w nozdrza uderzył ostry zapach.

Wypiła bez sprzeciwu.

Potem o własnych siłach postąpiła parę kroków ku stołowi operacyjnemu. Błada jak papier twarz i nieruchomo zawarte powieki...

– Panie doktorze! – krzyknęła rozzwierającym głosem. – Panie doktorze! On nie żyje!!

Harvey podszedł pospiesznie. Przeczynał, że taki właśnie będzie koniec zabiegu. Ale w tych warunkach nie miało to już najmniejszego znaczenia.

## XXXII

Wielkie krople łez spływały powoli po wymizerowanych policzkach Kate. Doktor Harvey patrzył uparcie w matową szybę. Nie znosił widoku łez. Był wobec nich zupełnie bezradny.

– A mówił pan, że nie ma żadnej nadziei! – wilgotne oczy lśniły jak gwiazdy.

– Mówiłem – przyznał bez wahania. – I dzisiaj jeszcze powtarzam to samo: nie było najmniejszych widoków na ocalenie. Ale... Widzisz: są pewne zdarzenia, które wychodzą poza zakres naszej wiedzy... Profesor Spilett wywiódłby ci pięknie po łacinie, dlaczego stało się tak jak się stało, a nie inaczej... Mam wrażenie – po wargach doktora przebiegł ledwo dostrzegalny uśmiech – że on zawsze używa łaciny, gdy nie bardzo wie, co ma powiedzieć. A ja... cóż... – zapalił cygaro – w takich wypadkach ludzie mówią potocznie o cudzie... A ja... Ja nie bardzo bym się z nimi spierał o określenia.

Kate osuszyła chusteczką oczy. Gdy wspominała przebyte niedawno chwile, często nie potrafiła powstrzymać łez, napływających pod powieki. Nerwy wciąż jeszcze nie mogły powrócić do poprzedniej równowagi.

– Panie doktorze, John jest bardzo głodny i... gdyby kawałek kurczątka? – spojrzała na niego z niemałą prośbą.

Doktor roześmiał się.

– John może być głodny. Ale ani dziś, ani jutro nie dostanie kawałka kurczątka. Nawet takiego – pokazał na końcu paznokcia. – Bo Bóg nie po to sprawia cuda, by ich skutki miało niweczyć najbardziej zakochane dziewczątka...

Kate splonęła rumieńcem, wychodząc cichutko z gabinetu.

Na widok wchodzącej, John uniósł nieco głowę. Był to w każdym razie sukces nie lada. Ale nikogo już nie dziwił. Bo po raz pierwszy dokonał tego nadzwyczajnego wyczynu poprzedniego dnia z samego rana.

– Nie dostaniesz, biedaku, kurczęcia – pogłaskała wychudzoną dłoń. – Nasz tyran nie pozwolił. Może dopiero pojutrze.

– Kurczęcia? – westchnął. Ale myślał w tej chwili o zupełnie czym innym.

– A – spojrzała na niego figlarnie – czy nie uciekniesz mi znowu z powodu przymusowej głodówki?

– Kate! – zamknął jej rękę w objęciach swych dłoni. – Nigdy... nigdy już nie ucieknę od ciebie... Nie potrafię... Choć może bym powinien... Ale nie, chyba gdybyś kazała mi odejść...

– Nie doczekasz tego... kochany – pochyliła nad nim głowę, muskając delikatnie pocałunkiem sinawe, popękane wargi.

### XXXIII

Dyrektor Banku w Cleveland był starym, mocno zasuszonym dżentelmenem. „Kościanym dziadkiem”, jak go niektórzy dość trafnie poza plecami nazywali. I może w sposób istotnie nieco staromodny prowadził interesy banku. Ale niezaprzeczalnie posiadał intuicję, jak należy w pewnych wypadkach postąpić. I umiał przeprowadzać swoje plany nawet gdy nie u wszystkich wywoływały zachwyty.

Wkrótce po udaremnionym przez Johna napadzie na bank, zwołał ogólne zebranie udziałowców.

– Panowie! – zagaił posiedzenie. – Gdyby nie, hm... akcja dżentelmena, znanego pod przezwiskiem Czarnego Johna, kapitały banku powędrowałyby bezpowrotnie do kieszeni bandytów. Czyż nie tak?

– Tak... tak... Oczywiście – potwierdziły liczne głosy.

Dyrektor zrobił pauzę, dopóki potakiwania nie umilkły.

– Ciesz się mnie ta jednomyślność. Otóż: w takich wypadkach jest zwyczaj, że ten, który ocalił pieniądze, otrzymuje nagrodę w gotówce...

Po tym zdaniu aplauz nie był tak powszechny. Ten i ów pomacał z westchnieniem portfel.

– Tyle człowieka jeszcze czeka wydatków...

Ale w rezultacie i tym razem wszyscy przyznali rację. Zwyczaj był ogólnie znany.

– Hm... tak! – odchrząknął. – Więc w zasadzie sprawa zadecydowana. Pozostaje jeszcze określenie wysokości procentu. Jak panowie proponujecie?

Wokół stołu szaszemrały szepty narad czcigodnych dżentelmenów. Sprawa wymagała poważniejszego namysłu. Dać, owszem. Jeżeli zresztą trzeba, to cóż na to można poradzić? Okrzyczano by ich w całym stanie. Albo nawet i w sąsiednich. I tak ostrzono sobie języki na temat rzekomego skąpstwa obywateli Cleveland. Ale po co zaraz walić bająnskie sumy?

– Pięć? – zaproponował któryś sąsiadowi do ucha. Ten spojrzął z przerażeniem. – Pięć? Chyba żartujesz? W kasie akurat było tyle gotówki... Trzy aż nadto wystarczy...

– Trzy – wędrowało wokół stołu.

– Po co przesadzać? Dwa będzie dosyć.

– To może dwa i pół?

Na to mniej więcej wszyscy byli w końcu zgodni.

„Dwa i pół” to nawet wygląda tak poważnie, po bankowemu...

Mister Joyca uważano powszechnie za wielkiego skąpca. Co więcej, wiedział on o swojej opinii. I nagle w jego głowie błysnęła genialna myśl poprawienia swej reputacji bez kosztów. Był mniej więcej zorientowany, na jaką sumę mają zamiar wyrazić zgodę. Cóż więc szkodzi zaproponować znacznie wyższą? I tak nie przejdzie.



– Proponowałbym... dziesięć procent! – wypalił nagle. Spojrzano na niego ze zdumieniem. Przecież przed chwilą proponował utargować pół procenta?

I nastąpiło zdarzenie, nie przewidziane przez nikogo, a najmniej przez samego Joyca.

Dyrektor wstał, nie czekając na inne propozycje.

– Tak – potwierdził poważnie – to byłoby mniej więcej zgodne z ogólnie przyjętą normą. Więc panowie głosują na dziesięć procent nagrody? Kto przeciw?

Wszyscy byli przeciw. Ale wyklinając w duchu, milczeli jak zakłęci. Skoro Joyce... Ten największy skąpiec... Joyce zaproponował... Nikt nie chciał ryzykować kompromitacji.

Joyce zdrętwiał. Jakiś koszmarny sen, czy co, u licha? Czyżby mieli zamiar traktować to poważnie? – Gdyby wypadało, cofnąłby pospiesznie niebaczne słowa. A nawet, gdyby niezupełnie wypadało. Ale w tym stanie rzeczy i tak nic by nie pomogło.

– W porządku – suchy głos dyrektora przerwał nagle zapadłą ciszę. – Proszę zaprotokołować: zebranie jednogłośnie uchwaliło wypłacić dżentelmanowi noszącemu przezwisko: „Czarny John”, zamieszkałemu chwilowo w szpitalu miejskim w Cleveland, tytułem nagrody sumę... Zaraz – zajrzał do notatek – w kasach było w chwili napadu sześćset dziewięćdziesiąt siedem tysięcy dolarów, siedemdziesiąt pięć centów. Po zaokrągleniu więc, wypada suma siedemdziesięciu tysięcy...

– Przepraszam – Joyce wyszedł chwiejnym krokiem z sali. Siedemdziesiąt tysięcy. Cios był zbyt silny, jak na wytrzymałość jego nerwów.

## XXXIV

Oberżysta na szczęście nie sprzedał jeszcze pierścionka. Zażądał dość nieśmiało dwudziestu dolarów. John dał trzydzieści. Dałby i sto. Miał teraz tyle pieniędzy, że nie wiedział, co z nimi począć. Kate była szczerze zachwycona.

– Jaki śliczny – obracała na paluszku nieco zbyt obszerny pierścionek. – I jaki dziwny rysunek na kamieniu...

John machnął ręką.

– Ludzie w dawnych czasach miewali dziwaczne zachcianki...

Z każdym dniem odzyskiwał siły, pod troskliwą opieką Kate. Powoli zaczynał coraz więcej przypominać z wyglądu dawnego Johna. Na siodle siedział już zupełnie pewnie. Tylko chodząc pieszo musiał korzystać z podpory opiekuńczego ramienia Kate.

A może tylko udawał tę konieczność?

Wszystko już było gotowe do ślubu. Czekano tylko na nadejście papierów Johna.

– Nie możesz być przecież panią „Czarną” – tłumaczył narzeczonej.

– Dlaczego? – patrzyła na niego promiennym wzrokiem. – Dla mnie dobre każde nazwisko, które ty nosisz, kochany...

Szeryf Blythe zacierał ręce.

– No, cóż – pomrukiwał radośnie – tak, czy inaczej muszę przyznać: Kate robi partię. Taki zięć, to nie zięć, a chodząca reklama dla całej rodziny. Parę tysięcy murowanych głosów jak obszył. I teraz żaden nawet najgorszy szczekacz nie przypomni mu tego co było. Ocalił pieniądze. To jednak najważniejsze w tym wszystkim. Bo, na co jak na co, ale na sprawy kieszeni kochani współobywatele są specjalnie czuli.

Hamilton był rozgoryczony.

– Widzicie, jaki on jest?... Od banku przecież przyjął, a gdy ja mu zaproponowałem trzydzieści, by była okrągła setka, to na mnie nafukał. Powinien wpłynąć, kochany szeryfie...

– Nie da rady – tłumaczył szeryf. – Chłopak uparty jak kozioł. Zresztą może i ma rację. Ambicja nie pozwala...

– A jednak od banku?

– Bank to co innego. Instytucja.

Wreszcie nadeszły niecierpliwie oczekiwane dokumenty osobiste Czarnego Johna. Upstrzona stemplami koperta świadczyła, że odbyły daleką drogę. John nerwowym ruchem zerwał lakowe pieczęcie, przeglądając papiery.

– W porządku – odetchnął z ulgą. Do ostatniej chwili gnębiła go obawa, że znowu zajdzie jakaś przeszkoda. – Ślub wyznaczony na najbliższy wtorek.

Od rana panowała piękna pogoda. Samochody posuwały się z trudem przez szczerbnie

zatłoczone ulice... Od wiwatów pobrzękiwały szyby w oknach. Obywatele Cleveland nie szczydzili gardła. Cóż dziwnego? Taki nabytek dla miasta! Czyż kiedykolwiek było tu tylu reporterów naraz, co właśnie teraz? A splendor rodzinnego miasta leżał każdemu na sercu.

Wejście tonęło w powodzi kwiatów, dywanów i flag. Ostatecznie nie wypadało wystąpić zbyt skromnie, skoro tyle oczu patrzy krytycznie. I skoro cały przebieg uroczystości będzie umieszczony w dziennikach wielu stanów. Gdy wstąpili na wyścieloną dywanami drogę, wiwaty przybrały wprost formę ogłuszającą.

– Jak mam zapisać nazwiska nowożeńców? – zapytał urzędnik maczając pióro. John podał niepewnym ruchem dokumenty.

– Trochę jest długie – bąknął pan młody zażenowanym tonem.

– Ach, tak? A więc: John Jonathan Cooper lord Raymwood of Revel of Rathborne – sylabizował powoli. I nagle wytrzeszczył oczy. – To... to pan?

– Tak...

Urzędnik poczerwieniał.

– Przepraszam waszą lordowską mość... ja... ja... – widać było, że nie wie, co ma dalej powiedzieć.

Na sali zapanowało nagle osłupienie. Czarny John lordem? Prawdziwym lordem o tak arystokratycznie skomplikowanym nazwisku? To niesłychane!

A potem wybuchło nieprawdopodobne zamieszanie.

Jedni z reporterów, depcząc ludziom po nogach, biegli na złamanie karku do telefonu, inni rozpychali tłum, by dotrzeć do samego stołu i zerknąć na rozłożone dokumenty.

Nagle z cienkim brzękiem pękła szyba w oknie. W obramowaniu futryny stanął reporter z „News Timesa”, który nie zdołał dostać się na salę normalną drogą.

– Przepraszam – szerokim uśmiechem pokwitował zdumione spojrzenia. – Chwileczkę. – Aparat fotograficzny zatrząsał z szybkością karabinu maszynowego.

Wieść o trudnej do uwierzenia nowinie obiegła całe miasto lotem błyskawicy. Na dole zaczęto wiwatować jeszcze głośniejsze, o ile było to w ogóle możliwe.

– Niech żyje lord!... – nazwisko zresztą, które wykrzykiwano aż do ochrypnięcia, nie bardzo przypominało figurujące w dokumentach Johna.

Kate z trudem ochłoneła ze zdumienia.

– Więc ty jesteś lordem? – podniosła oczy ku mężowi.

Johna znowu opanowało zmieszanie.

– Widzisz, kochanie, właściwie tak... To jednak nie ma najmniejszego znaczenia... Mój ojciec umarł niemal w nędzy, a ja... Rzeczywiście dotychczas nie uzyskałem obywatelstwa Stanów... ale jak to tylko będzie możliwe, złożę wniosek i...

Kate jednak z właściwą wszystkim kobietom bystrością zdołała się już zorientować

w sytuacji. I miała własny punkt widzenia na całą tę sprawę. Całkiem odrębny od tego, jaki wynikał ze słów Johna.

...Jeżeli mąż jest lordem, to żona nosi całkiem piękny tytuł: Lady – skonstatowała w duchu.

Przyłgnęła do ramienia męża.

– Kochany – powiedziała z westchnieniem – jesteś jednak naprawdę nieobliczalny.

– Nieobliczalny? – spojrzał na nią z błyskiem niepokoju.

– Tak! – przyłgnęła jeszcze mocniej. – Człowiek, który chce żyć twoim życiem, nigdy nie może przewidzieć, co go spotka za chwilę...